

Lilly Sławikowska

W czasach C.K. Monarchii i później

Lilly Sławikowska

W czasach C.K. Monarchii i później

Wspomnienia Lilly (Heleny) Sławikowskiej, córki pułkownika armii austriacko-węgierskiej, a po 1918 r. armii polskiej, przetłumaczone z języka niemieckiego i opracowane przez jej bratanicę Elżbietę Sławikowską, uzupełnione wspomnieniami Anny Bzowskiej z Żerosławic oraz fragmentami wspomnień i dzienników innych autorów.

Poznań 2011
Wydawnictwo Kontekst

Projekt okładki
TOMASZ MAGOWSKI

Opracowanie i podanie do druku
ELŻBIETA SŁAWIKOWSKA

Redakcja
MARIA SERAFIŃSKA-DOMAŃSKA

Zdjęcia
HALINA NIEWIADOMSKA (fot. str. 36), TOMASZ DAIKSLER (fot. str. 118 i 121).
Pozostałe zdjęcia pochodzą z archiwum rodzinnego ELŻBIETY SŁAWIKOWSKIEJ

© Copyright by: Elżbieta Sławikowska, 2011
Wydawnictwo Kontekst, Poznań 2011

ISBN 978-83-62564-10-1

Printed in Poland

Wydawnictwo Kontekst
kontekst2@o2.pl
www.wkn.com.pl
tel./fax 61 8518511

*Wspomnienia te dedykuję mojemu bratu,
inż. Erwinowi Sławikowskiemu,
oraz mojej przyjaciółce dr Evie Galosi,
pracownicy Biblioteki Narodowej w Wiedniu*

Wiedeń, 4 sierpnia 1993 roku



Lilly Sławikowska – lata 30-te XX w.

Wstęp

Lilly Sławikowska była córką pułkownika armii austro-węgierskiej, a po 1918 r. pułkownika Wojska Polskiego Stanisława Sławikowskiego i Gizelli Várady, wnuczki węgierskiego powstańca z 1848 r. Urodziła się w 1902 r. (w jej dokumentach powojennych figuruje rok urodzenia 1907, gdyż po powrocie z zesłania, przy wyrabianiu papierów „odmłodziła” się o 5 lat, aby łatwiej dostać pracę i mieć później emeryturę) w Nagy-Becskerek na terenie obecnej Serbii, zmarła w 1994 r. w Wiedniu.

W swoich wspomnieniach opisuje szczęśliwe dzieciństwo spędzone w Banacie (krajnie historycznej pomiędzy Dunajem a Cisą – obecnie leżącej na terenie 3 państw: Rumunii, Serbii i Węgier), w miastach Nagy-Becskerek i Temesvár, z rodzicami, czworgiem rodzeństwa i liczną dalszą wielonarodową rodziną. W latach 1914-1918 mieszka w Wiedniu, bywa u dalszych krewnych, między innymi w domu dramaturga i pisarza Tadeusza Rittnera. Ciekawie opisuje wybuch wojny i życie codzienne w stolicy wielkiej monarchii tuż przed jej rozpadem. Po upadku monarchii rodzina Sławikowskich przenosi się do Krakowa i czynnie uczestniczy w tworzeniu się odrodzonego państwa polskiego. Stanisław Sławikowski, ojciec autorki, jako pułkownik WP, bierze udział w wojnie z bolszewikami w 1920 r. a brat Eugeniusz zostaje zawodowym oficerem – zginie potem w 1940 r. w Katyniu. W latach międzywojennych autorka czynnie uprawia sport – w 1936 r. zdobywa mistrzostwo Małopolski w tenisie.

Początek II wojny światowej spędza u swojej siostry Gizeli Maszlankowej we Lwowie, skąd obie, wraz z 7-letnią córką Gizeli zostały deportowane do Kazachstanu. Powrót do innej już Polski i lata pięćdziesiąte zamykają nieukończone, przerwane ze względu na pogarszający się wzrok, spisywanie wspomnień.

Kalendarium

1902 — narodziny w Nagy-Becskerek (obecnie Zrenjanin w Serbii)

1902-1912 — Nagy-Becskerek

1912-1914 — Temesvár (obecnie Timișoara w Rumunii)

1914-1918 — Wiedeń
1918-1939 — Kraków
1939-1940 — Lwów
1940-1946 — Kazachstan
1946-1956 — Kraków (krótko), Warszawa

okresy nieujęte wspomnieniami

1956-1959 — Londyn
1959 — do śmierci w 1994 r. – Wiedeń

Kim była dla mnie Lilly Sławikowska (oprócz tego, że była siostrą mojego ojca) i jak ją zapamiętałam? Kimś bliskim i ważnym stała się dopiero w 1959 r., roku mojej matury.

Ciocia Lilly (dalej będę pisała „Ciocia” wielką literą, bez dodawania imienia) po otrzymaniu paszportu na fali pogomułkowskiej odwilży i wyjeździe do Londynu do ciężko chorego na raka brata, po jego śmierci w kwietniu 1959 r. nie wróciła już do Polski, lecz zamieszkała znowu w Wiedniu, gdzie miała dużo znajomych. Jedna z koleżanek Cioci wystąpiła mi formalne zaproszenie (Ciocia nie mogła tego zrobić, bo nie miała obywatelstwa austriackiego) i opłaciła podróż. Tak więc w osiemnastym roku życia znalazłam się w Wiedniu. Wrażen z tego pobytu nie zapomnę do końca życia. Ciocia była chodzącą encyklopedią w dziedzinie historii sztuki i architektury. Znała przy tym mnóstwo ciekawostek z życia twórców. Zwiedzanie z nią Wiednia było odkrywaniem przede mną nowych nieznanych światów. Ciocia, choć sama była biedna (jeszcze nie miała wtedy stałej pracy) chciała mi pokazać Alpy i wykupiła 3-dniową wycieczkę mikrobusem na Großglockner. Łatwo sobie wyobrazić, jakie wrażenie robiły na mnie te alpejskie krajobrazy. Nie widziałam ich przedtem na zdjęciach w kolorowych czasopiśmie, bo takie do Polski nie docierały (może były w dużych miastach).

A Ciocia? Drobna, szczupła, w zniszczonym beżowym trenczu, z jakimś tragicznym wyrazem twarzy, a szczególnie oczu. Czasem tak pogrążona w myślach, że mnie prawie nie zauważała (pewnie myślała, jak przeżyć następne miesiące po „szaleństwach finansowych” mojego pobytu w Austrii – wycieczka w Alpy, wstępy do muzeów, bilety tramwajowe; jadałyśmy natomiast bardzo skromnie). Tak więc wędrowałam po muzeach i kościołach z Ciocią wyglądającą jak personifikacja tragicznego losu wygnańca, by nagle zobaczyć ją na wycieczce w Alpach tryskającą humorem i będącą centrum zainteresowania naszej małej 10-osobowej grupy. A w samym Wiedniu też mnie zaskakiwała. Brała mnie ze sobą na brydża do swoich różnych bogatych znajomych (nigdy przedtem, ani potem, nie bywałam w takich wnętrzach). Jakże wtedy była inna – radośnie błyszczące oczy, dowcip. Albo na korcie tenisowym. Wiele osób chciało z nią grać i zapraszało ją na korty, chociaż miała już wtedy 57 lat – była dalej świetną tenisistką. W okresie międzywojennym była zawodniczką K.S. „Cracovia”, zdobyła mistrzostwo Małopolski, startowała w międzynarodowych turniejach.

Wspomnienia Cioci kończą się na latach pięćdziesiątych, ale na końcu opisane jest zdarzenie z lat osiemdziesiątych, które pozwolę sobie przenieść właśnie tu, do tego wstępu:

„Miłym dla mnie zdarzeniem było moje statystowanie w filmie. Koleżanka mojej bratanicy Elżuni, Brigitte Tritsch, była jakiś czas scenografką czy rekwizytorką w filmie. Kiedyś odwiedziła mnie, a ja dla żartu zapytałam, czy nie potrzebują do filmu starej nagiej tancerki. Po kilku dniach przyszła do mnie

i całkiem poważnie powiedziała, że wprawdzie nie mają teraz roli starej tancerki, ale kręcą film z ostatniego okresu II wojny światowej (1945 r.) i potrzebują statystów. O ile dobrze pamiętam, film był zatytułowany „Ich verstehe nicht, warum ich so fröhlich bin”. Chociaż byłam tylko statystką, dostałam do zagrania scenkę solo – miałam siedzieć smutna, samotna, koło mojej starej walizki. Był to mój ostatni, i najmilej zapracowany, zarobek w życiu.”

Ciocia opowiadała mi o tym epizodzie, dodając, że po projekcji filmu w austriackiej telewizji, rozzwonił się jej telefon i znajomi mówili „Lilly byłaś wspaniała w ostatniej scenie”. Przypomniała mi się wtedy Ciocia w starym trenczu, z niezwykle smutnym spojrzeniem i nie musiałam oglądać filmu, by „widzieć” ją w tej scenie.

Ciocie chętnie odwiedzali znajomi – młodzi i starzy. Zauważony przeze mnie przed laty wyraz smutku, czy nawet strachu, w jej oczach był chyba czymś nabytym w czasie trudnych doświadczeń życiowych i zniknął, od kiedy miała stałą pracę i małą kawalerkę wynajętą jej bez zysku przez właściciela firmy, w której pracowała, dr Wilhelma Artakera. Nie poznałam go nigdy osobiście, ale zawsze myślę o nim jako o wielkim dobroczyńcy.

Czymś nieprzemijającym w usposobieniu Cioci było nieodparte wrażenie młodości w sposobie reagowania, w bezpośredniości – czasem wręcz szokującej i w ciągłej ciekawości świata. Chyba od dziecka nie była typem „grzecznej dziewczynki”, lecz w sposób cechujący raczej żywych, energicznych chłopców, jeśli ją coś interesowało, oddawała się temu z pasją, nie żałując sił i czasu, i zupełnie nie zastanawiając się, czy może jej to przynieść jakieś profity. Jeśli natomiast coś jej nie interesowało, poświęcała temu minimum wysiłku. Dotyczy to na przykład znajomości języków. Posługiwała się płynnie językiem niemieckim, węgierskim, polskim, angielskim, rosyjskim i francuskim, nie przejmując się popełnianiem błędów.

Ciocia była całkowicie oddana rodzinie. Wszyscy członkowie rodziny mieszkający w Polsce otrzymywali zaproszenia wraz z opłatą podróży – uważało się, że to ułatwia otrzymanie paszportu, bo PRL potrzebował dewiz. Niech koleżankom Cioci będzie w niebie poczytane za zasługę wysyłanie zaproszeń, poświadczonych urzędowo, i branie na siebie ryzyka pokrywania ogromnych kosztów leczenia, w razie jakiegos wypadku. Ale z paszportami bywało różnie. Ja miałam bodajże 5 razy odmowę. Informacja dla młodszego pokolenia: żeby dostać paszport, trzeba było złożyć kwestionariusz poświadczony w miejscu stałego zameldowania i przez uczelnię – w moim przypadku Politechnikę Gdańską. Po odczekaniu kilku godzin w poczekalni (o ile pamiętam, na stojąco) ktoś bardzo niesympatyczny przekreślał kwestionariusz, bo w jakieś rubryce postawiłam znak „ - ”, zamiast wpisać „nie dotyczy”, albo odwrotnie, i całą procedurę z poświadczeniami trzeba było zaczynać od nowa. Po długim oczekiwaniu (2 miesiące? – nie pamiętam) przeważnie otrzymywałam odmowę z uzasadnieniem „z innych ważnych przyczyn społecznych” albo „z innych ważnych przyczyn państwowych”. Koleżanki Cioci były niestrudzone i jednak czasem wyjeżdżałam. Wnuczki cioci Gizeli i ukochany bratanek Cioci, Artur, wyjeżdżając na takie prywatne zaproszenia, byli na kursach języka niemieckiego, opłaconych przez Ciocię. Takie kursy były bardzo drogie i Ciocia na pewno straszliwie oszczędzała, odmawiając sobie wszystkiego, by móc je opłacić.

W 1969 r., pracowałam wówczas w biurze projektów w Lublinie, Ciocia załatwiła mi, poprzez swoje znajome, stypendium na kurs językowy w Alpach. Radość niesamowita. Naiwnie sądziłam, że dostanę paszport. Dwa, czy trzy razy byłam wypwana na przesłuchania

pod hasłem „jaki interes mieli Austriacy, aby dawać Pani stypendium”. Niedawny szat lustracyjny spowodował, że chciałam sobie przypomnieć szczegóły tego wypytywania i czy czytałam protokół przed podpisaniem – i nic nie mogłam wygrzebać z pamięci. W każdym razie paszportu nie dostałam, a imienne stypendium przepadło.

Pozwolę sobie na chwilę próżności – i tak ja jedna, z całej rodziny zamieszkałej w Polsce, posługuję się biegle językiem niemieckim. To też zasługa i wpływ Cioci, z którą czułam się emocjonalnie bardzo związana.

O wspomnieniach Lilly Sławikowskiej

Wspomnienia Lilly Sławikowskiej to 5 zeszytów formatu A4 (łącznie ok. 350 stron) zapisanych równym, lecz trudnym do odczytania, pismem w języku niemieckim. Byłam jedną z inicjatorek spisania tych wspomnień. Podczas moich pobytów u Cioci, w Wiedniu, słuchałam czasem zabawnych, czasem tragicznych opowieści, podziwiając jej nieprawdopodobną wręcz pamięć. Ciocia chętnie opowiadała (w przeciwieństwie do drugiej siostry ojca, Gizeli, która miała przecież podobną biografię, ale zupełnie inne usposobienie), jednak do napisania wspomnień trudno było ją namówić. Zaczęła pisać mając prawie 90 lat. Gdy odwiedziłam ją w 1993 roku po raz ostatni (zmarła rok później), pokazała mi wówczas zapisane zeszyty i powiedziała, że opisała wydarzenia do lat pięćdziesiątych i przerwała, bo już ją to za bardzo męczy. Miała wtedy bardzo słaby wzrok, nie mogła więc przeczytać tego, co już napisała. Wobec tego zapisywała to, co jej się akurat przypomniało, nie martwiąc się chronologią i ewentualnymi powtórzeniami. Powiedziała: „Ktoś, kto to zechce opracować, będzie miał trudne zadanie”. Na każdym z zeszytów, na okładce, było moje imię, nazwisko i adres. Rozumiałam, że tym „ktosiem” powinnam być ja. Ze smutkiem pomyślałam, że wysłək Cioci jest spóźniony. Przewidywane trudności przy pracy nad tekstem i nawet obawy, co do jego wartości z jednej strony, a z drugiej bardzo trudny okres w moim życiu osobistym (ośmioletnia opieka nad sparaliżowaną matką, a potem różne problemy związane z wkraczającymi w dorosłość dziećmi) spowodowały, że sięgnęłam po te zeszyty dopiero w 2007 r. Wspomnienia te są ostatnią miłą niespodzianką, jaką mi Ciocia sprawiła. Wiedziłam przecież, że do końca nie miała nawet cienia sklerozy, a jednak zaskoczyła mnie aż tak doskonała pamięć. Opracowując wspomnienia sięgałam do różnych źródeł pisanych, także do internetu i tylko znajdowałam potwierdzenie tego faktu. Wspomnienia Cioci stały się dla mnie inspiracją do zapoznania się, choćby w Wikipedii, z biografiami różnych ludzi, do przypomnienia sobie historii I-szej i II-giej wojny światowej i do zastanowienia się nad pojęciami narodowości, obywatelstwa, patriotyzmu, nacjonalizmu.

Lilly i jej siostra Gizela prowadziły ożywioną korespondencję z wieloma członkami rodziny, ale większość listów przedwojennych zginęła w czasie wojny, a po wojnie i po doświadczeniach różnych rewizji, ciocia Gizela celowo je niszczyła. Niemniej część listów się zachowała, niektóre z wcześniejszych pokoleń – polsko- niemiecko- i węgierskojęzyczne. Z tych ostatnich nie mogę skorzystać, ale polsko- i niemieckojęzyczne uzupełniają w pośpiechu pisane wspomnienia Cioci, a mnie ułatwiły chronologiczne ułożenie całości. Dopiero teraz wiem, kim były osoby piszące i czego dotyczą te listy – niektóre pisane prawie sto lat temu.

We wspomnieniach nie ma wielu faktów znanych mi z opowiadań. Niektóre zdarzenia opisane są bardzo szczegółowo, niektóre ledwie wspomniane. Jest dużo biogramów osób

aus zu erschöpfen gefüllt - es
 wäre eine höhere Arbeit 20 Jahre
 zu erschöpfen als physisches. Trotz
 den unmenschlichsten Verhältnisse
 kamst der Mensch zum Leben und
 lieber die Form zu leben als dort
 begeben sein. - Man hat immer
 nicht erschöpfen - unser Leben hat
 sich nicht geändert man ist zu
 den Kolben gekommen oder ist ke
 u. da eine Ochsengespanne aus
 dem Kolben mit diesen Lebens-
 mittel gekommen um auf Klei-
 dungsachen zu lauschen. Eines Tages
 bekamen wir für unser Teil,
 genau eine Antwort: Na Freunde
 zu bringen. - Wir kamen aber
 glücklich - wir sind nicht erschö-
 pft worden u. durften weiter zu
 bis jetzt zum Grunde kommen. Der
 Winter war sehr schön - zum Schlafen
 haben wir uns nicht ausgezogen
 im Gegenteil was wir noch zum
 anziehen haben ausgezogen - einige
 Kopftuch einige Paar Strümpfe
 u. eine Mütze u. so gefolgt
 sein. - Das Aufschauen in der Nacht
 war immer eine kleine Gaud
 die schnell ewige Ruhe - wir
 haben in der Ewigkeit schnell

z dalszej rodziny, lub niezwiązanych z rodziną, ale wartych, aby je ocalić od zapomnienia. Ciocia całkowicie pomija swoje sprawy „sercowe”. Wiem od mojego ojca, że była w Krakowie zaręczona i nawet wiem, dlaczego zaręczyny zerwała. Ale skoro sama o tym nie pisze, muszę uszanować jej wolę.

Odczytanie wspomnień nie było łatwe. Litery „u”, „n”, „m”, „ie”, „ei” często wyglądają tak samo. Przegląsy (tekst jest w języku niemieckim) zaznacza Ciocia poziomą kreską, ale, jako że już bardzo słabo widziała, stawiała tę kreskę, na ogół, nie nad właściwą literą. Niemniej udało mi się odczytać cały tekst, z nielicznymi wyjątkami, dotyczącymi zwłaszcza nazwisk. Stawiam wówczas znak [?]. Znak (?) pochodzi od autorki wspomnień. Imiona członków rodziny pozostawiam w takiej wersji, w jakiej występują w tekście Cioci. Przeważnie są to imiona węgierskie. Także już po zamieszkaniu w Polsce były często w takiej właśnie formie używane w rodzinie. W określeniach stopni pokrewieństwa wyraźnie widać przenikanie się języków. Pozostawiam je w brzmieniu oryginalnym i zaopatruję w komentarz. Moje komentarze pisane są mniejszą czcionką, a o ile znajdują się w tekście oryginału, są ujęte w nawiasy kwadratowe. Na końcu książki znajduje się rozszerzony indeks osób, zawierający przy niektórych nazwiskach także informacje biograficzne.

PODZIĘKOWANIE

Serdecznie dziękuję panu Andrzejowi Pacynie z Krakowa za opracowanie drzew genealogicznych i indeksu miejscowości oraz za wyszukanie wielu źródłowych informacji potwierdzających i uzupełniających wspomnienia Lilly Sławikowskiej, zwłaszcza z okresu krakowskiego. Nie wszystkie szczegółowe informacje umieściłam w komentarzach do wspomnień, ale wszystkie były dla mnie bardzo ciekawe i cenne.

*Elżbieta Sławikowska
Zielona Góra, 2011*

Nagy-Becskerek do 1912 r.

Urodziłam się w Nagy-Becskerek [Nazwa ta, pisana czasem łącznie „Nagybecskerek”, oznacza „Wielki Becskerek”, w rozmowach używało się tylko nazwy „Becskerek”, w okresie międzywojennym nazwa brzmiała Petrovgrad] Węgry, obecnie jest to Zrenjanin w Jugosławii. Później mieszkałam w Temesvár, obecnie Timișoara w Rumunii, potem, w latach 1914-1918 w Wiedniu, dokąd został przeniesiony 29 IR Freiherr von Laudon [29 Pułk Piechoty barona von Laudona], w którym służył mój ojciec. Po rozpadzie Austro-Węgier musieliśmy, jako Polacy, opuścić Wiedeń i zamieszkaliśmy w Krakowie. Kolejne etapy mojego życia to zsyłka do Kazachstanu (lata 1940-1946) powrót do Polski, pobyt w Londynie i na koniec znowu Wiedeń.

Do spisania wspomnień namawiała mnie od dawna moja bratanica oraz przyjaciele i znajomi. Moja kochana przyjaciółka, dr Eva Galosi, pracownica Biblioteki Narodowej w Wiedniu, radziła, bym zapisywała, co mi się przypomniało, bez przejmowania się porządkiem chronologicznym. Jedna znajoma kupiła mi nawet dyktafon, ale, mimo mojego wieku i słabych oczu, łatwiej mi się pisać, niż nagrywać.

Zacznę od moich przodków.

Mój ojciec **Stanisław Sławikowski** urodził się 22 maja 1866 roku w Tymbarku koło Limanowej. Był jedynym synem Tytusa Sławikowskiego i słynnej niegdyś piękności Julii z Bzowskich. Ojciec był bardzo urodziwym mężczyzną. Miał 182 cm wzrostu, co w tamtych czasach nie było takie częste, był szczupły i proporcjonalnie zbudowany. Miał przemiłe, pogodne usposobienie, więc bardzo szybko zaprzyjaźnił się z Węgrami z Becskerek, dokąd trafił jako młody



Zabawy młodzieży w Nagy-Becskerek – prawdopodobnie amatorski zespół taneczny.
Stanisław Sławikowski (stoi drugi z lewej strony), jego przyszła żona Gizella Várady (siedzi pierwsza z lewej strony)

podporucznik c.k. armii. Tu poznał Gizellę Várady i tu się z nią ożenił. Przy ożenku jako podporucznik musiał wpłacić kaucję. Dopiero od majora wzwyż kaucja nie była wymagana. O ile się nie mylę, było to 80 000 koron, co było wówczas dużą sumą. Część pieniędzy dała babcia Várady, a część pochodziła z dochodów z domu w centrum Lwowa, należącego do mojej babci Sławikowskiej i mojego ojca.

Dziadek **Tytus Sławikowski** [syn Antoniego i Barbary z domu Migdalskiej] był bogatym właścicielem ziemskim, który pogrążył się w alkoholizmie i stracił majątek przez nieuczciwych Żydów. Do Sławikowskich należało 6 wsi (między innymi Słopnica Królewska, Słopnica Szlachecka, Zawadka), a także miasto Tymbark.

Dziadkiem mojego ojca, czyli moim pradziadkiem, był słynny profesor okulistyki **Antoni Sławikowski**, początkowo asystent znanego na całym świecie



Julia z domu Bzowska, 1 voto Sławikowska, 2 voto Maksymowicz, matka Marii i Stanisława, babka Lilly Sławikowskiej

wiedeńskiego profesora Beera (*Biographisches Lexikon des Kaisertums Österreich*, Dr Constant von Wurzbach, s. 138).

Babcia **Julia z Bzowskich Sławikowska** [Julia była córką Feliksa Bzowskiego i Antoniny z domu Żuławskiej, córki Ignacego. Brat Antoniny Zygmunt Żuławski ożenił się z siostrą przywódcy powstania węgierskiego z 1848 r. Lajosa Kossutha a brat Ignacego był przodkiem węgierskiej gałęzi rodziny o zmadziaryzowanej pisowni nazwiska Zsulawsky.] przyjaźniła się w młodości z Dzieduszycką, która wyszła później za mąż za Pawlikowskiego z Medyki. Polski malarz Artur Grottger obie portretował, a one wymieniły się portretami. Po śmierci babci Julii mój ojciec przekazał portret Dzieduszyckiej-Pawlikowskiej cioci Masi (Marii Bzowskiej z Żerośławic) z prośbą o załatwienie zamiany portretów. Według cioci Masi, Pawlikowscy potwierdzili odbiór portretu ich matki, ale zakomunikowali, że nie mogą znaleźć portretu Julii Bzowskiej. Babcia Julia po śmierci swojego męża Tytusa Sławikowskiego

jeszcze raz wyszła za mąż za [imię nieczytelne] Maximowicza, który podobno zamieszany był w zamach na cara i musiał uciekać z Rosji. [dokładniej o rodzinie Sławikowskich – załącznik nr 1]

Moja matka **Gizella z domu Várady**, była córką wielkiego patrioty węgierskiego Józsefa Várady.

Dziadek **József [Józef] Várady**, jako student politechniki wiedeńskiej, brał udział w powstaniu 1848 r. razem ze swoimi braćmi Dezső i Lajosem. Najmłodszy z tej trójki, 16-letni Lajos sfałszował w swoich dokumentach wiek (postarzył się o 2 lata) aby zostać przyjętym do powstańczych wojsk Kossutha. Tenże Lajos był ojcem Lipóta Árpáda Várady, który został arcybiskupem w Kalocsai. Dziadziowi Józsefowi nie wolno było po powstaniu wrócić do Wiednia i skończyć tam studiów. O ile sobie dobrze przypominam, dziadek był później notariuszem. Miał 16-ro rodzeństwa. Najmłodszy jego brat Pistá wraz ze swoim synem Imre, profesorem uniwersytetu w Kluż (po węgiersku Kolozsvár, po niemiecku Klausenburg, po rumuńsku Cluj), po zajęciu Siedmiogrodu przez Rumunów, wyemigrował do Włoch i umarł w Rzymie. Imre Várady został profesorem uniwersytetu w Bolonii. Gdy moja prababcia została wdową sprowadziła się z całym dobytkiem i gromadą dzieci (może nie wszystkie pozostały przy życiu, gdyż, do czasu odkrycia serum, dyfteryt zbierał śmiertelne żniwo) do Nagy-Becskerek, gdzie jej szwagier Janos (?) Várady był proboszczem. Jego staraniem wybudowany został duży kościół. Obecnie Zrenjanin (dawniej Nagy-Becskerek) jest siedzibą biskupstwa. Tak to rodzina Várady przeniosła się z Siedmiogrodu do Banatu.

Dziadek Várady był spokojnym, wykształconym mężczyzną i wielkim węgierskim patriotą. Chociaż miał w rodzinie kilku duchownych, był antyklerykałem i do kościoła na mszę chodził tylko raz w roku, 6 października, to jest w święto 13 węgierskich męczenników, tzn. 13 węgierskich generałów rozstrzelanych po rewolucji 1848 r. Podobno matka cesarza Franciszka Józefa, Zofia (?), przyczyniła się do tego wyroku i dlatego wielu Węgrów nienawidziło Austriaków i Habsburgów.

Babcia [**Katharina**, po węgiersku **Katalin**] **Várady, z domu Sorg**, nazywana przez nas Omama pochodziła z niemieckiej rodziny mieszkającej w Bonyhád. Wyszła za mąż mając lat 16 i od młodości przejawiała talenty do interesów i właśnie ona dbała o zabezpieczenie majątkowe rodziny. Wstawała zawsze wcześniej rano, siadała przy oknie i czytała gazetę, a w lecie rozmawiała przez otwarte okno ze znajomymi. Posługiwała się wieloma językami (niemieckim, węgierskim, serbskim, rumuńskim, włoskim i francuskim) lecz wszystkimi źle, z wyjątkiem języka niemieckiego. Cała nasza gromadka wnucząt miała niezłą zabawę z lapsusów językowych babci.

Jej siostra również wyszła za mąż za przedstawiciela starego rodu węgierskiego z Pécs (po niemiecku Fünfkirchen) Eötös [?]. Jeden z dwu braci babci

ożenił się z panną Wosiński, z rodziny polskich emigrantów, którzy po powstaniu 1831 r. przeciwko Rosji stracili majątek i musieli uciec z ojczyzny, by uniknąć zsyłki na Syberię. Jeden z Wosińskich był prałatem i jednocześnie badaczem starożytności. Na wyprawy odkrywcze jeździł razem z hr. Zichy. Drugi z Wosińskich, zwany „schöner Pistábácsi” (piękny wuj Pistá) ożenił się z Marią z domu Siemens. Za jej posag kupił uzdrowisko Balf koło Sopron (Ödenburg). Podobno był strasznym tyranem. W małżeństwie tym urodziło się 10 dzieci – 7 synów i 3 córki. Z najmłodszą córką dr Elly Wosiński Guba ...[?] byłam w Wiedniu bardzo zaprzyjaźniona. Cio-cia Maria z Siemensów Wosiński przyjaźniła się z moją matką i pamiętam ją jako bardzo skromną osobę. Kiedyś powiedziała do mojej matki: „Kiedy byłam młodą dziewczyną chciałam mieć własną pokojówkę a nie wspólną z moją siostrą, a teraz ja jestem pokojówką moich 10 dzieci”. Wosińscy mają w Balf wielki grobowiec.



Zdjęcie ślubne Gizelli Várady i Stanisława Stawickowskiego, 12 czerwiec 1891, Nagy-Becskerek

Dziadkowie [József i Katharina] mieli 10 dzieci, z których siedmioro zmarło w dzieciństwie. Przy życiu pozostały Imre, Karcsi i moja matka Gizella.

Moja mama **Gizella**, z domu Várady, była drobna, delikatna, skromna – a przy tym błyskotliwa. Gdy wychodziła za mąż miała 19 lat i jak mi później krewni opowiadali, była uroczą panną młodą. Mieszkanie dla młodej pary było już przygotowane w jednym z domów babci w Nagy-Becskerek. Był to duży parterowy dom przedzielony bramą wjazdową i przejazdem. Z prawej i lewej strony były dwa mieszkania frontowe, w jednym mieszkali dziadkowie, a drugie mieszkanie było dla moich rodziców. Dalej wzdłuż dużego podwórza były z obu stron mniejsze mieszkania. Nad jednym była nawet szklana nadbudowa,

w której pewien fotograf miał swoje atelier. Przez jakiś czas to mieszkanie z atelier wynajmował młody malarz Ernest Hochschartner, wykonał wtedy portrety moich rodziców. (Wiele lat później, około 1915 r., mój ojciec spotkał Hochschartnera w Wiedniu w tramwaju. Malarz zaprosił go do siebie, do atelier, i pokazał wiele portretów znanych wówczas osobistości.) Jedno z mniejszych mieszkań zarezerwowane było dla matki mojego ojca, która część roku spędzała w majątku swojego brata w Żerosławicach, a część mieszkając blisko nas. Miała jednak swoją służącą i prowadziła oddzielne gospodarstwo domowe. Oprócz tego domu czynszowego Omama miała dwa duże domy jednorodzinne. W jednym mieszkał wraz ze swoją rodziną Imrebaćsi [z węgierskiego – wuj Imre], brat mojej matki, w drugim dr Heideger, nasz lekarz domowy. Ogród domu czynszowego przylegał do ogrodu Imrebaćsi; można tam było przejść przez furtkę w ogrodzeniu. Na posesji Imrebaćsi była wozownia i stajnia dla koni, w której stały też konie mojego ojca oraz duża krowa rasy szymentalskiej – aby dzieci miały dobre mleko. Były tam też króliki duże i małe, które lubiliśmy głaskać. Końmi zajmował się ciągle podpity ordynans Csanda János, który przedtem służył u huzarów. Jeszcze dziś widzę go stojącego w stajni i proszącego „Lilusiu (Lillyke) kochana, ja tylko troszkę wypilem, nie mów nic ojcu”. Wiele lat nie słyszeliśmy nic o Csanda Jánoszu aż tu około roku 1950 zjawił się u Imrebaćsi stary Węgier z długimi wąsiskami, w butach z cholewami. Był to Csanda János. Chciał jeszcze odwiedzić miejsce, gdzie czuł się szczęśliwy. Przy okazji opowiedział następującą historyjkę (która dobrze charakteryzuje stosunki panujące w wojsku przed I wojną światową): „W roku 1915 na froncie rosyjskim siedziałem z kolegami na ziemi. Nagle nadeszli wyżsi oficerowie. Poderwali się do pozycji na baczność. Jeden z oficerów podszedł i zapytał „Czy ty nie jesteś Csanda János? „Tak jest, Panie majorze”. Fakt, że major znał mnie z imienia i nazwiska, i że tak przyjaźnie ze mną porozmawiał, sprawił, że cieszyłem się wielkim poważaniem wśród żołnierzy.”

Skoro już pisałam o domu Imrebaćsi, opowiem teraz o nim i jego żonie.

Metatante (ciocia Meta) [*Tante* jest niemieckim określeniem cioci. Całość brzmiała by po niemiecku *Tante Meta*, a po węgiersku *Metanéni*. To dziwne połączenie *Metatante* informuje nas, że w domu mówi się po węgiersku, ale że ciocia jest z pochodzenia Niemką] z domu Putz była piękną, wysoką kobietą, kształconą przez prywatnych nauczycieli i u Urszulanek w Wiedniu. Była bardzo oczytana i pięknie grała na fortepianie. Chociaż była Niemką, nikt tak pięknie nie mówił po węgiersku jak ona. Ojciec Metatante był synem niezamożnego Szwaba [Ciocia nie pisze, czy chodzi o Szwaba ze Szwabii, czyli z południowych Niemiec, czy Szwaba z osadników szwabskich w Banacie, gdzie w XVIII wieku miała miejsce kolonizacja niemiecka.] i uczył się w klasztornej szkole u pijarów. Zakonnicy ci pomagali w dalszej nauce najzdolniejszym uczniom i dzięki nim ojciec Metatante ukończył w Wiedniu medycynę. Dr Putz żył ponad 90 lat, przez wszystkich poważany, prawdziwy anioł

stróż biednych. Zamieszkał w Béga-Szent-György [inna pisownia tej nazwy: Bégaszentgyörgy. Potocznie używano nazwy Szentgyörgy], miejscowości należącej do rodziny Kiss de Ittebe. Katharina Schratt Kiss [wieloletnia przyjaciółka i, jak niektórzy twierdzą, potajemnie poślubiona druga żona Cesarza Franciszka Józefa] przebywała niezbyt często w tej miejscowości, ale zaprzyjaźniła się z dr Putzem i prowadziła z nim ożywioną korespondencję. Listy te były przechowywane w rodzinie. Dr Putz ożenił się z Amalie Dienstl, córką podpułkownika c.k. armii, urodzonego w Pradze. Kiedy ich córka Meta wyszła za mąż za Imre Várady, doktorostwo Putz przenieśli się do Becskerek, aby być bliżej córki.

Imrebácsi był starszym bratem mojej matki. Nie był wysoki, ale miał bardzo miłą, pogodną twarz. Był wielkim węgierskim patriotą. Jego największą cnotą był humanizm. Dla niego wszyscy ludzie byli równi – biedni czy bogaci i niezależnie od narodowości i wyznania. Tylko pijaków nie lubił. Był antymilitarystą – podczas I wojny światowej uratował życie kilku Serbom. Miał duże poczucie humoru. Polityka była jego hobby. Wydaje mi się, że należał do partii, która miała w nazwie liczbę „48”. Był posłem do węgierskiego parlamentu i zwolennikiem reformy rolnej, aby chłopci nie musieli wyjeżdżać za chlebem do Ameryki. Jego przemówienia w parlamencie były bardzo znane. Twierdził, że trzeba zabrać chłopom łaskę wędrowca a dać ziemię, zabierając wielkie majątki ziemskie duchowieństwu. Po takich wystąpieniach w rodzinie było duże poruszenie, tym bardziej, że kuzyn Imrebácsi, zresztą zaprzyjaźniony z nim, dr Várady Lipot Árpád, był biskupem w Győr, a potem arcybiskupem w Kalocsa. Chyba w roku 1904 były wybory do parlamentu. Do Becskerek przyjechali elegancko wyglądający hr. Apponyi, hr. Andrassy z synem i Kossuth Franz, syn Kossutha Lajosa. Wszyscy przyjechali ze swoimi służącymi. Mimo że dom Imrebácsi był naprawdę duży i miał wiele sypialni, nie było łatwo wszystkich wygodnie umieścić. Część domowników przeniosła się na czas wizyty do Omamy, a część do nas i w ten sposób, zarówno wysocy rangą goście, jak i ich służący i żandarmeria, która musiała być na miejscu, zostali rozmieszczeni. Hrabia Apponyi był świetnie wyglądającym mężczyzną z długą brodą. Był doskonałym mówcą i to w wielu językach. Później brał udział w Konferencji Pokojowej w 1919 w Saint-Germain i próbował uratować dla Węgrów, co tylko możliwe. Kiedy Becskerek po I wojnie światowej przydzielony został Serbii, Imrebácsi dalej był politycznie zaangażowany jako senator w Skupstynie, a dzięki dobrym kontaktom z serbskimi politykami, mógł wiele uzyskać dla mniejszości węgierskiej. Regent Paweł Karadziordziewicz (stryj nieletniego króla) od czasu do czasu zapraszał Imrebácsi, do siebie, do Belgradu dla omówienia różnych spraw. Żona Imrebácsi Meta (dla nas Metatante) była prawdziwą artystką w aranżowaniu przyjęć. Kiedyś byłam na takim przyjęciu – chyba było to z okazji wyborów do Skupstiny – było kilku serbskich ministrów, między innymi Pribaczewicz i elegancki minister spraw zagranicznych Momčilo Ninčić,

z którym mogłam dłuższy czas porozmawiać. To był rok 1926, w którym Momčilo Ninčić został przewodniczącym Ligi Narodów w Genewie.

Węgierskim przeciwnikiem Imrebácsi był adwokat z Suboticy (Szabatka) dr. Strelecky. Był on szwagrem pani Rudnay. W pani Rudnay zakochał się jedyny syn arcyksięcia Fryderyka [Habsburg, książę cieszyński] i poślubił ją. Arcyksiążę Fryderyk był podobno jednym z bogatszych Habsburgów. Rodziły mu się same córki, a on wciąż czekał na syna. Podobno, kiedy kolejny raz urodziła się córka, ginekolog, nie wiedząc jak zakomunikować arcyksięciu tę wiadomość, powiedział: „Wasza Wysokość będzie się musiał jeszcze raz potrudzić”. W końcu się udało, urodził się syn, który potem popełnił taki mezalians, żeniąc się z panią Irene Rudnay (z domu Leibach) [Jako ciekawostkę przytoczę informację znalezioną w internecie, że Irene Leibach jest wymieniona wśród potomków posłów i senatorów Sejmu Wielkiego (Czteroletniego) I Rzeczypospolitej].

Imrebácsi miał winnicę i letnią willę z parkiem przylegającym do rzeki Begej – można tam było uprawiać wszystkie sporty wodne. W parku był też porządny kort tenisowy. Nauczyciel gimnastyki z miejscowego gimnazjum, piękny prof. Krystian uczył nas grać w tenisa. Córka profesora była zarówno na Węgrzech jak i w Serbii znaną sportsmenką. W grze w tenisa byłam później najlepsza z całej rodziny – w 1936 r. zdobyłam mistrzostwo Małopolski. Wygrałam też kilka mniejszych turniejów – przede wszystkim w deblu i miksie. Dla dzieci był też koń wierzchowy, boisko do krykieta i różne przyrządy gimnastyczne. Czuliśmy się tam jak w raj. W willi i w ogrodzie było zawsze dużo gości. Wszyscy mogli zabierać sobie owoce. Stałe zaproszenie do ogrodu miały dzieci z domu sierot. Przychodziły z koszami, zrywały owoce i zносиły je do swojego wspólnego domu.

W czasie II wojny światowej Imrebácsi miał prawie 80 lat, ale był jeszcze krzepki. Beckerek zajęły wojska niemieckie. Imrebaći był niechętny wojskom niemieckim, ale wzajemne stosunki były poprawne. Kiedyś wcześniej rano przyszła do Imrebaći duża grupa ludzi – sami Serbowie, płaczące kobiety i starzy mężczyźni. Opowiadali, że w nocy Niemcy wzięli do więzienia mężczyzn i prosili go o pomoc. W grupie Serbów był nauczyciel, któremu Imrebaći polecił spisać nazwiska uwięzionych i z tą listą udał się nie do niemieckiej komendantury w Kikinda [?], gdzie nie znał nikogo, lecz do Szabatka (Subotica), gdzie jego dawny przyjaciel był komendantem oddziałów węgierskich (jeśli się nie mylę był to generał Rac). Ten przyjął go bardzo serdecznie, ale ponieważ sam nie mógł nic zrobić, dał Imrebácsi list polecający do komendanta niemieckiego i zadzwonił do niego, zapowiadając przybycie Imrebácsi. Niemiecki generał w Kikinda początkowo nie chciał się zgodzić. Imrebácsi argumentował, że to są rolnicy, a jest właśnie czas żniw. Musiał zagwarantować własną głowę i majątkiem, że to nie są partyzanci i Serbowie zostali zwolnieni. Później, gdy armia sowiecka zajęła Beckerek i wielu Węgrów, którzy tam jeszcze mieszkali, zostało wyrzuconych, Serbowie ochronili rodzinę Imrebaći. W roku 1956 wreszcie

znowu można było w Polsce dostać paszport i mogłam być na uroczystości 90-lecia Imrebácsi. Umarł w wieku 92 lat [w lutym 1959 r.] i chociaż nie był zbyt pobożny, podobno przed śmiercią ukazała mu się Matka Boska – tak mi opowiadał jego syn Józsi. Biskup Nagy-Becskerek (chyba Lehman) udzielił mu ostatniego namaszczenia.

[Imre i Meta Várady mieli siedmioro dzieci: Edith – zdrobniale Mauszi, Hajnalka – zdrobniale Bubus, Ernő, Tibor, Piroska, Jozsef, Loránd]

Drugi brat mojej matki, **Karcsibácsi** [z węgierskiego – wuj Karcsi], był zawodowym oficerem. Był dobrodusznym człowiekiem. Długo czas się nie żenił. Wziął z wojska jeden albo dwa lata urlopu i wyjechał w podróż po świecie. Był na wszystkich kontynentach – oprócz Australii. Z podróży przywiózł różne pamiątki – w jego zbiorach były, między innymi, ręka mumii, jakieś monety, skarabeusz, mały kotek z kamienia. Wszystkie swoje „skarby” trzymał Karcsibácsi w pudle obitym czerwonym aksamitem, z oszkloną pokrywą. Karcsibácsi był wzruszającym synem, bratem i wujem – ciągle myślał, jak i kiedy sprawić komuś radość. Rozpieszczał przede wszystkim nas – dzieci swojej siostry, o co była trochę zazdrosna Metatante i nie bardzo lubiła swojego szwagra i jego późniejszej żony. Pewnego dnia otrzymaliśmy całkiem niezwykły prezent – ku niezadowoleniu rodziców i służby. Był to kupiony na jakiejś wystawie śliczny niebieski wózek, z czterema siedzeniami z czerwonej safianowej skóry, ciągnięty przez dwie białe kozy. Mój najstarszy brat Karcsi pełnił rolę woźnicy, ale służący Milan albo Slawko musieli biec za nami i asekurować te wyprawy. Kozi zaprzęg był oczywiście sensacją dla wszystkich dzieci w mieście. Pewnego dnia kozy weszły z ogrodu do otwartej kuchni, w której akurat nikogo nie było, i potłukły przyniesioną do mycia zastawę stołową. Po tym „przestępstwie” zniknęły. Pewnie zostały komuś sprzedane albo podarowane. W wózku, ale już ciągniętym przez koniki pony a nie kozy, jeździły później dzieci Karcsibácsi w Zagrzebiu, gdzie miał siedzibę garnizon Karcsibacsi tuż przed I wojną światową.

Karcsibácsi ożenił się stosunkowo późno. Jego żona, **Tecinéni** [z węgierskiego – ciocia Teci], czyli Teréza z domu Krcselics była Chorwatką. Jej ojciec był właścicielem statków, podobno na siódmym miejscu w monarchii, jeśli chodzi o wielkość tonażu. Mieszkali w obszernym domu w Becskerek. Tecinéni była wysoka i silna. W młodości mało dbała o swój wygląd, dopiero w późnym wieku wyglądała elegancko. Nie miała spokojnego życia, gdyż jej mąż ze swoim pełnym fantazji usposobieniem nie pasował do rygorów wojskowych, był przeważnie skonfliktowany z przełożonymi i często przenoszony z jednego garnizonu do drugiego. Na szczęście Tecinéni miała łagodną naturę. Kiedy, na przykład, ktoś ze służby stłukł coś (a miała bardzo cenną porcelanę) nie robiła awantur, co bywało częste u innych pań domu, lecz mówiła „przynajmniej o jedną rzecz mniej do pakowania”. Karcsibácsi i Tecinéni mieli dwoje dzieci: syna Karcsi i córkę Kato.

Syn Karcsi został znanym ginekologiem węgierskim, pisywał artykuły do czasopism lekarskich, także niemiecko- i angielskojęzycznych. Ożenił się z przesiłiczną Szwajcarką z Monteux i mieszkał w Sopron. Za czasów komunistycznych był przez wiele lat więziony i torturowany, jego żona również trafiła na 4 lata do więzienia, wypuszczono ją po rewolucji 1956 r. Dzieci nie mieli.

Córka Kato, nauczycielka języka niemieckiego, wyszła za mąż za nauczyciela o nazwisku Réthy, który męczony przez komunistów popełnił samobójstwo. Kato z mężem mieszkała w Békéscsaba i urodziła tam dwie córki. Békéscsaba była ostatnią siedzibą Karcsibácsi i jego rodziny. Tam w czasie okupacji rumuńskiej (1919-1920) musiał się ukrywać – miał schowek zrobiony w chlewie. Odwiedziliśmy wujostwo w Békéscsaba. Był to ostatni wyjazd naszej mamy na Węgry przed jej śmiercią w 1925 r. Karcsibácsi też wkrótce umarł na marskość wątroby.

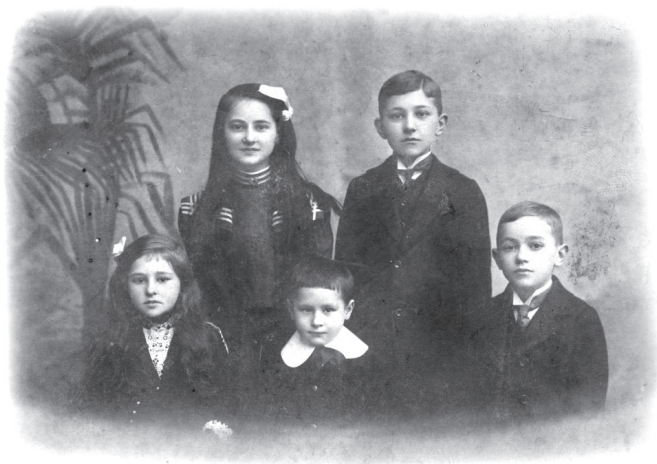


Stanisław Sławikowski z dziećmi (od lewej): Eugeniusz (Jenő), Gizela, Erwin, Karol (Karcsi) i Lilly (Helena)

Moi rodzice mieli siedmioro dzieci. Dwaj najstarsi synowie zmarli w dzieciństwie – Józsi w wieku 4 lat na zapalenie opon mózgowych, a Laci wkrótce potem, w wieku 2 lat, na dyfteryt. Do końca życia nasza mama nie mogła przeboleć zwłaszcza śmierci Józsi, chociaż później miała jeszcze 5 dzieci: Karcsi, Gizela, Jenő, Lilly, czyli ja, i najmłodszy Erwin. Dwoje najstarszych, czyli Karcsi i Gizela, byli wzorowymi uczniami we wszystkich szkołach, Jenő i ja byliśmy średniakami, tylko w matematyce, historii, chemii i fizyce byliśmy bardzo dobrzy a Erwin na początku, w szkole podstawowej, był bardzo greczny i dobrze się uczył, potem nauka przestała go interesować, ale nigdy nie powtarzał klasy. Zamiast przygotowywać się do lekcji, chodził po szkole do stolarza i do

mechanika samochodowego i dla własnej przyjemności opanował te dwa rzemiosła. Gdy Erwin był już w krakowskim gimnazjum w ostatniej klasie, dyrektor wezwał naszego ojca: „Dlaczego taki zdolny uczeń ma tyle niedostatecznych?”. Erwin się zmobilizował, poprawił wszystkie oceny i zdał maturę. Studia, rolnictwo na Uniwersytecie Jagiellońskim, ukończył w najkrótszym możliwym czasie.

[Uzupełnię opis umiejętności mojego ojca, chociaż dotyczą okresu po II wojnie światowej. Był tzw. „złotą rączką” i nie tylko mechanika i stolarstwo, których się uczył, ale też instalacje elektryczne i hydrauliczne nie były mu obce – na użytek domowy. Najbardziej podziwiałam go jednak za samodzielne opanowanie wiedzy weterynaryjnej i niesamowitą intuicję w diagnozach. Gdyby nie musiał pracować, poszedłby jeszcze na weterynarię. Do tej pory trzymam wiele tomów „Tierheilkunde und Tierzucht”, wyd. Urban & Schwarzenberg / Berlin und Wien 1937, bo przypominają mi ojca. Po wojnie, w roku 1944 ojciec organizował szkołę rolniczą o kierunku hodowlanym w Tarnawatce w pow. tomaszowskim, a ponieważ wówczas brakowało na prowincji lekarzy weterynarii ojciec sam leczył zwierzęta w przyszkolnym gospodarstwie. Leczył też bezpłatnie okolicznym gospodarzom bydło i konie. Później, w latach 1949-1968, w Werbkowicach w powiecie hrubieszowskim, gdzie ojciec kierował rolniczym zakładem doświadczalnym (ZD IUNG) nadzór weterynaryjny nad oborą, chlewnią i owcami miała niezwykła osoba, Rosjanka, dr wet. Halina Niedźwiedź (Galina Miedwied’), ale każdy przypadek choroby i metody jej leczenia, omawiali wspólnie i były to dyskusje równorzędnych fachowców.]



Dzieci Gizelli i Stanisława Sławikowskich. W górnym rzędzie od lewej: Gizela i Karol (Karcsi), w dolnym rzędzie od lewej: Lilly (Helena), Erwin i Eugeniusz (Jenö)

Karcsi [Karol] Sławikowski był wybitnie zdolnym uczniem a oprócz tego był bardzo muzykalny. Zdał egzaminy wstępne do Wiedeńskiej Akademii Konsularnej i został tam przyjęty. Była to bardzo elitarna uczelnia znana na całym

świecie. Studenci nosili wytworne uniformy, a podczas uroczystości szpady. Byli chętnie widziani w każdym dobrym towarzystwie. Wykłady prowadzili przeważnie profesorowie Uniwersytetu; jeden dla 2-3 studentów. W całej Akademii było 40-45 studentów, a więc na jednym roku najwyżej dziewięciu. Studenci byli podzieleni na sekcje, na przykład orientálną lub zachodnią. Karcsi studiował w sekcji orientálnej i bardzo dobrze mówił i pisał po turecku, persku i arabsku. Oprócz tego musiał też znać perfekcyjnie język francuski. Oczywiście posługiwał się biegle i bezbłędnie językiem węgierskim, niemieckim i serbskim. W 1914-1915 r. musiał przerwać studia i wstąpić do wojska. Służył w 2 Pułku Cesarskich Strzelców Tyrolskich [2. Regiment der Tiroler Kaiserjäger]. Ze względu na dobrą znajomość języka tureckiego został oddelegowany do sztabu Enwer Paszy jako tłumacz. Koniec wojny zastał go w Palestynie [Palestyna w czasie I wojny światowej była terenem walk wojsk niemiecko-tureckich i brytyjskich.] Uszedł z życiem, choć obrabowany ze wszystkiego. Przez Węgry dostał się do Wiednia. Jeśli mnie pamięć nie myli, Horthy tworzył w Szeged armię przeciwko Béla Kunowi (komunista) i Karcsi do niej wstąpił. Ta (biała) armia miała krótki żywot i Karcsi przez Nagy-Becskerek i Belgrad dostał się do Wiednia. Jugosłowiańskim ministrem spraw zagranicznych był wówczas Pašić, krewny Gustibácsi, który zaproponował Karcsiemu pracę w ministerstwie. Jako że Nagy-Becskerek przydzielono po I wojnie światowej Jugosławii, według prawa jugosłowiańskiego byliśmy Serbami. Karcsi chciał jednak ukończyć Akademię, wrócił więc do Wiednia, podjął na nowo studia i dwa ostatnie lata (czwarty i piąty) zrobił w ciągu jednego roku. Potem wstąpił do polskiej służby dyplomatycznej. Karcsi miał zwyczaj pisanego dziennika. Najpierw robił to po francusku a potem po turecku, aby nikt nie mógł go przeczytać. Niestety ten nieprzeciętnie utalentowany człowiek nie zrobił kariery w polskiej dyplomacji – był zbyt skromny.

[Jestem w posiadaniu dzienniczków wuja z krótkimi, codziennymi zapiskami od listopada 1939 r. do 1957 r. włącznie, w języku polskim, ostatnie dwa lata w języku angielskim. Polszczyzna w tych notatkach jest bezbłędna, chociaż wuj nigdy nie chodził do polskiej szkoły. Nie poznałam nigdy wuja osobiście. Osoby, które go znały, w tym moja matka, wspominały go jako urokliwego, ale małomównego człowieka, z wyrafinowanym poczuciem humoru, pięknie grającego na skrzypcach. Nie założył rodziny.]

Karcsi zmarł w Londynie (kwiecień 1959) po dwu latach zmagania się z rakiem. Na szczęście mogłam rok wcześniej wyjechać do Londynu i pielęgnować go. Umarł na moich rękach. Pochowałam go w Londynie.

Gizus [Gizela] Sławikowska, po mężu Maszlanka, również duma rodziny, miała ładną twarz, ciemne falujące włosy i duże oczy o szczególnym wyrazie. Później, na Syberii, polski ksiądz Tadeusz Fedorowicz [Ksiądz Tadeusz Fedorowicz (1907-2002) wyjechał dobrowolnie z transportem zesłańców na Syberię. Od 1947r. aż do śmierci był duszpasterzem w Zakładzie dla Ociemniałych w Laskach] powiedział,

że Gizusia ma najpiękniejsze oczy, jakie kiedykolwiek widział. Ukończyła szkołę dla córek oficerskich w Hernals pod Wiedniem (teraz jest to dzielnica Wiednia). Wybrała kierunek pedagogiczny. W tej szkole corocznie trzy najlepsze maturzystki otrzymywały złotą broszkę z literą „E” (od imienia cesarzowej Elżbiety) wysadzaną brylancikami. W 1917 roku, gdy Gizus zdawała maturę, cesarzową była Zyta, więc na broszkach była litera „Z”. W następnym roku monarchia upadła, tak więc istnieją tylko trzy takie broszki z literą „Z”. Otrzymały je Gerda Lorenz, Helena Kustroń i Gizela Sławikowska. Jestem dumna, że z trzech najlepszych uczennic, dwie były Polkami. Helena Kustroń, która nie wyszła za mąż i nie miała żadnych bliskich krewnych, podarowała swoją broszkę arcyksięciu Otto Habsburgowi, synowi ostatniego cesarza.

Gizus była bardzo słabowitym dzieckiem, a jako młoda dziewczyna nabawiła się modnej wówczas choroby – nieżyty szczytów płuc. Musiała spędzać dużo czasu w Semmeringu i Abbacji [obecnie Opatija w Chorwacji] a mimo to nie tylko nigdy nie powtarzała klasy, lecz zawsze była wzorową uczennicą. Gizus była też bardzo muzykalna – bardzo dobrze grała na fortepianie. Jej wadą było łatwe obrażanie się, a to utrudnia życie. Gizus wyszła za mąż za oficera sztabu generalnego Bronisława Maszlankę.



Herculesbad – 1909. Stanisław Sławikowski (siedzi w środku, na tylnym siedzeniu),
Jenő i Karcsi (zaglądają z obu stron kierowcy)

Jenő [Eugeniusz] **Sławikowski** (ur. w 1900 r. w Temesvár, obecnie rumuńskie miasto Timișoara) był przeciętnym uczniem, ale od dzieciństwa był bardzo wysportowany. Wcześniej zaczął jeździć konno i grać w tenisa. Razem z siostrą

cioteczną Bubus Várady zawsze skorzy byli do kawałów. Trudno sobie wyobrazić weselszą i bardziej szaloną parę. Bubus, która była bardzo inteligentna, wyszła za mąż do Holandii, tam stała się bardzo dystyngowana. Była przy tym ładna, bardzo zgrabna i знаła biegle kilka języków (węgierski, niemiecki, francuski, angielski a potem też holenderski). Otaczała się tylko wykształconymi ludźmi. Udało jej się przez przyjaciółkę, która była w Persji, wysłać nam do Kazachstanu 2 paczki – myślę, że bez tej drugiej paczki nie przeżyłybyśmy stalinowskiego piekła. Była to przede wszystkim herbata, którą wymienialiśmy na inne artykuły spożywcze. Jenő został oficerem. Kształcił się w Wyższej Szkole Realnej w Pressburgu (obecnie Bratysława), potem w Akademii Artylerii w Traiskirchen (20 km od Wiednia). W 1918 r, po upadku monarchii przeniósł się do Akademii Wojskowej Ludowika w Budapeszcie. Tam przeżył komunistyczne powstanie Béli Kuna. Młodych akademików uwięziono i grożono im powieszeniem. O ile dobrze pamiętam, do ich uwolnienia przyczynił się włoski attaché wojskowy w Budapeszcie. Jenő z kolegą, baronem Zsigmondem Reviczky, przedostali się do Krakowa. Siostra Zsigmonda, Ferida, była żoną Odrowąż-Pieniążka i osobą majątną. Miała piękną biżuterię, którą straciła po II wojnie światowej. Jak Rosjanie zbliżali się do Krakowa, uciekła z dwiema dorosłymi córkami do Budapesztu. Na dworcu czekał na nie przerażony Zsigmond i powiedział, że Rosjanie prędzej dotrą tutaj, niż do Krakowa. Tak też zresztą było. Ferida uciekła dalej na zachód do Ödenburga (Sopron), ale tam wkrótce dotarli Rosjanie. Schowała się z córkami w jakiejś piwnicy, ale tam je znaleziono. Jakiś Rosjanin pchnął ją tak silnie na beczkę, że złamał jej prawie wszystkie zęby i zerwał jej z szyi woreczek z biżuterią. Ferida opowiadała mi to, jak spotkałyśmy się po wojnie w Krakowie. Zsigmond, jej brat, kapitan artylerii, przeżył II wojnę światową, ale nie służył potem w komunistycznej armii i został stolarzem.

Mój brat Jenő został przyjęty do armii polskiej i, chociaż prawie wcale nie znał wtedy języka polskiego, został przydzielony jako tłumacz do francuskich oficerów, którzy byli w Polsce doradcami wojskowymi. Niektórzy z nich już wtedy lepiej rozumieli po polsku, niż Jenő. Po wyjeździe doradców wojskowych do Francji, Jenő został przydzielony jako podporucznik do 6-go Pułku Artylerii Lekkiej w Krakowie-Łobzowie. Jenő był bardzo urodziwym mężczyzną; wysoki, proporcjonalnie zbudowany, niezwykle dbający o nienaganny wygląd. Ordynans poświęcał dużo czasu na glansowanie jego oficerek, które musiały z daleka błyszczeć. Był przy tym wesoły i do wszystkich przyjaźnie usposobiony. Żołnierze uwielbiali go. Starał się organizować im jakieś rozrywki, konkursy. W 1939 r. Jenő dostał się razem z wieloma tysiącami polskich oficerów do niewoli sowieckiej i został rozstrzelany w Katyniu.

Kolejnym dzieckiem byłem ja, czyli **Helena**, używająca imienia **Lilly, Sławikowska**. Byłam chyba niesympatycznym dzieckiem, bo byłam bardzo żywa, a przy tym płaczliwa. Chciałam zawsze bawić się z chłopcami, a oni mi dokuczali.

Gdy miałam 6 lat rodzice dali mnie do 1. klasy do klasztoru Notre Dame. Oprócz nauki w szkole miałam prywatne lekcje francuskiego i gry na fortepianie – po 2 godziny tygodniowo. Francuskiego w klasztorze uczyła mnie najpierw dystyngowana siostra Antoinette, która wkrótce umarła. Potem uczyła nas surowa Szwajcarka panna Elisabeth Römer [?]. Pannę Römer odwiedziłam w 1968 r. w Zurychu – bardzo się z moich odwiedzin ucieszyła. Zmarła w 1972 r. mając 102 lata, jako najstarsza mieszkanka Zurychu. Do gry na fortepianie nie miałam talentu – 8 lat męczyły się ze mną różne nauczycielki. Osiągnęłam pewną biegłość i lubiłam szybko grać, traktując to jako ćwiczenie gimnastyczne, ale piękne to nie było.

W Nagy-Becskerek moi rodzice prowadzili spokojne życie rodzinne. Choć my dzieci (z wyjątkiem Karcsi i Gizus) byliśmy bardzo żywi i ciągle nam psoty były w głowie – wyczyniane razem z naszymi kuzynkami i kuzynami – w sprawie nauki musieliśmy być bardzo zdyscyplinowani. Tu tatuś był dosyć wymagający. Zadane lekcje musiały być odrobione, na fortepianie trzeba było ćwiczyć. Karcsi i Jenő uczyli się gry na skrzypcach. Karcsi grał też bardzo dobrze na fortepianie, chociaż nikt go tego nie uczył – miał słuch absolutny.

We wspomnieniach z Nagy-Becskerek nie mogę pominąć naszej dobrej starej kucharki Katinéni. Była analfabeta, jak wówczas większość prostych ludzi, ale bez książki kucharskiej gotowała fantastycznie. Często kłóciła się z ordynansem Ilją. Choć chyba nie byłam miłym dzieckiem, ale właśnie mnie najbardziej lubiła i czasem mnie gdzieś ze sobą zabierała. Kiedyś wzięła mnie ze sobą na jarmark. Stały tam budy, w których za opłatą można było oglądać różne dziwolagi, np. ciele z dwiema głowami itp. Właściciel jednej budy głośno zachęcał: „Za 2 krajcary można zobaczyć ostatni oddech Napoleona”. O Napoleonie już wtedy słyszałam, bo Imrebacsi opowiadał nam o historii i o sławnych ludziach i pokazywał ilustracje w książkach. Uprosiłam Katinéni i weszliśmy do budy. Stał tam mały stół, na nim pusty szklany słój, w jakim wtedy kisiło się ogórki, przykryty szczelnie zawiązanym pęcherzem świńskim, a w środku był rzekomo ostatni oddech Napoleona. Muszę też wspomnieć wspaniałego ordynansa Rumuna Ilję. Na początku był też analfabeta. Karcsi uczył go czytać i pisać, co bardzo szybko opanował. Ilja był bardzo zręczny w typowo żeńskich pracach. Świetnie gotował, robił na drutach, prasował. Jak mu się skończyła 3-letnia służba wojskowa, najął się do Metetante w charakterze służącej. Jestem przekonana, że musiał zginąć podczas I wojny światowej, gdyż nigdy więcej o nim nie słyszeliśmy.

W 1912 r. musieliśmy opuścić Nagy-Becskerek, gdzie ojciec służył w 29. IR (29. Pułk Piechoty) „Freiherr von Laudon”, bo został majorem i w tym samym 29 pułku otrzymał batalion w Temesvár.

[Cała rodzina była bardzo zżyta i prowadziła ożywioną korespondencję. Dopiero moje pokolenie zatraciło tę więź. Od czasu do czasu pisuję jeszcze do mieszkającej w Budapeszcie Cili, wnuczki brata mojej babci Gizeli, we wspomnieniach Cioci występującego



Zdjęcie rodzinne w Nagy-Becskerek (obecnie Zrenjanin w Serbii)

Siedzą w środku po obu stronach wazonu: Katalin z domu Sorg (ur. 1844, zm. ?) i jej mąż József Várady (ur. 1829, zm. ?). Na lewo od Katalin siedzi jej synowa Meta z domu Putz (ur. 1876, zm. 1938) i trzyma na ręku córkę Piroškę Várady (ur. 1910, zm. ?). Nad Metą Várady stoi jej mąż Imre Várady (ur. 1867, zm. 1959). Na lewo od niego stoi Karol (Karcsi) Sławikowski (ur. 1896, zm. 1959 w Londynie). Na lewo od Mety stoi córka Mety i Imre – Hajnalka (zdrobniale Bubus) Várady, (ur. 1900, zm. ?), na lewo od niej druga córka Edit (zdrobniale Maus) Várady (ur. 1898, zm. ?). Nad Katalin stoi jej córka Gizella z domu Várady (ur. 1871, zm. 1925 w Krakowie) obok niej stoi jej mąż Stanisław Sławikowski (ur. 1866 w Tymbarku, zm. 1948 w Bochni). Na prawo od Józsefa Várady siedzi jego synowa Teréza z domu Krcselics (ur. 1884, zm. 1962) na ręku trzyma córeczkę Katalin (ur. 1909, zm. 2011), nad nią jej mąż Károly Várady (ur. 1869, zm. 1929). Na prawo od niego stoi Gizela Sławikowska (ur. 1898, zm. 1988 w Warszawie), niżej siedzi Helena (Lilly) Sławikowska (ur. 1902, zm. 1994 w Wiedniu). Najniżej od prawej strony: Eugeniusz (Jenő) Sławikowski (ur. 1900, zginął w Katyniu 1940), Tibor Várady (syn Mety i Imre, ur. 1900, zm. 1975), Károly Várady (syn Teréz i Károly, ur. 1907, zm. 1979), Erwin Sławikowski (ur. 1905, zm. 1994 w Pruszkowie), Ernő Várady syn Mety i Imre (ur. 1901, zm. ?). Zdjęcie musiało być zrobione około 1911, bo nie ma na nim jeszcze dwu synów Mety i Imre, to jest Józsefa (ur. 1912 r., zm. 1988) i Lóránda ur. 1918.

jako Karcсібасci. Jesteśmy rówieśnikami i Ciocia była inicjatorką naszej korespondencji, a potem już same chciałyśmy się poznać i wzajemnie odwiedziłyśmy się w naszych latach studenckich i później już z rodzinami. Z inicjatywy Cioci zostałam zaproszona w 1968 r. do Becskerek, dokąd też ona sama przyjechała z Wiednia. Przed wyjazdem odwiedziłam w Warszawie ciocię Gizelę i usłyszałam od niej: „Jak ci zazdroszczę, w Becskerek całowa-

łabym każdy kamień.” Samo miasto i rolnicza okolica nie zrobiły na mnie wrażenia, za to wręcz oczarowana byłam wujem Józsi Várady (jeden z siedmiorga dzieci Imrebácsi i Metatante), polubiłam jego żonę Zorkę a w trójce kuzynostwa, zwłaszcza w kuzynce Poji, mimo mojego „kulawego” wtedy języka niemieckiego, odnalazłam bratnie dusze. W domu mówiło się po węgiersku, a tylko ze względu na mnie po niemiecku. Wszyscy mówili też oczywiście po serbsku – młodzię studiowała w Belgradzie, który mi Poji pokazała. Podczas tego pobytu uświadomiłam sobie, że poczucie narodowości na terenach wieloetnicznych jest kwestią wyboru, a nie krwi. Uświadomiłam sobie to w rozmowie z moim kuzynem Tiborem, że w nim i we mnie było tyle samo krwi węgierskiej, a on czuł się Węgrem i miał formalnie wpisaną narodowość węgierską (obywatelstwo jugosłowiańskie), a ja czułam się Polką, choć pamiętałam o moich przodkach z Banatu. Nasi wspólni pradiadkowie to powstaniec węgierski z 1848 r. i Niemka, jego dziadkowie to syn tychże i Niemka, jego rodzice to syn tych ostatnich i Chorwatka – a więc 1/8 krwi węgierskiej. U mnie pradiadkowie ci sami, czyli Węgier i Niemka, dziadkowie to córka tej pary i Polak, rodzice: syn tejże pary i Polka – a więc 1/8 krwi węgierskiej. Czymś zupełnie niezwykłym był dla mnie sam dom i jego atmosfera. Na kimś, kto pochodził, na przykład, z niezniszczonego w czasie wojny Krakowa, nie zrobiłoby to wrażenia, ale dla mnie przebywanie we wnętrzach, w których te same meble stały w tym samym miejscu od ponad stu lat, gdzie w bibliotece rzędem stały eleganckie wydania klasyków węgierskich i niemieckich, gdzie jedyny znak współczesności – telewizor schowany był w starej szafce, którą otwierało się tylko na określone, wybrane programy telewizyjne, było nowym doznaniem. Na co dzień jadało się przy stole nakrytym białym obrusem, a do obiadu piło się wino. Wuj miał kancelarię adwokacką, w której pracowała też ciocia. Dom prowadziła zatrudniona w rodzinie Várady od młodości około 60-letnia gosposia, Słowaczka. Zdaje mi się, że miała w tym absolutną samodzielność. Pomagała jej przychodząca na kilka godzin dziennie młoda dziewczyna. Sam dom opisała Ciocia w swoich wspomnieniach. Dodam tylko, że zabudowa mieszkalna małych miast, czy dzielnic poza śródmieściami dużych miast, jest całkowicie różna w Polsce i w krajach na południe od nas. U nas domy jednorodzinne są przeważnie wolnostojące i otoczone ogrodem, tam stanowią zwartą, parterową zabudowę ulicy, niewiele różniąc się między sobą szerokością czy detalem architektonicznym okien i bram i trudno, patrząc na nie od frontu, domyślić się czy są tam np. trzy pokoje, czy dziesięć, bo, w zależności od zasobności i potrzeb rodziny, sięgają bliżej lub dalej wzdłuż posesji zakończonej ogrodem. Sándor Márai w „Wyznaniach patrycjusza” (wydawnictwo „Czytelnik”, 2005, str 8) tak opisuje ten typ zabudowy w jego rodzinnych Koszycach:

„Wszystkie domy w tym mieście, nawet te, w których mieszkało kilka rodzin i mieszkańcy płacili czynsz, robiły wrażenie domów rodzinnych. Właściwe miasto było tak naprawdę niewidzialne; budowane na tyłach parterowych domów, stanowiących front ulic, rozciągało się niejako za ich plecami. Gdy przechodzień zajrzał w głąb którejś z bram, widział wokół podwórza kilka mniejszych domków, wzniesionych przez wnuki i prawnuki właścicieli; gdy któryś z synów się żenił, dobudowywano następne skrzydło. Miasto chowało się w podwórzach domów. Ludzie żyli jakby w ukryciu, zazdrośnie strzegąc prywatności, i z czasem każda rodzina stworzyła sobie niewidoczny dla innych interior, coś w rodzaju małego osiedla, które reprezentował przed światem jedynie kamieniczny front”].



Stanisław Sławikowski w c.k. armii austro-węgierskiej

Temesvár 1912-1914

W Temesvár mój ojciec znalazł wkrótce bardzo piękne mieszkanie w willi adwokata Pokomandego, położonej w parku Franciszka Józefa. W tej nowocześniejszej willi były cztery obszerne mieszkania; dwa na parterze i dwa na piętrze. Zamieszkaliśmy na parterze, drugie mieszkanie na parterze zajmowała rodzina żydowskich fabrykantów, na piętrze w jednym mieszkaniu mieszkał adwokat Pokomandy, a w drugim jego bogata i dobroduszna teściowa. Nasi sąsiedzi, państwo Weiß, byli nieszczęśliwymi ludźmi. Mieli jedyną córkę i ona była w Wiedniu, w zakładzie psychiatrycznym. Pani Weiß była bardzo wykształconą kobietą. Mieszkanie było pięknie urządzone z cennymi obrazami i rzeźbami. Jako że pani Weiß była wielbicielek Dantego, w salonie stało duże marmurowe popiersie poety. Pani Weiß (którą my dzieci nazywaliśmy Paradeisnéni [czyli „rajska ciocia”]) bardzo chętnie się mną zajmowała, pokazywała mi różne rzeczy i jeśli dzisiaj znam się trochę na brylantach i w ogóle na biżuterii oraz na futrach, zawdzięczam to jej. Pan Weiß był hazardystą i pewnego razu musieli wszystko sprzedać i wyprowadzić się. Pani Weiß nie chciała się rozstać tylko z popiersiem Dantego. Podobno wyjechali do Marienbadu, gdzie pani Weiß pracowała jako kasjerka w jakimś sklepie, a co robił jej mąż, nie wiem. Po niedługim czasie znaleźli się w Wiedniu, gdzie byli już właścicielami fabryki kołder/kocy w siódmej dzielnicy. Gdy po I wojnie światowej pojechaliśmy z matką do Wiednia, odwiedziłyśmy państwa Weiß. Najwidoczniej dobrze im się powodziło. Mieszkanie było pięknie urządzone, a na ścianach wisiały cenne obrazy. Nie wiem, co się z nimi działo w czasie II wojny światowej. Mam nadzieję, że zdążyli wcześniej umrzeć i że nie skończyli w komorze gazowej.

W willi Pokomandyego czuliśmy się bardzo dobrze. Mama prawie codziennie około godziny trzynastej wychodziła do parku z robótką szydełkową. Tam było miejsce spotkań rodzin oficerskich. Pamiętam, jak kilku generałów (Maixner, Krautwald) grało ze mną w piłkę, z czego byłam bardzo dumna. Myślę, że bardzo cenili moich rodziców i chcieli w ten sposób zrobić przyjemność mojej mamie. W Temesvár mieszkał Gustibácsi, bogaty krewny mojej mamy – był dyrektorem banku. Nie był żonaty i mieszkał z siostrą w wielkim mieszkaniu; zresztą cały dom był jego własnością – było tam kilka wygodnych mieszkań. Kiedy siostra umarła, poczuł się samotny i opuszczony i poprosił moich rodziców, aby się do niego sprowadzili. Chciał, abyśmy zamieszkali w jego wielkim mieszkaniu, a sam chciał się przenieść do mniejszego czteropokojowego. Miał z nami jadać obiady. Mieliśmy doskonałą kucharkę, a jedna osoba więcej nie robiła różnicy. Obiecał, że w przyszłości przepisze na nas dom. Bez entuzjazmu i ku żalowi właściciela willi Pokomandy przenieśliśmy się do domu Gustibácsi. Mieszkanie było rzeczywiście imponujące. Pokoje bardzo duże. Był tam salon, pokój męski, dwie jadalnie, kilka sypialni i dwa pokoje gościnne. Była też oszklona ogrzewana weranda, z której przechodziło się do ogrodu kwiatowego, na końcu którego stała altana, gdzie jadało się podwieczorki. W ogrodzie rosły wspaniałe róże i goździki, które w dużej części przekazywane były do ozdabiania klasztornej kaplicy. Koło domu był też drugi ogród, ogrodzony kratą z zawsze zamkniętą furtką, do której klucz miał tylko Gustibácsi. Rosły tam same egzotyczne rośliny. Potem Gustibácsi jednak się ożenił i cały dom zapisał żonie. Mimo to mieszkaliśmy tam do końca naszego pobytu w Temesvár, żałując jednak, że przeprowadziliśmy się z tak pięknie położonej willi Podkomandyego. W Temesvár mieliśmy często gości. Byli to przeważnie nasi kuzyni z Becskerek. Ernő i Bubus byli bardzo zżyli z Jenő. Ojciec bardzo lubił, jak goście byli u nas. W Temesvár, tak jak wcześniej w Nagy-Becskerek, wiedliśmy szczęśliwe,



Lilly Sławikowska stoi, pokojówka Sofie siedzi.
Zdjęcie zrobione między 1912 a 1914
w Temesvár

beztroskie życie. Rodzice nie mieli problemów finansowych – otrzymaliśmy dosyć duży spadek [po Tadeuszu Sławikowskim, przyrodnim bracie Tytusa Sławikowskiego]. Z procentów pokrywane były koszty naszej nauki, w tym wielu lekcji prywatnych – fortepian, skrzypce, francuski i niemiecki. Mama miała też dochody ze swojego domu w Becskerek. Służbę mieliśmy naprawdę dobrą – wyśmienitą kucharkę i śliczną pokojówkę Sophie. Sophie jest do tej pory dla mnie zagadką – nie wiem, kto ją mojej mamie polecił. Miała nie tylko ładną twarz, ale była wysoka i zgrabna. Mówiła pięknym niemieckim, a więc nie była Szwabką. Znała się na wszystkich pracach, które znać powinna perfekcyjna pokojówka a oprócz tego czesała moją matkę, co wcale nie było łatwe. W Becskerek przychodziła codziennie około godziny dziewiątej fryzjerka i układała mamie włosy. Sophie robiła to nie gorzej. Tak wyglądała, że goście przychodzący do nas po raz pierwszy brali ją za kogoś z domowników, a nie za służącą, chociaż zawsze przy otwieraniu drzwi nosiła mały biały fartuszek. Kiedyś pewien młody mężczyzna pocałował ją nawet w rękę. Pewnego razu posłaniec przyniósł z kwaciarni duży bukiet dla Sophie. Zapytana, od kogo te kwiaty, odpowiedziała, że od kapitana Rauzingera [Ranzingera?]. Przypuszczaliśmy, że z próżności sama sobie wysłała bukiet, a nazwisko kapitana wymieniła, bo jej się akurat przypomniało. Kapitan Rauzinger był wówczas zaręczony z córką kapelmistrza i kompozytora Hellera – nie mogli się pobrać, bo brakowało im pieniędzy na kaucję. Pobrali się dopiero podczas I wojny światowej – mieli jedyne go syna, którego poznałam 50 lat później, u jego matki Irene, jako podpułkownika. Było to już na krótko przed jego śmiercią. Wracając do Sophie. Kiedy mieliśmy się przenieść z Temesvár do Wiednia, mama chciała zabrać tak doskonałą pokojówkę. Sophie nie chciała opuścić Temesvár. Potem, gdy się nasłuchiłam różnych historii szpiegowskich, doszłam do wniosku, że Sophie była przysłana do tego dużego garnizonu wojskowego. Nigdy potem już o niej nie słyszałam.

Myślę, że najszczęśliwsze lata małżeństwa moi rodzice spędzili od 1912-1914 r. w Temesvár. Nie było żadnych trosk materialnych, mieszkaliśmy wygodnie w pięknie urządzonej nieruchomości, na ścianach wisiały portrety rodzinne Sławikowskich i inne obrazy dobrych malarzy, otrzymane w spadku po wuju Tadeuszu. Kuzynka ojca Emma [z domu Iwańska von Iwanina, wnuczka siostry profesora Antoniego Sławikowskiego] była żoną dowódcy dywizji kawalerii barona Adolfa Gayera von Ehrenberg. Oficerowie bali się go i przezywali „sęp” [po niemiecku „Geier”]. Takie pokrewieństwo wzmacniało pozycję moich rodziców w korpusie oficerskim. Na przykład żona komendanta pułku Sperl von Raabthal, bardzo inteligentna dama z Wiednia, wiele razy odwiedzała naszą matkę. Z Gerti, córką państwa Sperl, spotykałyśmy się po 50 latach w Wiedniu. Dobra Gerti zapisała mi w testamencie 10 000 szylingów. Była nieodrodnym dzieckiem cesarsko-królewskiego oficera. Rodziców Gerti, państwa Sperl von Raabthal

mam w pamięci do dzisiaj – oboje bardzo wysocy, eleganccy. Ja sama jestem niestety niska, a od dzieciństwa podobali mi się wysocy ludzie.

Ciocia Emi Gayer bardzo lubiła moją matkę. Obie były bardzo inteligentne, a przy tym bardzo skromne. Często wychodziły gdzieś razem. Pewnego dnia, wkrótce przed przejściem wuja Adolfa na emeryturę, były na przedstawieniu teatralnym – być może było to przedstawienie dla wojska. Wszyscy oficerowie zginali się w głębokich ukłonach przed obiema damami. Ciocia Emi powiedziała do mojej matki: zobaczysz jak ci, którzy się teraz tak kłaniają, ledwie będą mnie poznawać, gdy dowiedzą się, że Adolf idzie na emeryturę. Tak wtedy było. Liczył się nie tyle człowiek, ile jego ranga. Wkrótce Gayerowie wyprowadzili się z Temesvár, ale na czas przeprowadzki zamieszkali na kilka dni u nas. Nie było problemu z zakwaterowaniem 4 osób. Byli to: ciocia Emi i wujek Adolf, ich córka Olga i jej wierna wychowawczyni Gertruda, która była u Olgi do końca swojego życia. Olga poślubiła potem węgierskiego pułkownika Alfreda Warschadka. W Temesvár było nam pod każdym względem dobrze. Zaczęłam tam uprawiać następny sport. Tatuś odprowadzał mnie na lodowisko i przekazywał trenerowi. Po pewnym czasie byłam naprawdę dobrą łyżwiarką. Brat Jenő po odrobieniu lekcji też przychodził na lodowisko z kolegami. Erwin bawił się zwykle ze swoimi przyjaciółmi w domu.

Temesvár był urokliwym miastem – z wieloma parkami. Duża liczba nowych, dużych domów świadczyła o zamożności mieszkańców. Dumą miasta była katedra, którą zaprojektował architekt Fischer von Erlach (jego autorstwa są Schönbrunn i kościół Karlskirche w Wiedniu) prawdopodobnie na zlecenie księcia Eugeniusza (Prinz Eugen) po zwycięstwie nad Turkami. Katedra, niegdyś duma miasta, jest teraz podobno w strasznym stanie. Rumuni, do których Temesvár należy od 1918 r., zupełnie o nią nie dbają. W Temesvár było naszym rodzicom i nam, dzieciom, bardzo dobrze. Odczuwaliśmy tylko brak najstarszego brata i siostry, którzy byli w swoich szkołach. Karcsi, wzorowy uczeń, był półtora roku przed maturą, gdy przenosiliśmy się do Temesvár i profesorowie radzili pozostawienie go w Nagy-Becskerek. Zamieszkał więc u dziadków. W czasie wakacji cała nasza piątka rodzeństwa spotykała się w Temesvár. Przyjeżdżali też kuzyni z Becskerek: Bubus, Mausi, Ernő, Tibi. Mój ojciec bardzo chętnie zajmował się młodzieżą. Uprawialiśmy sporty – tenis, pływanie, ale przede wszystkim atmosfera była radosna. W Nagy-Becskerek Metatante dbała bardziej o rozwój duchowy – ciągle słuchało się o węgierskich i niemieckich klasykach, u nas był nastrój raczej swobodny i wesoły. Zresztą Metetante także chętnie przyjeżdżała do nas na 1-2 dni. Miasto było większe, więc chętnie robiła tu zakupy. Metetante miała ulubioną szwagierkę Xenię, żonę jej eleganckiego brata Józsi. Kiedy Xeniatante była w Nagy-Becskerek, obie panie (Meta i Xenia) robiły wycieczkę do nas, do Temesvár. Xeniatante była córką radcy dworu [po niemiecku „Hofrat” – tytuł honorowy nadawany zasłużonym

urzędnikom w Austrii] w Sarajewie, Zarzyckiego. Xeniatante miała niezwykle urok. 60 lat później spotkałyśmy się znowu w Wiedniu. Mówiła, że podziwiała piękne srebra u moich rodziców w Temesvár – po II wojnie światowej nie pozostała nam z nich ani jedna łyżeczka. Mąż Xeniatante zginął w 1914 r. koło Belgradu. Dr Putz odnalazł jego zwłoki, otrzymał pozwolenie na przewiezienie ich do Béga-Szent-György i pochowanie w rodzinnej kaplicy grobowej w metalowym sarkofagu. Do II wojny światowej sarkofagi rodzinne były nienaruszone, ale po wyrzuceniu Szwabów z Banatu i przybyciu na ich miejsce półdzikich Serbów z południa, zniszczono i częściowo rozkradziono sarkofagi, kości pomieszczano – prawdopodobnie szukano złota. Józsi, mój kuzyn (wnuk dr. Putza) pozbierał szczątki do jednego sarkofagu i zamurował. Xeniatante wyszła po raz drugi za mąż za swojego kuzyna Lahodynskyego i miała z nim dwóch synów. Zamieszkała we Lwowie. W czasie II wojny światowej musiała uciekać ze Lwowa, ale dzięki papierom po swoim pierwszym mężu, kapitanie Putz, dotarła do Wiednia. Dzięki Xeniatante dostałam pracę w firmie dr Wilhelma Artakera w Wiedniu. Xeniatante i jej siostra Zora [?] Lacom pomogły w młodości Wilhelmowi Artakerowi a ten, osiągnąwszy sukces w swojej firmie, pomagał wielu ludziom, między innymi mnie.

Zaczęły docierać do nas pogłoski, że 29 Pułk Piechoty (29 I.R. Freiherr von Laudon) zostanie przetransportowany do Wiednia i tak się rzeczywiście stało. O ile dobrze pamiętam, był to maj 1914 r., gdy ojciec wyjechał razem z pułkiem. Mama z Jenő, Erwinem i ze mną pozostała w Temesvár do końca roku szkolnego. Karcsi robił maturę w Becskerek, a Gizus była dalej w szkole w Hernals. Po zakończeniu roku szkolnego nasza trójka młodszego rodzeństwa została zawieziona do Omamy do Becskerek – abyśmy nie przeszkadzali przy przeprowadzce. Spędzaliśmy czas u Omamy lub w winnicy u Metatante. W drugiej połowie lipca zamieszkaliśmy wszyscy razem w Wiedniu.



Zofia Szwejkowska, później żona Tadeusza Rittnera. Portret namalowany w 1894 r. przez Anielę Pająkównę (fot. Halina Niewiadomska)

Wiedeń 1914-1918

W drugiej połowie lipca 1914 r. zamieszkaliśmy wszyscy w Wiedniu. Pułk mojego ojca (29 Infanterieregiment Freiherr von Laudon) umieszczony został w koszarach Franciszka Ferdynanda (Franz-Ferdinand-Kaserne). Był to stosunkowo nowy budynek przy ulicy Trostgasse w X dzielnicy. Do tego należały jeszcze dwa dodatkowe budynki – w jednym były mieszkania dla oficerów, w drugim dla podoficerów. Pułkownik von Sperl miał swoje stałe mieszkanie w I dzielnicy, a ponieważ miał tylko jedną córkę i przysługujące mu mieszkanie dowódcy pułku było dla niego za duże, odstąpił je mojemu ojcu. Było to rzeczywiście duże, wygodne mieszkanie. Pamiętam, że sam hol mierzył 11 m x 10 m i było tam 11 drzwi. Obok kasyna był park z kortem tenisowym i kręgielnią. Wstęp mieli tam tylko oficerowie i ich rodziny. Przedpołudnia spędzaliśmy w koszarach a popołudnia w parku, gdzie spotykaliśmy się z innymi rodzinami oficerskimi. Przed pójściem do parku szliśmy na lody do włoskiego salonu lodowego na ulicy Trostgasse.

W Wiedniu mieliśmy polskich krewnych – trzy rodziny. Wszystkie z towarzystwa, a jednak tak różne. Byli to Gayerowie, Rittnerowie i Lamichowie.

Gayerowie należeli do kręgów wojskowych. Baron Adolf Gayer był przedtem w Temesvár dowódcą dywizji kawalerii, a w Wiedniu był już na emeryturze. Gayerowie prowadzili skromny dom. Dwie córki Erna i Olga nie mogły same, bez towarzystwa ich wiernej wychowawczyni Gertrudy, wychodzić na ulicę. Wuj Adolf (Onkel Adolf) przyjmował tylko takich ludzi, którzy cieszyli się niepoproszaloną opinią. Na przykład nie złożył nigdy wizyty Lamichom, ponieważ tam bywał pewien pan, któremu wuj Adolf nie mógł podać ręki.

Zofia (z domu Szwejkowska [nazwisko to pisano czasem „Szweykowska”) i **Tadeusz Rittnerowie** należeli do sfer ministerialno-urzędniczych oraz artystycznych. Ciocia Zosia była kuzynką mego ojca i też wnuczką słynnego okulisty, profesora Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie Antoniego Sławikowskiego. Wuj Tadeusz Rittner był synem ministra oświaty a potem ministra dla Galicji Edwarda Rittnera. Wujostwu ciągle brakowało pieniędzy – prawdziwa para artystów. Ciocia była malarką, a wuj znanym pisarzem. Jego sztuki grywane były często w Burgtheater w Wiedniu. Sztuka „Ogród młodości” w ciągu tylko jednego sezonu grana była ponad 25 razy. Premiera tej sztuki od-



Zofia i Tadeusz Rittnerowie

była się w czasie I wojny światowej w Burgtheater. Rittnerowie zaprosili nas do swojej łoży. Byli wujostwo, moja mama, Gizus i ja. Wuj ubrany we frak musiał się kilka razy pokazać na scenie. Gdy wychodziliśmy po przedstawieniu wszyscy nam się kłaniali, a ja czułam się taka ważna idąc u boku wuja – miałam wtedy 15 lat. Niemający własnej rodziny wuj Zofii Rittnerowej, Tadeusz Sławikowski, który był dyrektorem banku i jako bankowiec nie miał zrozumienia dla poetycznej natury męża swojej ukochanej siostrzenicy i miał mu za złe, że nie potrafi zapewnić swojej żonie pewnej egzystencji, sięgał bez radości, ale często, do kieszeni, aby wspomóc to małżeństwo artystów. A ci, jak mieli trochę pieniędzy, wyjeżdżali do ukochanej Wenecji, albo w góry, do Zakopanego. Te podróże nie były tak w pełni radosne i bez troskie, bo wszędzie towarzyszyła im matka cici Zosi. Dama ta, Antonina Szwejkowska, nigdy nie chciała rozstać się z ukochaną jedynaczką. Kiedy już mieszkaliśmy w Krakowie, przyjechali do nas na dłużej (wydaje mi się, że na cztery tygodnie) ciocia Zosia i wujcio Tadzio – w którymś z krakowskich teatrów grano właśnie jego sztukę. Rittnerowie byli bardzo pobożni i chodzili codziennie na mszę świętą. Pewnego razu

po mszy wuj Tadzio pocałował w rękę moją mamę i dziękując za gościnę powiedział, że od 20 lat po raz pierwszy przebywał bez teściowej i czuł się jak w podróży poślubnej. U Rittnerów zawsze można było spotkać interesujących ludzi – malarzy, np. Fałata, Pochwalskiego, Ajdukiewicza, aktorów, np. Moissiego, Girardiego, Wohlge-muth-Thuna i oczywiście wysokich urzędników, przede wszystkim z ministerstwa finansów, np. ministra Witolda Korytowskiego, Zaleskiego, Kniaziółuckiego. Te nazwiska zapamiętałam. Później, w czasie jakiejś wizyty u wujostwa, poznałam pięknego aktora Igo Syma, który w czasie II wojny światowej okazał się podobno kolaborantem nazistowskim i zginął z wyroku sądu podziemnego. Wujostwo byli bardzo zaprzyjaźnieni z Julkiem Twardowskim, kolegą szkolnym wuja jeszcze z Theresianum [elitarna szkoła w Wiedniu, założona przez cesarzową Marię Teresę]. Juliusz Twardowski był ministrem dla Galicji. Z racji swego wyglądu – miał czarną szpicbródkę – nazywaliśmy go Mefisto. Rittnerowie byli też zaprzyjaźnieni z rodziną hr. Karola Lanckorońskiego. Niektórzy ludzie, pewnie dla żartu, mówili, że Karla Lanckorońska [Karla (Karolina) Lanckorońska (1898-2002) historyk i historyk sztuki, uhonorowana wieloma odznaczeniami i tytułami. W czasie II wojny działała w konspiracji, za co była więziona przez hitlerowców. Po wojnie mieszkała i pracowała w Rzymie. W 1994 r. ofiarowała Polsce niezwykle cenną kolekcję



Zofia Rittner



Tadeusz Rittner



Na plaży w Wenecji. Zofia Rittner (stoi pierwsza z lewej strony), Tadeusz Rittner (stoi czwarty z lewej strony, obok pani w białym żabocie)

dział sztuki] zakochała się w Tadeuszu Rittnerze – nie byłoby w tym nic dziwnego, bo był on człowiekiem o wyjątkowym uroku. Ciocia Zosia z humorem przyjmowała te plotki. Pewnego dnia wuj Tadeusz specjalnie starannie się ubrał, a ciocia zauważyła, że przy zawiązywaniu krawata drżą mu ręce. Ciocia podeszła, zawiązała mu krawat i życzyła udanego randes-vous. Po śmierci wuja hr. Antoni Lanckoroński [przyrodni brat Karli Lanckorońskiej] przyniósł do nas portret wuja namalowany przez Wilkego lub Rauchingera z prośbą o przekazanie do teatru w Krakowie. Do II wojny światowej portret wisiał w foyer, czy teraz tam wisi, nie wiem. Ciocia Zosia była całkiem dobrą malarką. Razem z Lilly Wildgans chodziły często do atelier Egger-Lienza. Rittnerowie i Wildgansowie byli bardzo zaprzyjaźnieni i mieszkali blisko siebie w III dzielnicy, na ulicy Neuliggasse. Nie mogę sobie wyobrazić sympatyczniejszego i jednocześnie wyżej pod względem intelektualnym stojącego domu, niż dom Rittnerów. Co prawda nigdy nie mieli za dużo pieniędzy, ale długoletnia wspaniała kucharka Rosa dbała, by goście raczyli się nie tylko strawą duchową. Gdy po czterdziestu latach zamieszkałam znowu w Wiedniu, próbowałam bezskutecznie odnaleźć Rosę. Oboje wujostwo już wtedy od dawna nie żyli. Wuj Tadeusz zmarł, w wieku 48 lat, na jakieś zatrucie czy zapalenie płuc w 1921 r. w Bad Gastein i tam został pochowany. Ciocia Zosia mieszkała dalej w Wiedniu ze swoją matką, ale też przyjeżdżały na dłuższe pobyty do nas, do Krakowa. Ciocia Zosia była przemiłym gościem, w przeciwieństwie do swojej matki, cioci Tosi, która całe życie była bardzo wymagająca i na starość się nie zmieniła. Podczas II wojny



Zofia Rittner, z wykształcenia malarka, tu w gronie innych malarek w pracowni malarza Albina Egger-Lienza w Wiedniu (stoi pierwsza z lewej strony obok Lienza)

światowej ciocia Zosia była u mojego ojca w Bochni, gdyż jako polska obywatelka nie mogła być w Wiedniu. Tam zmarła 20.01.1945 i jest pochowana na bocheńskim cmentarzu w grobowcu rodziny Serafińskich. Po kilku latach w tym samym grobie, obok swojej drugiej żony Kamili primo voto Serafińskiej, został pochowany mój ojciec. I tak wnuczka i wnuk profesora Antoniego Sławikowskiego, po życiu spędzonym w różnych miejscach byłej c.k. monarchii, spoczęli obok siebie w Bochni.

[Tadeusz Rittner, 1873-1921, dramaturg, prozaik, felietonista, krytyk teatralny. Do jego najbardziej znanych sztuk należą: „W małym domku”, „Głupi Jakub”, „Wilki w nocy”, „Człowiek z budki suflera”.

Tadeuszowi Rittnerowi dużo miejsca poświęca Roman Taborski w bardzo ciekawej książce „Polacy w Wiedniu” wyd. Ossolineum 1992. Za nim zacytuję pewną wypowiedź Rittnera: „*Nic nie wydaje mi się równie prostym, a przy tym tak zawiłym, jak moje życie. Często myślę o tym. I nieraz miewam wrażenie, że lepiej by się działo z moją sztuką, gdybym był tylko tym albo tamtym, a nie zawsze tym i tamtym równocześnie. [...] Stoję pomiędzy niemieckim a polskim. To znaczy: znam i odczuwam oboje. Z pochodzenia, z najgłębszych skłonności jestem Polakiem. I często łatwiej mi myśleć w tym języku niżli w tamtym. Ale czasem zdarza się inaczej. O niejednym, co napisałem, mówią Niemcy, że jest polskim, a Polacy, że niemieckim. Niejednokrotnie po obu stronach traktują mnie jak gościa. I dzięki temu widzę niejedno, tu i tam, nieuprzedzonym wzrokiem cudzoziemca. Artystycznie biorąc jest to korzystne, sądzą niektórzy. Biorąc rzecz czysto po ludzku, jest to rodzaj kalectwa. Coś niby ciężar, który muszę dźwigać tańcząc; myślę, że innym linoskoczkom jest cokolwiek lżej*”.



Wnętrze wiedeńskiego mieszkania Rittnerów. W fotelu siedzi matka Zofii Rittnerowej Antonina Szwejkowska z domu Sławikowska.

Ciocia Lilly odzyskała w Wiedniu trochę pamiątek po Rittnerach. Był to pamiętnik, trochę zdjęć, przepiękny portret Zofii malowany przez Anielę Pająkową w 1894 r. (córką Anieli Pająkowej i Stanisława Przybyszewskiego była Stanisława Przybyszewska, młodo zmarła dramatopisarka), inkrustowany sekretarzyk i intarsjowana szafa. Ciocia zdecydowała, że zdjęcia i pamiętnik mają być u mnie, portret ma dostać córka chrzestna Rittnerowej Teresa, a sekretarzyk i szafa mają być przekazane do Starego Teatru w Krakowie i stanowiąc tło dla zdjęć i biogramu Tadeusza Rittnera utrzymywać pamięć o nim. Pamiątki zostały rozdysponowane zgodnie z wolą Cioci. Meble stoją na razie w gabinecie dyrektora S.T. i czekają na ukończenie remontu Sali im H. Modrzejewskiej, gdzie mają być eksponowane].

Lamichowie byli trzecią spokrewnioną z nami rodziną mieszkającą w Wiedniu, tym razem ze środowiska przemysłowców. Było to pokrewieństwo ze strony matki mojego ojca. W żartach mówiliśmy „domek czterech dziewcząt”. Była to elegancka, wykształcona babcia Dudzikowska [z domu Charzewska, wnuczka Ignacego Żuławskiego, cioteczna siostra Julii z Bzowskich Sławikowskiej], jej bardzo bogata córka ciocia Mania Lamich i dwie córki cioci Mani, Paula i Tonka. Obie były bardzo piękne, chociaż jak na tamte czasy za wysokie (około 180 cm). W książce Heinricha Benedickta „Damals im alten Österreich. Erinne-

rungen” – Amalthea Vlg. [„Wówczas w starej Austrii. Wspomnienia” – wydawnictwo Amalthea] jest opis pewnego balu w hotelu Continental i zdanie: „Tu błyszczały siostry Lamich jako najpiękniejsze dziewczęta Wiednia”.



Siostry Lamich – Paula i Tonka

Paula była 13 lat starsza od Tonki. Między obiema siostrami były jeszcze dwie dziewczynki, które zmarły w dzieciństwie na dyfteryt. Potem babcia strasznie rozpieszczała obie pozostałe przy życiu dziewczynki. W mieszkaniu Lamichów przy Mollwaldplatz wszystko było piękne – także pokojówki ładnie wyglądały. Mieszkanie było duże, nieprzepelnione rzeczami, meble – same antyki. Był też pokój myśliwski, a ponieważ Lamich był zapalonym myśliwym i pieniądze pozwalały mu na polowania w egzotycznych krajach, były tam skóry tygrysów, lwów i inne trofea myśliwskie.

Mieszkanie Lamichów znajdowało się naprzeciwko Theresianum i uczniowie ze starszych klas podkochiwali się w Tonce i czekali na ulicy, aby niby przypadkowo ją spotkać. Opowiadali mi to po latach absolwenci Theresianum, np. minister Conrad Eybisfeld i hr. Andreas Razumowski. Tonka miała niesamowity urok i ogromne powodzenie. Poznała kiedyś młodego hr. Edwarda Raczyńskiego, przyszłego prezydenta Polski na uchodźstwie i ten przysyłał jej listy miłosne. Ojciec hrabiego bardzo się zdenerwował, że syn zakochał się w pannie bez tytułu arystokratycznego. Tonka nie miała szczęścia w życiu. Zakochała się i wyszła za mąż za wyjątkowo przystojnego, ale rozwiedzionego,

polskiego ziemianina Aleksandra Hulimkę i miała z nim dwoje dzieci. „Piękny Olo” był znanym uwodzicielem i zdradzał Tonkę, więc się w końcu z nim rozeszła i wyszła za mąż za jego brata Teodora, który był niższy od niej i zewnętrznie nieatrakcyjny. Z Teodorem była bardzo szczęśliwa. Gdy ten nagle umarł na serce, w miesiąc potem popełniła samobójstwo. Bardzo przeżyłam śmierć Tonki. Paula wyszła za mąż za oficera marynarki Alfreda Zachariasa.



C.K. Armia Austro-Węgier. Stanisław Sławikowski pierwszy z lewej (I wojna światowa?)

Mieszkaliśmy w koszarach (Franz-Ferdinand-Kaserne, obecnie Starhemberg-Kaserne), w pawilonie oficerskim, gdzie mieszkaly też inne rodziny oficerskie. Niestety pamiętam już tylko dwie z nich: rodzinę kapitana Müllera z dwójką dzieci i rodzinę kapelmistrza Hellera z jego dwiema córkami Ireną i Blanką. W czasie wojny wolno było kapitanowi Rauzingerowi poślubić Irenę Heller i również zamieszkać w pawilonie oficerskim.

Do mieszkania w koszarach szybko się przyzwyczailiśmy. 45 dużych skrzyń zostało rozpakowanych, meble poustawiane na swoje miejsca. Koło domu było duże podwórze, gdzie przed południem bawiliśmy się z gromadką dzieci dozorca domu Burghardta. Po południu szliśmy z rodzicami do parku, gdzie spotykaliśmy inne oficerskie rodziny. Można tam było grać w tenisa lub w kręgle. Dzieciom wolno było grać tylko wtedy, gdy dorośli byli zmęczeni i nie zajmowali kortu.

I nadszedł dzień 28 czerwca 1914 r. – zamordowanie następcy tronu Franciszka Ferdynanda w Sarajewie a potem wypowiedzenie wojny Serbii. Wiedzieliśmy, że pułk ojca wkrótce wyruszy na front. I wtedy mieliśmy niecodzienną wizytę. Kuzyn mamy, arcybiskup Kalocsa, dr Várady Lipót Árpád, był, jak co roku, na kuracji w Karlsbad, ale w tej sytuacji przerwał kurację, aby wrócić do Kalocsa. Specjalnie wracał przez Wiedeń, aby pobłogosławić mojego ojca, którego bardzo lubił, przed wyruszeniem na front. Po południu przybył z trzema osobami towarzyszącymi. Ustawiliśmy się wszyscy w naszym dużym holu, rodzice, nas pięcioro rodzeństwa i nasza pokojówka Susi, Szwabka, która na tę okazję ubrała szwabski strój z wieloma halkami. Klękaliśmy, Árpádbácsi (wuj Árpád) wszystkich nas po kolei błogosławił, a my całowaliśmy jego pierścień biskupi. Potem zasiedliśmy do uroczystej wieczerzy. Było to pierwsze i ostatnie wystawne przyjęcie w naszym mieszkaniu w koszarach.

Zanim będę dalej pisać o nas, wspomnę jeszcze raz Árpádbácsi. Mój kuzyn Ernő Várady z Becskerek pojechał do swojej siostry Bubus (Snethlage) do Holandii. Było to około roku 1966. Był tam zaproszony na przyjęcie. Gdy pewien starszy pan usłyszał jego nazwisko, zwrócił się do niego z pytaniem, czy jest krewnym arcybiskupa Várady. Usłyszawszy potwierdzenie opowiedział następującą historię. Pisał pracę na temat I wojny światowej i miał dostęp do tajnych dokumentów Watykanu. Tam spotkał to nazwisko. Papież (o ile dobrze pamiętam Benedykt XV) wezwał do siebie, do Rzymu, arcybiskupa Várady i polecił mu, aby ten zawiadomił cesarza, że według poufnych informacji Włosi szykują się do wojny przeciwko Austrii. Włochy były w tym czasie sprzymierzone z Austrią a jednak rzeczywiście kilka miesięcy później, w maju 1915 r. ogłosiły wojnę z Austro-Węgrami.

Były wakacje a ze względu na wojnę, nigdzie nie wyjechaliśmy. Mieliśmy często gości, gdyż Bogu dzięki byliśmy dobrze zaopatrzeni w artykuły spożywcze. Ojciec przysyłał nam produkty z Galicji, a węgierscy krewni także nie dopuścili, abyśmy w Wiedniu głodowali. Nawet mieliśmy, od czasu do czasu, zamawianą przez mamę wyśmienitą bombę lodową od Demmla, zwłaszcza wtedy, gdy na podwieczorek przychodziły koleżanki Gizus.

Z naszej piątki rodzeństwa każde było w innej szkole. Karcsi w Akademii Konsularnej, Gizus w szkole dla córek oficerskich w Hernals, Jenő w Pressburgu w Wojskowej Wyższej Szkole Realnej, mnie wysłano do szkoły sióstr zakonnych



Uczennice szkoły siostr zakonnych w Wiedniu.
Lilly Sławikowska siedzi (druga z lewej strony)

od biednego Dzieciątka Jezus [po niem: Die Schwestern vom armen Kinde Jesu], w Döblingu [dzielnica Wiednia], Erwin był w domu z mamą i chodził do publicznej szkoły ludowej. Byłam nieszczęśliwa w klasztorze. Wczesne wstawanie – o 6 godzinie, codziennie msza święta, podczas której trzeba było nieruchomo klęczeć, bardzo niedobre jedzenie – do dzisiaj nie mogę znieść nawet widoku knedli. Jedyną pociechą w klasztorze była moja przyjaciółka Anie [Ama, Anna?] Gostischa, córka generała, który odważył się skrytykować mundury polowe i na początku wojny został wysłany na wcześniejszą emeryturę. Rodzina była przez to nieszczęśliwa. Trzeba sobie wyobrazić jak cierpiała ambicja wojskowego w sile wieku, któremu zabroniono pójść na front. Wszystko go denerwowało – delikatna, skrajnie niepraktyczna żona kochająca sztukę a przede wszystkim czworo dzieci. Anie i Elly zostały wychowankami siostr. Od pierwszego dnia polubiłyśmy się – byłyśmy córkami oficerów.

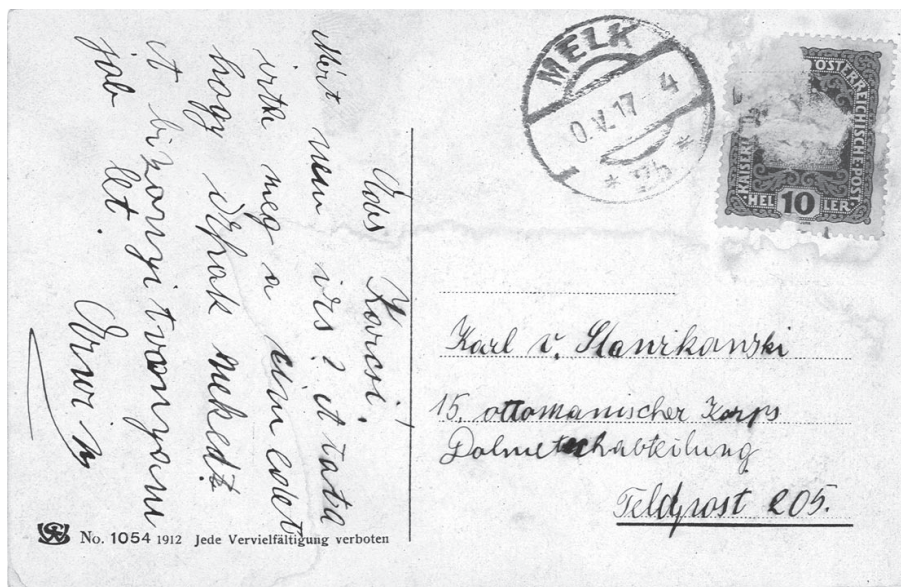
Wracam do mobilizacji. 29 pułk piechoty był gotów do wymarszu. Cała rodzina siedziała przy dużym, okrągłym stole i napełniała, z pomocą specjalnego przyrządu, papierowe gilzy tytoniem marki Pursiczan (Pursiczan Tabak). W ten sposób przygotowaliśmy dla ojca kilkaset ulubionych papierosów. Nie jestem pewna, czy pułk wyruszył z końcem lipca, czy na początku sierpnia. Mimo że byli w mundurach polowych, sprawiali estetyczne wrażenie – 3 albo

4 bataliony, komendanci batalionów na koniach. Oczywiście muzyki nie mogło zabraknąć – kapelmistrz Heller skomponował piękny marsz (właśnie niedawno słyszałam go w radio). Mały pony ciągnął duży bęben i tak w rytm muzyki pułk pomaszerował na dworzec, gdzie stały przygotowane wagony dla ludzi i koni. Wtedy nikt z nas nie pomyślał, że 26 lat później podobnymi wagonami odbędę, razem z Gizus i jej córką, osiemnastodniową udręczającą podróż ze Lwowa na Syberię.

Początkowo nie odczuwało się wojny – w Wiedniu wszystko normalnie funkcjonowało. Na ferie Bożego Narodzenia przybyliśmy wszyscy do domu. Była choinka, chociaż mniejsza niż w poprzednich latach. Brakowało ojca. To on zawsze dzwonił, kiedy już wolno nam było przejść do salonu – teraz Karcsi przejął jego rolę. W czasie ferii często chodziliśmy do teatru, przede wszystkim do opery. Braliśmy łożę. Było to wygodne, bo nie trzeba było iść do garderoby. Łoża nie była przesadnie droga i mogliśmy sobie na nią pozwolić. Właśnie w czasie tych pierwszych ferii wymyśliłam specjalne poduszki na kolana, aby móc bez bólu klęczeć w czasie mszy świętych w klasztornej szkole. Zrobiłam od razu dwie pary. Miałyśmy dosyć długie spódnice, więc nikt nic nie zauważył. Mój wynalazek działał bez zarzutu i mogłam teraz spokojnie klęczeć. Moja biedna Anie dalej się męczyła, więc zdradziłam jej moją tajemnicę. Mój pomysł racjonalizatorski zaimponował Anie, która poszła z tymi poduszkami do siostry Magdaleny myśląc, że ona pochwali mnie za pomysłowość. Stało się wręcz odwrotnie – wszystkie moje rzeczy zostały przeszukane, poduszki wrzucione do pieca, a ja miałam powód do płaczu.

Stan zdrowia Gizus był zły i lekarze zalecili jej miesięczny wypoczynek w Abacji. Wtedy mama zwolniła Erwina na miesiąc ze szkoły i zaprosiła jeszcze swoją bratanicę, śliczną Mausí Várady z Becskerek, aby Gizus miała towarzystwo, i pojechali we czwórkę do Abacji. Zamieszkali w pensjonacie Regina. W willi obok mieszkała Elisabeth Windischgraetz, córka arcyksięcia Rudolfa [arcyksiążę Rudolf Habsburg jedyny syn cesarza Franciszka Józefa I], z czwórką dzieci. Miesięczny pobyt w Abacji poprawił stan zdrowia Gizus tak, że mogła wrócić do szkoły w Hernals. Wkrótce były wakacje i wszyscy znowu byliśmy w domu. Przyjechała także Omama z Becskerek z wnuczką Bubus i wnukiem Ernő (dzieci brata naszej mamy). Z babcią chodziliśmy na spacer i naciągali ją na lody i inne dobre rzeczy. Mimo że wakacje spędzaliśmy w Wiedniu i nigdzie nie wyjechali, było nam razem bardzo wesoło. Nadszedł wrzesień i trzeba było rozjechać się do naszych szkół. Erwin został wysłany do Benedyktynów do Melku. [Klasztor benedyktynów w Melku, na wysokim brzegu Dunaju, założony w 1089 r; barokowa przebudowa w XVIII wieku; zakonnicy prowadzili szkołę już od XII wieku. We wspomnieniach Cioci nie jest nawet wspomniana ucieczka mojego ojca z tej szkoły. Najmłodszy z rodzeństwa, przebywający stale z matką znalazł się nagle zdala od domu, poddany klasztorным rygorom. Opowiadał, że uczniowie dostawali okropne jedzenie, co tłumaczono ograniczeniami wojennymi, a zakonnicy jedli co innego i bardzo dobrze i że w ogóle zetknął się tam

z obłudą. Czy w Melku narodził się antyklerykalizm mojego ojca? Zapewne nie tylko złe jedzenie spowodowało, że uciekł i jakoś pociągami udało mu się dotrzeć do domu w Wiedniu. Zawieziono go znowu do szkoły i wtedy zaczął się bunt i problemy z nauką – zachowywał się, o dziwo, wszystkie świadectwa szkolne ojca.]



Widokówka wysłana w 1917 r. z Melku przez 12-letniego Erwina Sławikowskiego do najstarszego brata Karcsiego, który był w tym czasie w 15 otomańskim (czyli tureckim) oddziale tłumaczy, Poczta polowa R05. Treść w tłumaczeniu z języka węgierskiego: Kochany Karcsi! Dlaczego nie pisziesz? Tata napisał mi Twój adres abym do Ciebie napisał. Moje świadectwo szkolne jest już lepsze. Erwin

Mama musiała teraz często wyjeżdżać do Becskerek, bo Otata [dziadek] podupadł na zdrowiu. W czasie ferii mama zawsze była w domu, tak że mogliśmy się cieszyć rodzinną atmosferą. Zawsze też przyjeżdżali do nas jedno albo dwoje Várady, przede wszystkim Ernő, który był bardzo zaprzyjaźniony z naszym Jenő. Obaj chodzili do tej samej Wyższej Szkoły Realnej w Pressburgu, chociaż Imrebácsi, ojciec Ernő, jako antymilitarysta nie był zachwycony, że jego najstarszy syn chce zostać oficerem. Jenő i Ernő chcieli jednak koniecznie chodzić do tej samej szkoły i mieć taki sam zawód. Drugi syn Imrebácsi, Tibi, odwiedzał nas często w Temesvár, do Wiednia nie chciał jednak nigdy przyjechać. Nienawidził Austriaków z powodu rewolucji 1848 r. i powiedział, że nie chce stanąć na austriackiej ziemi. Jenő i Ernő byli bardzo weseli i lubili robić różne kawały. Najczęściej dokuczali właśnie mnie i doprowadzali do łez. Na przykład

pewnego dnia otrzymałam pocztą elegancką kopertę, a w środku zaproszenie na bal maskowy. Dopisane tam było, że ponieważ moja twarz przypomina gołą pupę pawiana, nie muszę się już starać o maskę oraz że moim partnerem będzie Poldi Burghart, syn dozorca naszego domu, którego lubiłam i z którym bawiłam się na podwórzu koszar. Wtedy jednak były takie stosunki społeczne, że przypisanie mi sympatyzowania z Poldim było dla mnie bardziej obraźliwe, niż porównanie mojej twarzy do pupy pawiana.

W Wiedniu życie toczyło się normalnie, jakby nie było wojny. W lecie 1916 moja matka wynajęła willę w Goisern. Była to umeblowana willa z 10 miejscami do spania. Naczynia i sprzęty kuchenne musiały być dowieszone z Wiednia. Przyjechała do nas Omama z Bubus i Ernö. Codziennie robiliśmy wycieczki po okolicy. Babcię ciągle namawialiśmy na wyprawę do Ischl do cukierni Zaunera. Umawialiśmy się, że doprowadzimy babcię do bankructwa. Objadaliliśmy się pysznościami do granic możliwości – pan Zauner nie miał chyba nigdy tak żarłocznych klientów. Babcia nic nie mówiła, tylko się uśmiechała i płaciła. I jakoś, Bogu dzięki, nie zbankrutowała a my, o dziwo, nie pochorowaliśmy się. Po wakacjach wróciliśmy do naszych szkół. Tylko Karcsi musiał pójść do wojska. Był w 2 Pułku Cesarskich Strzelców Tyrolskich.

Ojciec odmroził sobie nogi w Karpatach i był teraz na leczeniu w Baden, przyjeżdżał od czasu do czasu do domu, co było wielką naszą radością. Po tym odmrożeniu ojciec już nie był wysłany na front, tylko do twierdzy Przemyśl, gdzie był odpowiedzialny za transport. W ciągu następnych dwu lat spędzaliśmy letnie wakacje w Becskerek. W tym czasie wyszła za mąż Mausi, jako pierwsza z wnucząt babci i dziadka Várady. Mimo wojny miała piękne przyjęcie weselne i dostała dużo prezentów.

W naszych szkolnych internatach jedzenie było coraz gorsze. Knedle i suszone warzywa – nawet nie można było poznać, jakie. Tu wyraźnie odczuwało się ograniczenia wojenne.

21 listopada 1916 r. zmarł na swoim słynnym żelaznym łóżku w Schönbrunnie cesarz Franciszek Józef I. Jeśli się nie mylę, miał 87 lat i był na drugim miejscu, co do długości panowania. Wszyscy arcyksiężęta z żonami zebrali się przy zmarłym. Pani Schratt, długoletnia przyjaciółka Franciszka Józefa I, też przybyła. Początkowo nikt z Habsburgów nie chciał jej zauważyć. Podobno arcyksiężę Karol, następca Franciszka Józefa, podszedł do pani Schratt, wziął ją pod ramię i poprowadził do łoża śmierci jej starego przyjaciela. Franciszek Józef I został pochowany w kaplicy zamkowej. Ludzie stali godzinami w kolejce, by móc chociaż spojrzeć na sarkofag. Ja byłam już wtedy w Instytucie Wychowawczym dla Córek Oficerów [w Hernals] i dla nas było zarezerwowane miejsce na czas ceremonii pogrzebowej. Z tego miejsca wszystko dobrze widziałam, mimo mojego niskiego wzrostu. Byli oficerowie i żołnierze w mundurach paradnych, dalej żołnierze w mundurach polowych. Najwspanialej

prezentowali się na koniach magnaci węgierscy w swoich wystawnych strojach. Zaopatrzenie w Wiedniu stawało się coraz gorsze. Biedny młody cesarz nie otrzymał łatwego spadku. Zarówno on, jak i jego ambitna i inteligentna żona Zyta chcieli jak najszybciej zakończyć wojnę. Bracia cesarzowej Zyty byli we Francji – młody cesarz, za namową żony, próbował przez nich, bez porozumienia się z ministrem spraw zagranicznych (wydaje mi się, że był to hr. Berchtold) zawrzeć oddzielny pokój. Jak sprawa wyszła na jaw, wybuchł wielki skandal. Sprzymierzony z Austro-Węgrami cesarz niemiecki Wilhelm przestał Austrii wierzyć, a cesarzowa Zyta była tak znenawidzona, że nie mogła się publicznie pokazywać. Lata 1917 i 1918 były w Wiedniu pod każdym względem trudne. Było mało jedzenia, mało opału, a do tego doszła epidemia ciężkiej grypy. Ludzie w Wiedniu umierali setkami na tak zwaną dżumę płucną. Mimo to w roku 1918 r. odbyły się w Hernals matury i z końcem czerwca uroczyste wręczenie świadectw maturalnych, podczas którego cesarzowa Zyta miała osobiście wręczyć trzem najlepszym maturzystkom pamiątkowe złote broszki. Jednak ze względu na napiętą sytuację i w trosce o bezpieczeństwo cesarzowej podczas ewentualnego przejazdu, jej przyjazd został odwołany, a na uroczystość przybył biskup polowy Bialek, który wygłosił mowę w swojej wiedeńsko-czeskiej odmianie języka niemieckiego.

Po tej uroczystości były wakacje, które spędziliśmy w Becskerek. 15 września rozpoczęły się, jak zwykle, zajęcia w szkole. W Hernals prawie wszystkie dziewczęta zachorowały na gripę. Były też zgony. Pamiętam, że zmarły koleżanki. Zdrowe uczennice urlopowano do domu.

Wkrótce nastąpił upadek monarchii. Obok pawilonu oficerskiego były magazyny pułkowe – długi parterowy budynek. Były tam zapasy mundurów, ale też w jednej części konserwy mięsne i suchary. Około 10 listopada motłoch z X dzielnicy rzucił się na magazyny; wybito okna i tłum ludzi zabierał, co dało się zabrać. Baliśmy się strasznie. Rozwścieczeni ludzie stali już na dachu magazynu, a stamtąd można było łatwo wskoczyć na nasz balkon. Nagle pojawiła się policja na koniach. Jeszcze do dzisiaj mam podziw dla dobrze zorganizowanej policji wiedeńskiej, która bez przemocy, ale sprawnie, rozprędziła tłum. Bogu dzięki, że teraz nie ma w Wiedniu głodujących bezdomnych. Mieszkaliśmy dalej w koszarach. Pewnego razu przyszedł do nas znajomy ojca i powiedział, że na prośbę naszego ojca ma pomóc nam zlikwidować mieszkanie i przenieść się do Krakowa.

[Do tego rozdziału chcę dodać kilka moich refleksji, dotyczących różnych spraw:

- 1) Identyfikacja rodzin oficerskich z c.k. armią była ogromna. W moich czasach studenckich odwiedziłam w Warszawie ciocię Gizelę i powiedziałam, że czytam „Przygody dobrego wojaka Szwejka” Haška i świetnie się przy tym bawię. Ciocia Gizela, z natury introwertyczka, nieokazująca emocji, z oburzeniem powiedziała: „Ależ Hašek wyśmie-

wa naszą armię. Jak możesz to czytać!” Członkowie rodzin oficerskich wspierali się w różnych sytuacjach, nawet, jeśli chodziło o osoby z poza kręgu przyjaciół. W czasie mego pobytu w Wiedniu w 1959 r. odwiedzałam z Ciocią pewną 90-letnią wdowę po pułkowniku, mieszkającą w klasztornym domu opieki. Nie była jakąś bliską znajomą, ale nie miała już nikogo z rodziny.

- 2) Sprawa identyfikacji narodowej. Byłam w mieszkaniu u innej, bardzo starej już, pułkownikowej o polsko brzmiącym nazwisku i mówiącej po polsku, gdyż w okresie międzywojennym mieszkała w Polsce (wielki portret Franciszka Józefa I wisiał w jej pokoju). Zapytałam, jakiej jest narodowości i od razu zauważyłam, że popełniłam nietakt. Ostro odpowiedziała: „Byłam obywatelką Monarchii, narodowość nie miała znaczenia. To przez Węgrów, którzy ciągle się buntowali przepadła Monarchia” (potem dowiedziałam się, że była rodowitą Austriaczką). Właśnie „zbuntowany” Węgier był moim pradziadkiem. Mój ojciec przeglądał ze mną kiedyś sztambuch swojej matki. Zatrzymał się nad stroną, na której koślawym dzieciennym pismem kilkuletni Jenö wpisał po węgiersku, że gotów jest zginąć za swoją ukochaną ojczyznę, Węgry. Ojciec pokiwał głową: „Zginął, ale za Polskę, w Katyniu”.
- 3) W tym rozdziale wspomnień Cioci, dotyczącym przecież okresu I wojny światowej, nie czuje się strachu o ojca walczącego gdzieś na froncie. Czy takie było wychowanie dzieci oficerskich? Czy rodzice celowo nie opowiadali dzieciom nic o okropnościach wojny?



Stanisław Sławikowski w twierdzy Przemyśl w 1916 r.

- 4) Dziadek odmroził nogi na froncie i potem był w twierdzy Przemyśl odpowiedzialny za transport. Tyle tylko wiedziałam i tyle jest we wspomnieniach Cioci. O tym, czym był Przemyśl w czasie tej wojny i jakie piekło się tam rozgrywało, nie miałam do niedawna pojęcia. Pamiętam mój pierwszy pobyt w Budapeszcie, w pierwszej połowie lat sześćdziesiątych. Kuzynka Cili Réthy (później po mężu Vékes) zaprowadziła mnie pod pomnik bohaterskich obrońców Przemyśla. Nie rozumiałam wtedy, dlaczego dla niej to polskie miasto jest tak ważnym symbolem, a ona nie rozumiała mojej obojętności. Upłynęło wiele lat. W 2003 r. byłam z córką u zaprzyjaźnionej rodziny austriackiej, mieszkającej od pokoleń w okolicach jeziora Bodeńskiego. Mała miejscowość w dolince, dookoła szczyty Alp. W rozmowie rzucam: „A może odwiedzilibyście nas w Polsce?”. Na co Veronika Batlogg: „Zawsze marzyłam, żeby pojechać do Przemyśla”. Moje i mojej córki zdziwienie bardzo zaskoczyło naszych gospodarzy. Okazało się, że wszyscy mężczyźni z tych okolic (w tym dziadek Veroniki) brali udział w obronie twierdzy, wielu zginęło, wielu dostało się do niewoli rosyjskiej. Pamięć przeżytego tam koszmaru jest ciągle żywa. Ta austriacko-węgierska twierdza, o zasadniczym znaczeniu strategicznym, była dwa razy oblegana przez Rosjan (nadłużę trwające całkowite oblężenie – 172 dni), nie zdobyta zbrojnie, mimo wielokrotnych ataków, lecz poddana z powodu głodu i przed oddaniem w większości zburzona; potem Austriacy i Niemcy wyparli zbrojnie Rosjan z twierdzy. W 2007 r. odwiedziłam z moimi austriackimi przyjaciółmi Przemyśl. Cmentarze, na szczęście, są zadbane, ale gdybym nie trafiła w internecie na pana Wiesława Sokolika, który o fortach i ich historii wie naprawdę wszystko, i który nas po nich oprowadził, nie umiałabym ich znaleźć, ani do nich dojechać. W mieście brak informacji, drogowskazów i odpowiednich publikacji. Przyjeżdżający indywidualnie, zwłaszcza cudzoziemcy, nie mają szans na zobaczenie czegokolwiek z okresu I wojny światowej, poza cmentarzami. I na tych cmentarzach widziałam świeże kwiaty z chorągiewkami węgierskimi i innymi.

Przemyśl stał się dla mnie symbolem tragedii rozbiorów Polski. Tylko w ten sposób mogę sobie wytłumaczyć wyparcie z naszej pamięci historycznej obrony twierdzy Przemyśl (bronionej, między innymi, przez Polaków z zaboru austriackiego i niemieckiego przed Polakami z zaboru rosyjskiego). To musiało być traumatyczne przeżycie. Ten dramat dotyczył wszystkich pól bitewnych tamtej wojny na froncie wschodnim. Nieraz członkowie tej samej rodziny musieli walczyć we wrogich sobie armiach. A przysięga wojskowa zobowiązywała do lojalności i do lojalności wobec władców wzywał Polaków papież Pius X. Z Wikipedii za „Tygodnikiem Salvatorskim”, nr 48/728 z 30.11.2008 z artykułu Piotra Śliwińskiego: Pius X w czasie I wojny światowej poparł politykę Austro-Węgier. Polakom walczącym o niepodległość radził: „Dostojnicy polskiego kościoła powinni modlić się za swoich władców”. Wielokrotnie wypowiadał się, że dla Polaków podstawą musi być trójlojalizm tj. wierność władcom zaborów, nawet, jeśli miałyby to doprowadzić do bratobójczych walk w szeregach wrogich armii.]

Kraków 1918-1939

Firma przewozowa Schenker przysłała swoich ludzi i zapakowano 45 dużych skrzyń. Oprócz tego każdy z nas, to znaczy mama, Gizus, ja i Erwin wzięliśmy do pociągu po kilka walizek i z panem Floriańskim wyruszyliśmy do Krakowa. Pociągi były pełne i, chociaż mieliśmy bilety I klasy, tylko dzięki sowitym napiwkom udało się konduktorowi nas upchnąć, razem z naszymi walizkami. Potem ta pomoc pana Floriańskiego kosztowała nas prawie całe pieniądze, które mama otrzymała za swój duży dom w Becskerek. Otóż pan Floriański założył we Lwowie bank i pożyczył od wielu ludzi pieniądze. Nie tylko mój ojciec był jego ofiarą, ale też znajomy ojca, pan Głazewski, sam będąc dyrektorem banku, stracił 20 000 \$. Floriański był hochsztaplerem. Mieszkał w najdroższym hotelu we Lwowie „Hotel George”. Pewnego razu przyszła po niego do hotelu policja, a on się wtedy zastrzelił. Pozostały weksle, które spłacał między innymi mój ojciec. Początek naszego życia w Polsce nie był więc za różowy! Cała nasza piątka nie miała zabezpieczonej przyszłości. Karcsi znowu podjął studia w Akademii Konsularnej w Wiedniu i zrobił w ciągu jednego roku czwarty i piąty rok studiów, ale i tak było to bardzo kosztowne. Jenö był w wojskowej akademii Ludowika-Akademie w Budapeszcie, gdzie akademikom komunista Bela Kun zgotował ciężki los. Ja i Erwin musieliśmy jeszcze pójść do szkół. Ja zostałam oddana do Urszulanek [Prywatne Żeńskie Gimnazjum Realne SS Urszulanek przy ul. Starowiślniej 9, od 1919/1920 r. z prawami szkół rządowych] – było to niedaleko od naszego mieszkania. Przyjęły mnie do czwartej klasy liceum, chociaż nie znałam ani słowa po polsku. Musiałam się jednak uczyć polskiego na lekcjach prywatnych. Z wyjątkiem języka polskiego ze wszystkimi przedmiotami radziłam sobie bardzo dobrze. Matematyka, chemia, fizyka



II klasa licealna SS. Urszulanek w Krakowie. 15 maja 1919. Osoby na zdjęciu są ponumerowane i z tyłu opisane. Przy imionach i nazwiskach trudnych do odczytania stoi znak zapytania

- | | |
|---|--|
| 1. Olerka Czeczottówna | 17. Irena Kochanowska (?) |
| 2. Marysia Komierowska „Komar” | 18. Mysza Tyszkiewicz „Mycha” |
| 3. Musia (?) Mańkowska | 19. Janka Wesołowska |
| 4. Jadzia Starzewska | 20. Olga Czerlunerakiewicz (?) |
| 5. Ola Pollakówna | 21. Zula (?) Morawska (?) |
| 6. Stefa Noworolska | 22. Jaga Bieńkowska |
| 7. Irena Zawiszanka | 23. S. Stefania Jagminówna, wychowawczyni,
nauczycielka matematyki i fizyki |
| 8. Lili Sławkowska (ktoś opisujący zdjęcie
spolszczył „Lilly”) | 24. Badzia (?) Czupryniewierówna (?) |
| 9. Iza Ryłska | 25. Nela Fiałkówna (?) „Flaneli” |
| 10. Hania Wiśłocka | 26. Tawusia (?) Sulimirska |
| 11. Irena Matuszewska | 27. Jadzia Meyerówna |
| 12. Zosia Bęłdowska | 28. Dusia Czarnecka Zosia |
| 13. Irenka Bäkerówna | 29. Marysia (?) Bielska „Gwiazda” |
| 14. Janka Czuszkiewicz | 30. Marysia Słupnicka |
| 15. Mafa (?) Makowska | 31. Zosia Siekierzyńska „Siekiera” |
| 16. Nina Grodkowska (Grabkowska) (?)
„Kotusia, Molekuła” | 32. Zosia Raczyńska |

zawsze były dla mnie bardzo łatwe, historią od dawna się interesowałam a przy tym miałam doskonałą pamięć. Tak więc, mimo oceny niedostatecznej z języka polskiego, przechodziłam z klasy do klasy. Pierwsze moje spostrzeżenie w szkole: Polki mają zgrabne nogi. U Urszulanek były tylko dziewczęta z dobrych i za-
możnych domów. Czesne było wysokie, ale i poziom również wysoki. Natych-
miast zaprzyjaźniłam się z trzema dziewczętami: Hanką Wisłocką (później, po
zamążpójściu Marekowską), Marią hrabianką Tyszkiewicz – ... [nieczytelne] i Zo-
sią Bełdowską-Werner z siostrami Ludką i Janką. Państwo Bełdowscy miesz-
kali blisko nas, tak więc i po szkole spędzałyśmy dużo czasu razem.

Nasze krakowskie mieszkanie (ul. Jasna 6 [dzielnica VII, Stradom, obecnie ul. Bogusławskiego, w tym domu, a może i w tym samym mieszkaniu, mieszkał po powrocie do Polski aż do śmierci Czesław Miłosz]) składało się wprawdzie z 6 pokoi, kuchni i łazienki, ale i tak część mebli musieliśmy sprzedać, bo się nie zmieściły. Właści-
cielami domu byli bogaci Żydzi, potomkowie słynnego rabina Meiselsa. Pierwszy, Ignacy, był chciwym, trochę prostackim Żydem. Jego żona skromna, miła wie-
deńska Żydówka z dobrego domu. Drugi, Elias, miał za żonę szykowną kra-
kowską Żydówkę. Każdy z nich miał jednego syna i jedną córkę. Trzeci, Max,
nie wiadomo, czym się zajmował, ale obnosił się z swoim bogactwem: złota
papierośnica, złote spinki do mankietów ze szlachetnymi kamieniami. Jego
marzeniem było wejście do polskiego towarzystwa, co mu się nie udało. Ignacy
i Elias mieli pięknie urządzone prawdziwymi antykami mieszkania. Mówili,
że kupili je w Wiedniu, jak były po przewrocie wyprzedawane z zamku. Naj-
starszy Meisels, mieszkający w innym eleganckim domu, był wziętym adwoka-
tem i dumą rodziny. Jego żoną była wytworna córka c.k. pułkownika barona
Rosenberga – niewielu Żydów było w armii pułkownikami. Adwokat miał jedy-
nego syna, który uczył się w bardzo drogiej szkole z internatem w Szwajcarii.
(Podobno w tej szkole uczył się też szach perski). Pani Meisels, ku niezadowo-
leniu swego męża, przeszła na katolicyzm. Potem uczynił to ich jedyny syn, co
było podobno przyczyną zawału serca i śmierci adwokata. Zwłoki, zgodnie
z jego wolą, przewiezione zostały do Wiednia i tam skremowane. Mówiło się,
że chciał w ten sposób oszczędzić żonie chodzenia na żydowski cmentarz.
Adwokat Meisels przeznaczył w swoim testamencie Uniwersytetowi Jagielloń-
skiemu w Krakowie 100 000 złotych, co było ogromną sumą. Brat pani Meisels,
baron Rosenberg, był polskim oficerem artylerii – podczas II wojny światowej
uniknął zarówno niewoli niemieckiej jak i rosyjskiej. Chciał przejść razem z żoną
i 8-letnią córką granicę rosyjsko-rumuńską, został schwytany i dostał się do
obozu dla mężczyzn, jego żona do obozu dla kobiet, a dziecko do domu dziecka.
Na mocy układu między Rosją a Polską z 1941 r. (generał Sikorski) Polacy
zostali ewakuowani do Persji, gdzie wszyscy troje się odnaleźli. Wielu z rodziny
Meiselsów zostało wymordowanych przez Niemców. Syn adwokata, który jeszcze
przed II wojną światową wyjechał do USA, pracował tam jako utalentowany

fyzyk na którymś z uniwersytetów i podobno brał udział w pracach nad pierwszą bombą atomową. Spotkałam go około 20 lat po zakończeniu wojny w Wiedniu u naszej wspólnej znajomej baronowej Gall. Syn Ignacego razem z synem Eliasza zdążyli uciec z Krakowa. Jeden osiadł w Izraelu, a drugi w USA.



Stanisław Sławikowski jako pułkownik w odrodzonym Wojsku Polskim

Na razie mieszkaliśmy w Krakowie w czwórce: mama, Gizus, Erwin i ja. Ojciec był w wojsku w Przemyślu i Lwowie z powodu walk z Ukraińcami i bolszewikami. Karcsi był w Wiedniu w Akademii Konsularnej, a Jenö w Budapeszcie. Wreszcie Jenö wrócił z bolszewickiego więzienia. To było jeden dzień po tym, jak nas służąca strasznie okradła i zniknęła w nocy. Tego dnia po południu, kiedy wychodziłyśmy z Gizus na spacer, mama zawołała do nas, abyśmy poszły do kościoła i pomodliły się w intencji powrotu Jenö. Nie wiedzieliśmy, że on jest właśnie w drodze. Kiedy następnej nocy ktoś zadzwonił, baliśmy się nawet podejść do drzwi i zapytać kto to i tak biedny Jenö spędził pierwszą noc w Krakowie na schodach. Rano Jenö energicznie zaczął dzwonić i wołać do nas. Można sobie wyobrazić naszą radość. Natychmiast znaleziono mu nauczyciela języka polskiego. Jenö wstąpił do polskiego wojska jako podporucznik. Był bardzo przystojny i podobał się wszystkim moim koleżankom. Byliśmy często zapraszani na podwieczorki i do nas też przychodziło dużo młodzieży, ale jedzenie było bardzo skromne – właściwie była jeszcze wojna.

[Atmosferę tych pierwszych krakowskich lat i problemy finansowe wyczuwa się w zachowanym liście mojej babci Gizelli, pisanym na szczęście po niemiecku a nie po węgiersku, do swojej bratowej Mety (która była Niemką). Zwykle po śmierci adresatów rodzina oddawała listy nadawcom i dzięki temu mam ten list napisany 3 kwietnia 1923 r.: „[...]Święta spędziłyśmy sami, ale było tak przyjemnie, bo całą piątkę moich dzieci miałam koło siebie. Biedna Gizus, która tak się cieszyła na te wolne dni, bo była już bardzo zmęczona udzielaniem lekcji, przez dwa dni miała straszną kolkę. W lecie chciałabym Lilly i Gizus gdzieś wysłać na wieś, aby wypoczęły. Lilly siedzi też za dużo w pokoju i robi kapelusze, a teraz dostała zamówienie z jednego klasztoru na wykonanie 40 lnianych kornetów. Na każdym kornecie ma zarobić 5000 marek. To jest bardzo mało, ale zawsze coś. Mamy nadzieję, że po świętach ceny trochę spadną, bo wszyscy się burzą i są niezadowoleni. Wyobraź sobie, kochana Meto, że 4-kilogramowa szynka kosztowała 20 000 marek. Kupiliśmy szynkę cielęcą, która tak samo dobrze smakowała jak wieprzowa, a była dużo tańsza. [...]”]

Pewnego dnia otrzymaliśmy zaproszenie na przyjęcie dla Piłsudskiego w Sukiennicach. Chociaż byłam jeszcze uczennicą, wzięto mnie na to przyjęcie. Był tam Piłsudski i generał Haller, który ze swoimi Polakami przybył z Francji do Polski. Przedstawiciele szlachty polskiej wystąpili w kontuszach z kilkakrotnie zawiniętymi pasami i kosztownymi broszami. Jeśli dobrze sobie przypominam, w kontuszach wystąpili również arcyksiążę Stefan Habsburg ze swoim synem, właściciele Żywca. Na tym przyjęciu większą czcią otaczany był generał Haller a nie Piłsudski, który czasem samotnie się przechadzał. Ja stanęłam z boku, w kącie, razem z moją koleżanką szkolną Zosią Raczyńską, która, tak jak ja, też jeszcze nie mówiła po polsku. Ojciec Zosi był generałem, matka Niemką ze Śląska. Nagle Piłsudski ruszył w naszym kierunku, ale myśmy się przestraszyły i uciekły. Jenö, który to widział, był oburzony. Byłam szczęśliwa, że mogłam z bardzo bliska oglądać dwóch wielkich polskich bohaterów: Piłsudskiego i Hallera.

Coraz lepiej czuliśmy się w Krakowie. Jenö został podporucznikiem w 6 Pułku Artylerii Polowej w Krakowie-Łobzowie. Wielką radość sprawiło nam przeprowadzenie się do Krakowa na stałe babci Dudzikowskiej, wielkiej polskiej patriotki. Z babcią Dudzikowską byliśmy bardzo zżyci w Wiedniu. Babcia zawsze miała w Krakowie trzypokojowe mieszkanie, ale przeważnie mieszkała w pałacu u swojej córki w Troppau [Opawa na Śląsku Czeskim] w Czechach, a potem w Wiedniu. Z babcią Dudzikowską mieszkała jej służąca Julcia, która już 60 lat była u niej na służbie. Babcia umarła około jeden rok wcześniej niż Julcia, ale jej córka Mania, chociaż po I wojnie światowej utraciła większość swojego majątku, zapewniła beztróski koniec życia Julci. Po prawie 60 latach od śmierci babci Dudzikowskiej, w Wiedniu, jej prawnuczka Reneé Zacharias hr. Zedtwitz poprosiła mnie o przetłumaczenie listów jej prababci do jej babci i matki. (Reneé nie znała języka polskiego.) W wielu listach powtarzała się prośba, aby nie zapomnieć o Julci, gdyby została sama.

W pułku Jenö służył bardzo inteligentny i muzykalny porucznik Bronisław Maszlanka. [Wspomnienie o Bronisławie Maszlanke napisane przez jego zięcia Mieczysława Teicherta – załącznik nr 2]. Każdego czwartku odbywały się u nas małe koncerty. Na fortepianie grała Gizus, na skrzypcach Bronek, na wiolonczeli dr Żuk-Skarszewski albo młody student Władzio Bełdowki. To wspólne muzykowanie doprowadziło do zaręczyn i ślubu, Gizus i Bronka. Ojciec Bronka był kierownikiem szkoły w Wadowicach, a matka pochodziła ze zubożałej po którymś z powstań rodziny Wawrzykowskich. Rodzina żyła bardzo skromnie, aby móc wykształcić trójkę dzieci. Bronek chciał studiować na uniwersytecie łacinę i grekę, ale wybuch I wojny światowej unicestwił jego plany. Wstąpił do legionów Piłsudskiego i pozostał już w wojsku. W czasie II wojny światowej znalazł się w Anglii jako zastępca generała Stanisława Kopańskiego. Bronek był fanatycznym patriotą. W czasie wojny nabawił się gruźlicy, ale skutecznie operowany w Londynie wyzdrowiał. Popenił błąd – dał się namówić do powrotu do Polski przez swojego przyjaciela płk Maksymiliana Chojeckiego, byłego ucznia wiedeńskiego Theresianum, który wówczas był polskim attaché wojskowym RP w Londynie i namawiał wielu oficerów do powrotu. Los tych wszystkich oficerów był okrutny – wkrótce zostali wszyscy uwięzieni i skazani na wieloletnie wyroki lub karę śmierci. O ile się nie mylę wykonano 18 wyroków. Nikt z rodzin nie dowiedział się nigdy, gdzie zostali pochowani ich mężowie i ojcowie. Zresztą płk Chojecki też był skazany na śmierć i siedział długo w celi śmierci – został wypuszczony w 1956 r. razem z tymi uwięzionymi, którzy jeszcze żyli (wśród nich Bronek, który w 1951 r. został skazany na 13 lat). Uwolnieni oficerowie zostali znowu przyjęci do wojska, na przykład generał Kuropieska został komendantem miasta Warszawa. Mój szwagier Bronek ze względu na zniszczone w więzieniu zdrowie nie nadawał się już do służby wojskowej, ale zajął się pisaniem książek historyczno-wojskowych.

W tamtych czasach [lata dwudzieste XX w.] narzeczeni nie mogli przebywać sami i, jeśli chcieli gdzieś wyjść, np. na koncert, ktoś musiał im towarzyszyć. Najczęściej ja pełniłam niewdzięczną rolę przyzwoitki.

Ślub Gizus był bardzo uroczysty, a wesele eleganckie, chociaż był to tylko obiad dla 24 osób. Ślubu udzielał duchowny i jednocześnie profesor Uniwersytetu Jagiellońskiego ks. Tadeusz Kruszyński, który był przyjacielem naszej rodziny. Na ślubie i weselu oprócz nas domowników były nasze ciotce z Żerosławic z Zosią i Adasiem, Bronka rodzice oraz jego brat i siostra, Bronka koledzy pułkowi z komendantem pułku, pułkownikiem hr. Eduardem d'Erceville'a (był on najwyższym oficerem w armii polskiej – 207 cm wzrostu) i oczywiście ks. Tadeusz Kruszyński, który wygłosił pompatyczną mowę. Stół był pięknie nakryty srebrami i porcelaną, a jedzenie przygotowała, specjalizująca się w takich przyjęciach, kucharka ze swoją ekipą. Wesele Gizus było ostatnią uroczystością, na której byliśmy wszyscy razem. O ile sobie dobrze przypominam

było to krótko przed albo po świętach Bożego Narodzenia 1924 r. [było to 29 listopada 1924 r.] Mama, mimo kuracji w Karlsbad [obecnie Karlowe Vary], ciągle miała bóle woreczka żółciowego. O dziwo, właśnie w dniu wesela mama nie miała bóli. Rodzice bardzo elegancko wyglądali, ojciec wystąpił w galowym mundurze pułkownika Wojsk Polskich.

Kilka dni po weselu ojcu zrobił się czyrak na karku, co czasem może być niebezpieczne. Poszedł więc do szpitala wojskowego, do znanego profesora Ratza, który go pomyślnie zoperował. Ojciec opowiedział profesorowi o nękających mamę bólach woreczka żółciowego. Profesor przekonał ojca, że operacja woreczka nie jest niebezpieczna i że mama wróci do pełnego zdrowia po operacji. Ponieważ bóle stały się nie do wytrzymania, mama zgodziła się na operację. Niestety nie zbadano jej serca, które, mimo tylko 53 lat, było słabe. Mama zawsze miała duże poczucie humoru i wtedy też powiedziała, że po operacji będzie się to nazywać „Operacja się udała, tylko pacjent zmarł” i tak też się stało. Woreczek usunięto, blizna była mała i szybko się goiła, ale mama dostała zapalenia płuc, a to osłabiło serce. Mama zmarła 19 stycznia 1925 r. o 7 godzinie rano. Jak mama już się naprawdę źle czuła, było to około 6 rano, ojciec chciał pójść na pocztę i zatelegrafować do Karcsiego. Wtedy mama zapytała, gdzie ojciec idzie i prosiła, żeby został z nią. I ojciec był z mamą do końca. Dzień wcześniej przyszedł do szpitala Jenö po swojej służbie. Na korytarzu pielęgniarka powiedziała mu, że mama jest słaba. Jenö odchodząc od łóżka miał łzy w oczach. Mama to zauważyła i zapytała mnie: „Dlaczego Jenö płacze?” On był bardzo z matką związany. Posłano po księdza, który udzielił ostatniego namaszczenia. Śmierć mamy była dla nas ciężkim ciosem. Na pogrzebie było niewielu krewnych, ale wielu znajomych. W pochodzie ze szpitala garnizonowego na cmentarz Rakowicki szli wszyscy koledzy z pułku Bronka i Jenö. Orkiestra wojskowa grała, między innymi, marsza żałobnego Chopina.

Przed śmiercią mamy nasz dom był zawsze pełen młodzieży. Byli to przeważnie koledzy Jenö i moje koleżanki szkolne. Często przyjeżdżała nasza kuzynka Bubus Várady, która w Wiedniu studiowała historię sztuki. Chodziliśmy razem na bale, na przykład na Bal Rolniczy (właścicieli ziemskich), Bal Rabki [?] (na cele charytatywne), także na bal kawalerii i artylerii. Naturalnie mama musiała z nami chodzić, chociaż siedzenie na tych balach dosyć ją nudziło. Po śmierci mamy dalej nas odwiedzano i myśmy odwiedzali, ale wszystko było już inne. Nigdy już nie było tak radosnej atmosfery.

Tak samo serdecznie byli przyjmowani u nas biedni studenci i podporucznicy jak pułkownicy i generałowie. I chyba dlatego wszyscy się tak dobrze czuli. Bardzo częstym gościem był u nas pułkownik Krautwald von Annau, zwany przez nas „papa Ernstl”. Był bratem feldmarszałka Krautwalda von Annau,

którego znaleźliśmy jeszcze z Temesvár. Krautwaldowie należeli do tych, z którymi prawie codziennie spotkaliśmy się w parku Franciszka Józefa, gdy mieszkaliśmy w willi Pokomandego. Feldmarszałek był wysokim, przystojnym mężczyzną, wysokie i eleganckie były także jego żona i córka. Po I wojnie światowej zamieszkali w Pressburgu. Pewnego dnia przyjechali do nas do Krakowa z wizytą. Była to dla rodziców szczególna radość, bo mogli razem wspominać Temesvár, gdzie byli tak szczęśliwi.

Pułkownik Krautwald był niski, miał krzepką, wysoką żonę, która była fanatyczną polską patriotką. Pułkownik miał z powodu jej działalności kłopoty podczas I wojny. Pani Krautwald była wielką zwolenniczką Piłsudskiego i wykonała dla niego kilka brawurowych, niedozwolonych akcji. Gdyby te sprawy się wydały, biedny „papa Ernstl” wyleciałby z armii. Pułkownik Krautwald, czyli papa Ernstl, odwiedził naszą matkę w szpitalu przynosząc jej bukiet kwiatów. Po jego wyjściu żartowaliśmy z mamą, że jest to jej cichy wielbiciel. W czasie II wojny światowej na pułkownika spadał cios za ciosem. Miał on trzech synów i ładniutką córkę Dodo. Dodo wcześniej wyszła za mąż za majora ze sztabu generalnego i urodziła troje dzieci. Jej męża sowieci wzięli do niewoli i rozstrzelali w Katyniu. Dodo była z dziećmi deportowana na Syberię, gdzie dwoje dzieci zmarło z głodu. Wróciła w 1946 r. z jednym dzieckiem do Polski, do Krakowa, gdzie na szczęście spotkała jeszcze swoją dzielną matkę. Dziecko miało gruźlicę ale, o ile pamiętam, zostało wyleczone w Krakowie. Najmłodszy syn pułkownika ożenił się tuż przed wojną, był urzędnikiem w banku w Poznaniu. Być może był w jakiejś organizacji, w każdym bądź razie przyszło Gestapo po niego. Żona objęła go rękami za szyję i nie chciała puścić. Gestapo wzięło ich oboje i po krótkim procesie oboje rozstrzelano. Ernest, najładniejszy z synów pułkownika, był kapitanem artylerii, dostał się do niewoli sowieckiej i został rozstrzelany w Katyniu. Jego żona Lili i córka przeżyły wojnę w dobrych warunkach, w należącej do ojca Lili willi „Ułan”, w Krynicy. Ojciec Lili był wziętym lekarzem. Po wojnie Lili wyszła za mąż za komunistę a jej córka wyszła za mąż za lekarza. Podobno Lili pomogła wielu znajomym ziemianom, których w 1945 r. władze komunistyczne wyrzuciły z majątków i pozbawiły środków do życia. Pomagała, między innymi, moim znajomym Romerem i Bobrowskim. Najstarszy syn pułkownika Joseph (Ziuniu) był oficerem artylerii i był wyjątkowo brzydki. Miał jednak świetną figurę, był dobrym sportowcem i miał doskonałe maniery. Jego żona też była bardzo brzydka, ale inteligentna, dowcipna i błyskotliwa. Ziuniu Krautwald i jego żona byli bardzo chętnie widziani w towarzystwie. Nagle żona Ziuniu rozeszła się z nim i wyszła za mąż za wyjątkowo przystojnego pułkownika. Joseph Krautwald w czasie wojny awansował do stopnia pułkownika i znalazł się pod koniec wojny w Edynburgu w Szkocji, został tam i, jak wielu polskich oficerów, pracował w barze jako barman. Gdy byłam 2 lata w Londynie, opiekując się moim chorym na raka

bratem, Ziuniu odwiedził mnie kilka razy. Biedny „papa Ernstl”, który tak kochał swoją rodzinę, stracił tragicznie, w krótkim czasie, tylu najbliższych! Opisuję historię tej rodziny, gdyż byli to nasi wierni przyjaciele, ale podobny los spotkał wiele polskich rodzin.

Gizus z mężem zamieszkali z nami na pewien czas. Ja uczęszczałam na kursy Baranieckiego w Krakowie. Były to kursy ogólnokształcące i gospodarstwa wiejskiego. Wykładowcami, rzeczywiście wspaniałymi, byli prawie sami profesorowie uniwersytetu, a słuchaczkami przeważnie córki właścicieli ziemskich. Wiek słuchaczek nie był ograniczony, ale żeby się dostać na kursy, trzeba było mieć ukończoną co najmniej 6-tą klasę gimnazjum lub liceum. Z Gizus i Bronkiem mieszało nam się bardzo dobrze. Ojciec, doceniając inteligencję Bronka, namawiał go na podjęcie studiów w Wyższej Szkole Wojennej w Warszawie. Bronek, który był bardzo skromny, po jakimś czasie dał się przekonać i pojechał na egzaminy. Zdał je oczywiście bardzo dobrze i został przyjęty. Tak więc oboje z Gizus przenieśli się do Warszawy. Mieszkali w wynajętym mieszkaniu – 3 niezbyt duże pokoje i małeńki pokój dla służącej. Właśnie w czasie bardzo ciężkiej zimy 1929 r. (mrozy do -30°C) Gizus oczekiwała swojego pierwszego dziecka. Poród odbywał się w szpitalu wojskowym, gdzie był też oddział ginekologiczny. Dziecko było bardzo duże, lekarze to zlekceważyli, Gizus była strasznie poraniona, a dziecko się udusiło. Potem tak źle ją pozszywali, że za jakiś czas musiała przejść drugą operację. Biedna, delikatna Gizus! Dzisiaj wytacza się niedbałym lekarzom procesy – dawniej nie było to praktykowane. Gizus urodziła dwa lata później, z zastosowaniem cesarskiego cięcia, śliczną córeczkę Teresę. Chrzest odbył się u nas w domu (choć, zdaje mi się, że chrzty w domach prywatnych nie były już dozwolone) w Krakowie. Udzielił go ks. Tadeusz Krużyński, który miał na sobie przez siebie samego wyhaftowaną stulę. Chrzestną matką była ciocia Zosia Rittnerowa, która z jakichś względów nie mogła przyjechać z Wiednia i ja ją zastępowałam.



Bronisław Maszlanka z żoną Gizelą, z domu Sławikowską, i córeczką Teresą. Rok 1931

Jenö miał przyjaciela, którego matka była dobroniuszną Węgierką (wydaje mi się, że pochodzenia żydowskiego, jej syn z pierwszego małżeństwa ożeniony był z córką prezydenta giełdy wiedeńskiej) a ojciec, pułkownik Pietrzykowski, był dosyć niesympatyczny. Pani Pietrzykowska rzadko była w Krakowie, przeważnie przebywała na Węgrzech. Jej córka i syn Laci byli przy ojcu w Krakowie. Laci więcej czasu spędzał u nas, niż w swoim domu. Jenö i Laci mieli podobne poczucie humoru i świetnie się bawili swoimi dowcipami i kawałami. Często ja byłam celem ich psikusów. Pewnego dnia, akurat 1-go kwietnia, posłaniec przyniósł elegancko zapakowaną paczkę bez nadawcy. Otwieram paczkę i znajduję zwykły blaszany nocnik, na którego dnie namalowany był dokładnie znak porcelany miśnieńskiej – dwa skrzyżowane miecze. Dowcip polegał na tym, że ja prawie od dzieciństwa interesowałam się starą porcelaną i, jak na laika, miałam w tym zakresie dużą wiedzę. Mieliśmy zresztą w domu wiele cennych sztuk: stary Wiedeń, Miśnia i moja ulubiona waza – stary Berlin z XVIII wieku.

Laci Pietrzykowski, przyjaciel Jenö, był w czasie wojny u swojej matki na Węgrzech. Kiedy tam zaczęli rządzić Niemcy, został aresztowany jako polski uciekinier i umieszczony w obozie w Mauthausen. Przeżył tam wojnę i emigrował do Ameryki.

Jenö zaręczył się z jedną z najpiękniejszych panien w Krakowie – Ireną Ackermann. Irena była córką krakowskiego lekarza. Miała cztery siostry, wszystkie bardzo urodziwe. Najstarsza, Jadwiga Ackermann, została potem profesorem medycyny, wyładała histologię. Bardzo lubiłam Jadwigę. Sprawami życia codziennego nie interesowała się w ogóle, ale jak się było w jej towarzystwie, zawsze można się było czegoś nauczyć. I ten wielki umysł został na starość, przed śmiercią, pokonany przez sklerozę. Druga siostra Ireny nazywała się Janka, po mężu Karpińska. Trzecia siostra Eugenia, po mężu Fonferko a czwarta Maria, po mężu Ziemiańska. Irena miała jeszcze brata Adama.

Ślub Ireny i Jenö był w kościele uniwersyteckim pod wezwaniem św. Anny. Był tłum ludzi, bo wszyscy chcieli zobaczyć tę piękną parę. Ja nie byłam na ślubie i na weselu. Młoda para miała po ślubie zamieszkać u nas, a ja uznałam, że będą się swobodniej czuli, jeśli na jakiś czas wyjadę. Wyjechałam więc do Beckserek, do Metatante i Imrebáci. Kiedy wróciłam po prawie roku, Artur [Artur Sławikowski (1927-1975), nazywany w rodzinie *Turkiem* lub *Tureczkiem*] był już na świecie. Irena, gdy rodziła Artura, miała 40° gorączki. W czasie ciąży miała ogromny apetyt i nie wiadomo, czym się zatrula. Siedmiu lekarzy, między innymi jej ojciec, było przy porodzie. Biedny Artur miał podczas porodu zranione oko, zrobił się stan zapalny. Codziennie przychodził prof. Majewski, potem dr. Kaelus [?] i zapuszczali do oka krople. Niestety na oku pozostała biała blizna i na to oko już nie widział. Drugie oko było krótkowzroczne. Artur przeszedł kilka operacji oka, które nic nie zmieniły. Operował słynny

dr Rosenhauch. Lekarz ten zdążył uciec przed nazistami i został znanym okulistą w Nowym Jorku.

Wkrótce odbył się chrzest Artura. Ja byłam chrzestną matką, brat Ireny inżynier Adam Ackermann był chrzestnym ojcem, a chrztu udzielał ksiądz profesor Kruszyński, znowu przystrojony w stulę, którą sam wyhaftował, i z której był bardzo dumny. Mieszkaliśmy wszyscy razem. Irena była doskonałą panią domu. Ukończyła znaną szkołę gospodarstwa w Chyliczkach k/Warszawy i rzeczywiście wykorzystywała nabyte tam umiejętności. Potrafiła najprostsze potrawy tak podać, że stawały się wykwintne, ale też potrafiła gotować i piec skomplikowane dania.

Nigdy nie było między Ireną a resztą rodziny najmniejszych nieporozumień – w razie różnicy zdań spokojnie się wszystko omawiało. Artura bardzo kochałam, chociaż był męczącym dzieckiem i dużo płakał. Być może bolało go chore oko. Rano ordynans albo służąca przynosili mi Artura do łóżka i ja się z nim bawiłam jakiś czas. Potem był odnoszony z powrotem do Ireny. Artur był niejadkiem, a Irena przygotowywała mu za duże porcje. Sprawiało mi prawdziwą mękę patrzeć jak był karmiony – trwało to wiecznie: „jedna łyżka za tatusia, jedna łyżka za mamusię, jedna łyżka za ciocię Lilly itd.” Biedny Artur!

Muszę jeszcze wrócić do okresu kawalerskiego Jenö. Był dobrym sportowcem. W krakowskim garnizonie był w bardzo dobrych kontaktach z generałem Tinzem i jego żoną Mizzi, urodzoną Wiedenką. Jak na tak wysoką szarżę



Irena Sławkowska z domu Ackermann z synem Arturem.
Kraków 1933 r.



Na czele grupy jeźdźców por. Eugeniusz (Jenö) Sławikowski. VI Pułk Artylerii Lekkiej
w Krakowie Łobzowie



Por. Eugeniusz (Jenö) Sławikowski trenuje do zawodów

byli relatywnie młodzi. Siostra generałowej Emma Lauda była później babką Nikiego Lauda, słynnego kierowcy formuły 1. Mizzi Tinz była nie tylko przepiękna, ale też miała doskonałą figurę. Po latach znany portrecista Bolesław Czedekowki opowiadał mi, że Mizzi Tinz była najpiękniejszą kobietą, jaką spotkał i jaką portretował [portret Marii von Tinz z 1918 r.].

Pani generałowa naprawdę dobrze jeździła konno, a ponieważ Jenö był świetnym jeźdźcą i mówił po niemiecku, więc często jej towarzyszył w przejażdżkach. Państwo Tinz grali także chętnie w tenisa, oczywiście tylko na kortcie wojskowym. Genralową Mizzi Tinz spotkałam po około 30 latach w Wiedniu – grałyśmy kilka razy brydża. Była wtedy dosyć tęga i trudno było dopatrzyć się śladów dawnej piękności. Jej mąż umarł w Wiedniu na raka – podobno bardzo cierpiał.

W 6 Pułku Artylerii Lekkiej, gdzie mój brat służył, był naprawdę dobry kort – piłki zbierali żołnierze. Jenö grał częściej w Parku Krakowskim ze znajomymi dziewczętami. Czasami, czekając na przyjsie partnerki, grał z dziewczynką, która zwykle zajmowała się zbieraniem piłek, a której ojciec zrobił rakietskę z deski. Jadzia już całkiem dobrze grała tą drewnianą rakietską. Gdy Jenö to zauważył, podarował jej jedną z wielu rakiet, które mieliśmy w domu. Jadzia robiła niesamowite postępy w grze i Jenö zabierał ją czasem na kort w koszarach, by grała też z innymi tenisistami. Jadzia Jędrzejowska została potem jedną z najlepszych tenisistek świata, wicemistrzynią Wimbledonu, czterokrotną mistrzynią Londynu. Pomimo takich oszałamiających sukcesów, Jadzia nie miała w sobie nic z „primadonny”, pozostała naturalna i serdeczna. Po II wojnie światowej spotkałam się z Jadzią, która z żalem opowiadała, że w powstaniu warszawskim straciła wszystkie swoje nagrody. Podobno król szwedzki Gustaw (który był zapalonym tenisistą i grywał czasem z Jadzią) w czasie wojny zaprosił oficjalnie Jadzię do Szwecji i gestapo chciało zezwolić jej na ten wyjazd. Jadzia była jednak patriotką i chciała być z rodakami. Kiedy już wspominam Jadzię, muszę przypomnieć jej mecz z serbskim mistrzem juniorów Mitićem. Był to Schau-match. Jadzia była może 2 lata starsza od niego, ale na pewno nie miała jeszcze 18 lat. Miała niesamowicie silny forhand i backhand. Nawet mężczyźni zazdrościli jej udanych drop-shotów. Mecz wygrała Jadzia, a młody Mitić rozplakał się. Potem Mitić należał do najlepszych serbskich tenisistów. Po kilku latach dowiedziałam się, że Mitić zabił swoją młodą żonę i poszedł do więzienia.

Ojciec obiecał kiedyś swojemu przyjacielowi, inżynierowi Windakiewiczowi, że, jeśli by ten wcześniej umarł, zaopiekuje się jego żoną. Ciocia Mania Windakiewicz była prawie głucha i jeśli się do niej mówiło, przykładła dużą trąbkę do ucha. Mieszkała w Bochni ze swoją dosyć samowolną służącą. Ojciec wynajął więc w tym samym domu na drugim piętrze dwa pokoje i więcej czasu spędzał

w Bochni, niż w Krakowie. Było to tym bardziej wskazane dla niego, że przeszedł zapalenie płuc i lekarze radzili mu jak najradsze przebywanie w niezdrowym Krakowie. Często jeździł też do Lwowa. W Bochni poznał swoją drugą żonę Kamilę, wdowę po adwokacie i byłym burmistrzu Bochni Antonim Serafińskim. Antoni był synem majątnego prawnika Leonarda Serafińskiego ożenionego z Joanną z domu Giebułtowską. Bracia Joanny uczyli się w Krakowie i tam zaprzyjaźnili się z Janem Matejką, dziewiątym dzieckiem z jedenaściorga dzieci Franciszka Matejki, nauczyciela muzyki, pochodzącego z Czech. Leonard Serafiński pomagał młodemu artyście, który potem został jego szwagrem – Matejko ożenił się z Teodorą, najmłodszą z rodzeństwa Giebułtowskich. Leonard Serafiński wybudował w pobliżu zamku w Wiśniczu [koło Bochni] modrzewiowy dworek, tak zwaną „Koryznówkę”, z przeznaczeniem na letnią siedzibę dla całej rodziny. Do tego domu często przyjeżdżali z Krakowa Matejkowie z dziećmi. „Koryznówka” stoi do dzisiaj i jest w niej Muzeum Pamiątek po Janie Matejce.

Kamila była dobrym człowiekiem i w młodości musiała być bardzo ładna. Była jednak w przeciwieństwie do swoich dzieci dość ograniczona. Miała dwie córki i jedynego syna Tomka, który był bardzo dobry, subtelny i skromny, ale zdominowany przez siostry. Jedna córka, Maryna, była niezamężna a druga, Hanka, była żoną Czesława Wierusz-Kowalskiego, malarza, który po swoim sławnym ojcu Alfredzie Wierusz-Kowalskim odziedziczył nazwisko, ale nie talent. Czesław zmarł w Warszawie w 1988 r jako stulatek! Syn Kamili, Tomasz Serafiński, inżynier rolnictwa, przeszedł w młodości zapalenie stawów i mimo że nie miał jeszcze 30 lat chodził o kulach.

Tak więc w mieszkaniu na Jasnej 6 zostaliśmy Jenő, Irena, Erwin i ja. Ojciec często przyjeżdżał do nas z Bochni. Odwiedzali nas też różni goście. Na jedno święta Bożego Narodzenia przyjechała nasza kuzynka Piroška, najmłodsza córka wujostwa Várady z Becskerek. Uczyła się w klasztorze Sacre Coeuer w Pressbaum koło Wiednia. Piroška, wówczas 16-letnia, miała bardzo dużo uroku, cerę raczej smagłą a przy tym niebieskie oczy. Zaraz wokół niej pojawiali się adoratorzy. Piroška wyszła za mąż w wieku 18 lat za młodego lekarza, który okazał się morfinistą, i miała z nim syna. Małżeństwo rozpadło się, a syn został z matką. Potem wyszła za mąż za Polaka, Petera Linhardta Lenartowskiego, (wnuka c.k. ministra Rittnera), który jako oficer rezerwy został zamordowany przez Rosjan w Katyniu w 1940 r. Piroška wyszła potem jeszcze raz za mąż za kolegę swojego brata, adwokata Paula (Pali) Héklai. Oboje wyjechali do Argentyny, gdzie Pali był wziętym adwokatem. Potem na Piroškę spadły dwa ciosy, jeden za drugim. Najpierw umarł jej jedyny syn, a potem mąż. Piroška nie chciała zostać sama na obczyźnie i wróciła do Zrenjanina (dawniej Nagy-Becskerek), gdzie się wychowała i gdzie mieszkał jej ukochany brat Józsi

Várady. Nie minęły dwa lata, a Józsi zmarł nagle na udar mózgu [w 1988 r.]. Ta śmierć pograżyła w żalu nie tylko rodzinę, lecz również wielojęzyczną ludność Banatu. Józsi był adwokatem, wiceprzewodniczącym międzynarodowego stowarzyszenia adwokatów. Natura była dla niego hojna: był urodziwy, wysportowany (był świetnym pływakiem), zdolny (był najmłodszym doktorem prawa w Jugosławii – miał wtedy 22 lata), znał kilka języków i dobrze grał na fortepianie. Gdzie tylko mógł, pomagał ludziom. Kiedy ja bez pieniędzy pojechałam do Londynu, by opiekować się moim chorym na raka bratem, przekazał mi, poprzez znajomych, pewną sumę pieniędzy. Na szczęście mogłam mu ją po latach zwrócić. Józsi był około dwa tygodnie przed śmiercią w Wiedniu. Wyglądał młodo i zdrowo. Tak bardzo cieszyliśmy się z naszego spotkania – kto mógł wtedy przypuszczać, że to ostatnie.

Odkąd zamieszkaliśmy w Krakowie byliśmy często zapraszani do znajomych w samym Krakowie i do kilku dworów ziemiańskich w okolicach Krakowa. W tych wyjazdach na wieś towarzyszył mi Erwin, a Jenö bardzo rzadko. Nie odpowiadało mu, że w dworach jest dużo służby, natomiast nie ma łazienki (a Jenö był strasznym pedantem). Długa podróż bryczką też go nudziła. A poza tym w okolicznych dworach nie było wtedy podobających mu się panien, a to dla Jenö było ważne. Pewien typ urody i sposobu bycia liczył się dla niego bardziej, niż pochodzenie. A potem ożenił się z tą niezwykłą, wspaniałą pod każdym względem, Ireną z Ackermannów. Jeździłam przeważnie z Erwinem



Stary dwór w Żerosławicach



Kazimierz Feliks Bzowski, syn Adama i Emilii z domu Oraczewskiej, mąż Marii z domu Marynowskiej, brat Marii (Masi) Bzowskiej, ojciec Zofii po mężu Wolskiej i Adama Kazimierza Bzowskiego

do Żerosławic [w powiecie myślenickim], do starej posiadłości Bzowskich, skąd pochodziła matka mojego ojca [dokładniej: Żerosławice należały do Adama Bzowskiego, brata Julii z Bzowskich Sławikowskiej, i jego żony Emilii, z domu Oraczewskiej] i dokąd jeździliśmy także z Becskerek. Były tam dwa domy. Stary dwór – typowa polska siedziba ziemiańska, przed wejściem kolumny, z sieni na prawo i na lewo były korytarze, które prowadziły do wielu pokoi. Drugi dom był w stylu zakopiańskim – z tarasu widziało się z daleka góry. Żerosławice były kiedyś dobrze funkcjonującym majątkiem, a w domu atmosfera była miła i kulturalna i na szczęście wszyscy byli muzykalni. Wszystkie ciotki mówiły dobrze po francusku. Służba miała respekt przed państwem. Mężczyźni spędzali dużo czasu poza domem, wciąż byli na jakimś „posiedzeniu”. Wuj Kazio chyba trochę uciekał przed swoją żywą, energiczną żoną i przyjął jakąś funkcję w mieście.

Do domu przyjeżdżał od czasu do czasu na 2-3 dni. Był wtedy przez wszystkie ciotce bardzo rozpieszczany. Leżał długo w łóżku i tam mu podawano śniadanie, potem przychodzili z różnymi sprawami chłopci i on ich też przyjmował leżąc w łóżku. Wuj Kazio był bardzo gruby i bardzo wesoły. Był też bardzo rodzinny. Niestety zmarł w wieku 53 lat na zawał serca. W Żerosławicach zaczęło się wtedy czysto kobiece gospodarowanie. Były tam cztery ciotce. Najstarsza była trochę sklerotyczna – o niczym już nie decydowała. Ciotcia Oraczewska prowadziła miejscową agencję pocztową i dostawała od państwa małą, ale stałą, pensję. Ciotcia Masia, współwłaścicielka Żerosławic, prowadziła dalej gospodarstwo spokojnie i rozsądnie – fornale mieli przed nią respekt i słuchali jej poleceń. Kiedy jechałyśmy z ciotcią Masią bryczką przez pola, pracujący tam odrywali się od pracy i głęboko kłaniali. Kiedy jednak ktoś we wsi był chory, zajmowała się nim na ile potrafiła, dopóki nie przybył lekarz. Ciotcia Mania, wdowa po wuju Kazimierz, była niesamowicie pracowitą osobą. Nie zwracała uwagi na ubranie, chodziła boso i cały dzień pracowała, chcąc dać przykład chłopom. Skutek był odwrotny, fornale nie mieli przed nią respektu, a do dobrego kiedyś gospodarstwa wkraść się chaos i bałagan, jaki niestety często bywał w polskich gospodarstwach. Do Żerosławic młodzież i dorośli przyjeżdżali zawsze bardzo chętnie. Bywali tam dwaj synowie słynnego geografa, profesora Eugeniusza Romera, Wittek i Edek i inni krewni Romerów, dwie siostry cioci Mani, elegancka matka później sławnego gen. Klemensa Rudnickiego i pani Gużkowska ze swoimi dwiema córkami, ładną Felą Michelis-Ostaszewską i muzykalną, trochę histeryczną Basią Palester, której mąż był kompozytorem. Ciotce nigdy nie były zmęczone i ciągle grały na fortepianie, żebyśmy mogli tańczyć. Jedzenie w Żerosławicach było raczej proste. W lecie na kolację podawano prawie codziennie kwaśne mleko z kartoflami, ale gdy niespodzianie pojawiali się goście, ciotce natychmiast wymyślały coś dobrego, jakąś dobrą pieczeń – polska gościnność była perfekcyjna. Pewnego dnia, a był to czas żniw, podeszła do mnie ciotcia Mania i powiedziała, abym szybko wsiadła na konia i pojechała do Berka Pflastra do Mstowa i przywiozła od niego pieniądze, potrzebne cioci na opłacenie robotników sezonowych, bo w domu już nie było gotówki. Ciotcia dała mi list do Berka i poszłam do stajni. Stał tam tylko Cygan. Był to nieduży, kary koń, ale miał swoje narowy, mianowicie pozwalał się dosiąść w stajni, a na zewnątrz już nie. I to nie tylko takim średnim jeźdźcom jak ja, ale nawet kawalerzystom. Co było robić, wsiadłam na Cygana i pojechałam. Dojechałam do Mstowa i zobaczyłam, że drzwi gospody są otwarte na rozcież. Ażeby nie mieć potem problemów z wsiadaniem, wjechałam konno do gospody, podjechałam do lady, podałam Berkowi list, wzięłam pieniądze i wyjechałam. Widziałam, że chłopci, siedzący przy stołach w gospodzie, patrzyli na mnie z wyraźnym przestachem. Minęło od tego zdarzenia kilkanaście lat – byłam już na zesłaniu w Kazachstanie (Semipałatyńsk) i musieliśmy się znowu

zarejestrować. Przede mną była miło wyglądająca Żydówka. Urzędnik zapytał o nazwisko – Neumann, z domu Pflaster. Słucham dalej – córka Berka, urodzona w Mstowie. Zaraz potem zapytałam ją, czy chodzi o Mstów między Żerostawicami i Jodłownikiem. Potwierdziła i nagle świat się strasznie skurczył. Opowiadała, że ona z mężem uciekła przed Niemcami. Reszta licznej rodziny Neumannów pozostała w okolicach Bochni i 70 członków tej rodziny zostało zamordowanych przez Niemców. Gdy po zsyłce wróciłam w 1946 r. do Polski, dowiedziałam się od pewnej osoby, że właścicielka leżącego w pobliżu Żerostawic majątku Jodłownik Irena Romer przechowywała na poddaszu dworu Szymona Pflastra, syna karczmarza, choć za to w Polsce groziła śmierć z rąk Niemców. Gdy po wojnie komuniści wyrzucili Romerów z majątku i cała rodzina była w wielkiej biedzie, Szymon Pflaster im nie pomógł, choć powodziło mu się bardzo dobrze. Był to raczej niechlubny wyjątek, gdyż większość uratowanych Żydów okazywała wdzięczność swoim polskim wybawcom.



Wizyta Gizelli i Stanisława Sławikowskich w Żerostawicach. Prawdopodobnie rok 1901. Stanisław Sławikowski stoi pierwszy z lewej, na prawo od niego siedzi na ławce jego żona Gizella (z rakiętą tenisową). Na ziemi siedzą dzieci Karol (Karcsi) i Gizela, niemowlę na kolanach nieznaney osoby to zapewne Eugeniusz (Jenö)

Jak już wspomniałam, w Żerostawicach spędzaliśmy czas bardzo wesoło, a kiedy w okolicy wojsko miało manewry, wtedy soboty były szczególnie rozrywkowe. Co tydzień inny dwór urządzał duże przyjęcie. Manewry miał 8 Pułk

Ułanów. Obecność dowódcy, pułkownika Władysława Bzowskiego [Władysław (Janota) – Bzowski urodzony w 1885, zmarły w 1945, był oficerem armii austriacko-węgierskiej i szambelanem cesarskim. Brał udział w I wojnie światowej. Po wojnie służył w wojsku polskim. W latach 1923-1928 był dowódcą 8 Pułku Ułanów Księcia Józefa Poniatowskiego. W czasie okupacji był dowódcą Armii Krajowej województwa krakowskiego. Zaaresztowany przez Gestapo w 1944 r, rozstrzelany w Gross Rosen na 5 dni przed końcem wojny. Był pierwszym mężem poetki Marii Jasnorzewskiej-Pawlikowskiej] byłego szambelana cesarskiego, wytwornego i sztywnego, gasiła swobodny nastrój. Ale gdy pułkownik Bzowski wyjeżdżał na jakiś kurs, zastępował go podpułkownik Szuszkiewicz, służący przed wojną w armii rosyjskiej. Ten miał zawsze wesołe pomysły, a kapela wojskowa przygrywała do rana. Oczywiście gospodarze dworu dbali, by muzykom, jak i innym gościom, nie brakowało jedzenia i napoi.

Musiałam opuścić wesołe Żerosławice, bo miałam wyjechać do Becskerek. Trzeba było przedtem pojechać do Krakowa, a więc najpierw bryczką do Gdowa, a stamtąd autobusem. Nagle widzę szwadron żołnierzy na koniach prowadzony przez komendanta szwadronu i adiutanta pułku Krzyszkowskiego, który wręczył mi duży bukiet. Oczywiście był to pomysł Szuszkiewicza. Wiele lat później, gdy pojechałam do Londynu, aby opiekować się moim chorym na raka bratem i zarabiałam, między innymi, zmywaniem naczyń w polskim klubie, widywałam od czasu do czasu byłego adiutanta Krzyszkowskiego – ale on mnie nie poznał!

Jenö i Irena otrzymali mieszkanie w koszarach. Było to dla nich z wielu względów wygodniejsze. Po pierwsze, Jenö nie musiał już codziennie dojeżdżać do koszar, po drugie mieszkanie na ul. Jasnej było bardzo drogie i wciąż przychodziło tam masę gości, co też nie mało kosztowało. Irena miała cztery siostry, które chętnie ją odwiedzały, przyprowadzając także swoich znajomych. Umiała wspaniale gotować i zawsze potrafiła wyczarować jakąś nową potrawę, ale chyba często była zmęczona. Zostaliśmy więc z Erwinem sami w tym dużym mieszkaniu. Aby móc je utrzymać, wynajęliśmy jeden pokój koledze Erwina ze studiów, a drugi pokój dwóm studentkom. Wkrótce Jenö został przeniesiony do Włodzimierza Wołyńskiego jako instruktor w Szkole Podchorążych Rezerwy Artylerii.

Włodzimierz Wołyński był typowym wschodnim miasteczkiem, zamieszkałym głównie przez Żydów. Byli to raczej biedni Żydzi, bardzo religijni. Nosili pejsy, a w wieczory piątkowe zakładali futrzane czapy. Tuż przed wybuchem II wojny światowej przebywałam we Włodzimierzu Wołyńskim z wizytą u brata i bratowej. Bardzo miło spędzałam tam czas – grałam dużo w tenisa i w brydża. Wśród tenisistów był dawny (z 1914 r.) akademicki mistrz z Poznania, podpułkownik Meisner. Pewnego razu, już po 20 sierpnia 1939 r., gdy nastroje antyniemieckie i wojenne były wyraźne, podpułkownik Meisner powiedział mi pełen wiary w zwycięstwo: „jeśli wojna wybuchnie, za dwa tygodnie piję



Kapitan Eugeniusz (Jenö) Ślawikowski.
Koniec lat 30-tych XX wieku

moją kawę w Berlinie”. Wojna wybuchła, a on znalazł się nie w Berlinie, a w radzieckim obozie jenieckim, skąd już nigdy nie wrócił. Jenö bardziej realistycznie ocenił sytuację. 25 sierpnia wrócił z kursu dla oficerów sztabowych i powiedział do swojej żony: „Irusiu, za trzy tygodnie zostaniemy bez chleba, a nasze dowództwo nie ma pojęcia, czym dysponują Niemcy; nie mów tylko tego nikomu, bo mnie zamkną”. Jenö miał rację, za trzy tygodnie siedział w sowieckim obozie jenieckim, a w kwietniu 1940 został rozstrzelany w Katyniu.

W lipcu rozchorowała się we Lwowie Gizus, więc Irena pojechała do niej i zabrała do siebie, do Włodzimierza, Teresę. Teresa miała 8 lat i była ślicznym dzieckiem, z lekko falistymi, gęstymi włosami i okrągłą buzią. Była przy tym, mimo obcego otoczenia, zawsze w

dobrym humorze i nikomu nie przeszkadzała. Przeważnie bawiła się z Arturem i jego kolegami.

[Chcę uzupełnić wspomnienia Cioci z okresu krakowskiego:

- 1) Zastanawiam się, dlaczego Ciocia nic nie pisze o mojej matce, która właśnie w Krakowie poznała mojego ojca, Erwina Ślawikowskiego. Moja mama, Halina z domu Redych (ur. 13.10.1907), dobra, pogodna, inteligentna, życzliwa wszystkim i zawsze gotowa do pomocy, a do tego bardzo ładna i zgrabna, odkąd pamiętam cieszyła się uznaniem i sympatią swoich szwagierek. Myślę, że powodem „nieobecności” mojej mamy we wspomnieniach Cioci była prawdopodobnie początkowa obustronna obcość. Środowiska rodzinne mamy i ojca – to były dwa różne światy. Można sobie wyobrazić dom Ślawikowskich na podstawie wspomnień Cioci, ale jeszcze bardziej przybliżyć atmosferę tego domu dzienniczek Zofii Bzowskiej (później, po mężu, Wolskiej, córki Kazimierza i Marii z Marynowskich) z Żerosławic, opisującej wizyty na ul. Jasnej 6 w Krakowie – załącznik nr 3.

Środowisko mojej mamy to ziemiaństwo z lubelszczyzny. Kuzyn Maciej Sobieszczański opracował historię rodziny Sobieszczańskich od XVI wieku i absolutnie wszyscy po



Halina Redych, przyszła żona Erwina Sławikowskiego, w Krakowie w 1929 r.



Erwin Sławikowski w okresie studiów na UJ

mieczu i po kądzieli byli polskimi szlachciami. Dopiero pokolenie mojej babci zrobiło wyłom i rozpoczęło koligacje z przedstawicielami różnych środowisk. Członkowie bliższej i dalszej rodziny mieszkali w modrzewiowych dworach rozrzuconych wśród malowniczych wzgórz Roztocza. Rozrywką były wzajemne odwiedziny a dla mężczyzn polowania, których mój ojciec nie znosił i w nich nie uczestniczył. Wśród podobnych osobowości i życiorysów wyróżnia się Zygmunt Sobieszczański, brat mojej babci, który studiując rolnictwo na UJ (ukończył w 1903 r.) uległ niezwyklej młodopolskiej aurze ówczesnego Krakowa i później do końca życia był bibliofilem, kolekcjonerem malarstwa polskiego, wielbicielem teatru, mecenasem wielu instytucji kulturalnych w Lublinie. Ożenił się z początkującą aktorką, co nie wzbudziło zachwyty jego rodziców, ale małżeństwo okazało się nadzwyczaj udane, a ciocia-babcia Nusia była uroczą osobą. Oczywiście po zaręczynach rozstała się ze sceną na zawsze. A propos Zygmunta. Przed wielu laty jechałam pociągami z Lublina do Warszawy. W przedziale dwaj starsi panowie wspominali okres międzywojenny: „A pamiętasz, jak ktoś na zebraniu Związku Ziemiaków przeczytał nazwisko Zygmunta *Samoszczański* a on wstał i powiedział: „nazywam się *Sobieszczański*. Wolę być egoistą niż automatem”.

Rodzice mojej mamy to Julia, córka Ruperta Kwiryna Franciszka (Piorun)-Sobieszczańskiego herbu Rogala i Józefy z Janiszewskich herbu Ostoja, i Emil Redych, pochodzenia mieszczańskiego (podobno pochodził od jakiegoś rycerza z czasów potopu szwedzkiego, który zakochał się w Polce i tu został), syn Józefa Redycha, notariusza z Kielc



Halina i Erwin Sławikowscy. Koniec lat 30-tych XX wieku. Prawdopodobnie Lwów

i Heleny z Mieszkowskich. Emil Redych ukończył z odznaczeniem rolnictwo na Politechnice w Rydze, był członkiem tamtejszej polskiej korporacji akademickiej „Welecja”. Po studiach odbywał praktykę w majątku Podlodów k/Tomaszowa Lubelskiego, należącym do przyszłego teścia, który docenił jego prawość charakteru i umiejętności rolnicze, oddał mu córkę za żonę i pomógł założyć oddzielny majątek ziemski Rachanie Nowe Dwór we wsi Pawłówka.

Mama zdała maturę u Sióstr Nazaretanek we Lwowie, potem ukończyła Szkołę Gospodarstwa w Chyliczkach, a potem dwuletnie Kursy Ogrodnicze na Uniwersytecie Jagiellońskim. Przed wyjazdem do Krakowa zaręczyła się z młodym ziemianinem z lubelskiego, którego właściwie mało знаła („Panno Halino, czy zgadza się Pani zostać moją żoną?”), ale kandydat był pod każdym względem odpowiedni a teoria, że miłość przychodzi po ślubie była dosyć popularna. Mama wyjechała do Krakowa, na uniwersytecie



Zdjęcie ze zjazdu Wydziału Rolniczego UJ, który odbył się w 1935 r. W pierwszym rzędzie siedzi (trzeci z prawej strony w jaśniejszym płaszczu) Zygmunt Sobieszczański, na środkowym balkonie najwyższa „głowa” to Erwin Sławikowski

poznała Erwina Sławikowskiego i była to obustronna miłość od pierwszego wejrzenia. Mama zerwała zaręczyny i dosyć szybko przedstawiła rodzicom nowego kandydata na męża. Babcia Julia nie chciała się zgodzić na małżeństwo córki z kimś, według niej, nie pasującym do rodziny, a do tego bez żadnego majątku – ojciec w czasie studiów utrzymywał się z korepetycji. Dziadzio Emil polubił od razu mojego ojca. Ślub, bardzo skromny, odbył się we Lwowie 30.04.1932 r. Małżeństwo moich rodziców okazało się bardzo udane. Kiedy słyszałam od Mamy „Ojcu by się to nie podobało” wiedziałam, że dalsza dyskusja nie ma sensu. On był dla niej najważniejszy. W Werbkowicach, gdzie mieszkali moi rodzice, nie było liceum i właściwie od 1955 r. nie mieszkalam z nimi na co dzień. Dopiero w 1986 r. zamieszkaliśmy wszyscy razem w domu w Otrębusach k/Warszawy. Z prawdziwym wzruszeniem obserwowałam celebrowanie poobiedniego picia kawy, do której zawsze były upieczone przez Mamę pyszności, a także wspólne z sąsiadami brydże. Mama miała osteoporozę i do tego zawroty głowy, więc kilkakrotnie miała bardzo poważne połamania. Gdy wróciła z długotrwałego leżenia na wyciągu szpitalnym, ojciec cierpliwie „uczył” ją chodzenia, obracając w żart

problemy z utrzymaniem równowagi: „Widzisz Elżuniu, jak to Mama leci na mnie po tylu latach małżeństwa?” Ojciec wykonywał przy Mamie wszystkie zabiegi pielęgnacyjne, dopiero po jego śmierci w 1994 r. przejęłam ten obowiązek. Rodzice zawsze akceptowali swoje różne podejście do spraw religii. Tematu Ojca wiary, czy niewiary, się nie poruszało – wiadomo było, że nie chodzi do kościoła. Mama była praktykującą katoliczką.

- 2) Sytuacja niezamężnych kobiet nie była łatwa. Na ten temat Ciocia nic nie pisze. Wiem, że meble były dane na przechowanie do dworu Janota Bzowskich w Drogini i nie przetrwały wojny i nacjonalizacji. Portrety, z tego co wiem, przechowane były w którymś klasztorze, gdzie przeoryszą, była dalsza krewna Bzowska – przetrwały wojnę i są w rękach różnych członków rodziny. Czy to oddanie na przechowanie mebli i obrazów spowodowane było likwidacją dużego mieszkania, czy miało miejsce tuż przed spodziewaną wojną, tego nie wiem. Ojciec opowiadał, że Ciocia zarabiała trochę robiąc kapelusze, a nawet przez jakiś czas miała własny sklepik z kapeluszami, ale splajtowała z powodu zbytnej szczerości: „W tym kapeluszu źle Pani wygląda” i tym podobne.



W salonie dworu w Drogini (dwór ten jest teraz w Nadwiślańskim Parku Etnograficznym w Wygietzowie). Siedzą od lewej: Lilly Sławikowska, Emma Steer (Niemka, była guwernantka, pozostająca we dworze na prawach członka rodziny), Kazimierz Janota Bzowski, właściciel Drogini.

Lata 30-te XX wieku

- 3) Ciocia zapewne prowadziła ożywione życie towarzyskie, dużo grała w brydża, no i przede wszystkim, była aktywnym członkiem sekcji tenisowej klubu sportowego „Cracovia”. Brała udział w wielu turniejach, także zagranicznych. W 1936 r. zdobyła mistrzostwo Małopolski. Załączam zdjęcie z turnieju w Marienwerder w Niemczech



Marinenwerder w Niemczech (obecnie Kwidzyń) – po turnieju tenisowym.
Lilly Sławikowska w pierwszym rzędzie, trzecia z prawej strony

(obecnie Kwidzyn). Łopoczą flagi, na jednej widać swastykę. Ciocia opowiadała, jak serdeczna była atmosfera, jak gościnnie ich niemieccy tenisiści podejmowali, a wszędzie widoczne swastyki nikomu nie kojarzyły się wtedy z czymś złowrogim.

- 4) Żerosławice. Ten majątek Bzowskich był miejscem, które rodzina odwiedzała jeszcze z Banatu, potem z Wiednia, a najczęściej z Krakowa. Ciocia dosyć dokładnie opisała ten dwór i jego mieszkańców, ale uzupełnię jej opis cytataми z książki Edmunda Romera „Geograf trzech epok. Wspomnienia o ojcu”, Czytelnik, Warszawa 1985, str. 166: „Następne lato (1917 r.) spędzamy obaj z bratem w Żerosławicach. Był to niewielki majątek Bzowskich, spokrewnionych z Romerami. Położony w powiecie limanowskim, około 20 km na północny zachód od Tymbarku, gdzie znajdowała się najbliższa stacja kolejowa. Obok wsi oddzielonej stawem od skromnego parku, na wzniesieniu pod wspaniałą lipą, stał miniaturowy, ale stylowy, chyba przeszło 100-letni dworek. Był to tak zwany „stary dwór”, bo poniżej, już blisko stawu, znajdował się „nowy dwór”, o architekturze wyraźnie pod wpływem zakopiańskim. Dalej, za „starym dworem” rozciągały się zbudowania gospodarskie. Najbliżej stał spichlerz i mleczarnia ze szwedzką centryfugą i urządzeniem do wyrobu masła, a dalej stajnia, obora oraz bardzo obszerna stodoła z dobudówką na młockarnię oraz silnik na ropę. Do zabudowań gospodarskich przylegał obszerny, dorodny, ale już zaniedbany sad. Mleczarnia i sad żywo kojarzyły mi się z przedwojennymi jeszcze wspomnieniami. Oto co roku jesienią nadchodziły z Żerosławic do Lwowa paczki zawierające masło, sery i powidła, wytwarzane tam z własnych produktów. Dobrze pamiętam rozpakowywanie paczek i aprobatę Matki, jak smaczne i świeże są nadłane wyroby.

Żerosławice były podówczas jednym z niewielu gospodarstw rolnych – przynajmniej na terenie Galicji – gdzie podjęto wytwarzanie i handlową wysyłkę gotowych produktów żywnościowych.

Żerosławice dawały przytulne schronienie dla wdowy po zmarłym „diedzicu”, Kazimierzu Bzowskim, oraz dla wielu ciotek-rezydentek. Każda była inna i czymś szczególnym się wyróżniała. Najstarsza Hela to opiekunka licznych dworskich i nie dworskich kotów i psów, a także oswojonej kury. Ciotka Oraczewska, elegancka, dbająca o siebie, nieco oschła i kostyczna, pełniła funkcję kierowniczkę agencji pocztowej, zlokalizowanej w „nowym dworze”. Dla nas młodych mało dostępna, obca. Jej przeciwieństwem była Masia (Maria), już dobrze po pięćdziesiątce siostra Kazimierza, stara panna. Zawsze pogodna, gotowa do pomocy czy poradunku, muzykalna i muzykująca, przez nas wszystkich lubiana i oblegana. Szczególnie bliska memu bratu Witoldowi, dla którego godzinami wygrywała na fortepianie różne melodie i akompaniowała do śpiewu, a częściej do gwizdu, w czym był mistrzem.

W ciągu lata rezydowało w Żerosławicach sporo młodzieży – od 6-letniego Adasia Bzowskiego po już 17-letniego Witolda. Swoboda zupełna, a w pobliżu rzeka i stawy nadające się do kąpielii [...]”

str 192: „Gdy tylko Witold uporał się z najważniejszymi egzaminami, ruszyliśmy na wakacje do Żerosławic. Chętnie tam jechałem. Czas beztrosko mijał, piękny sad i maliniaki zaopatrywały w owoce, swoboda była zupełna, a od młodzieży aż się roilo. Pierwszą radosną czynnością było zrzucenie obuwia – jak za „dawnych” lat. Początkowo były kłopoty z chodzeniem po ściernisku, ale wnet podeszwy tak stwardniały, że wszędzie chodziło się swobodnie. Jedyny kłopot to wieczorne mycie nóg. Witold był w Żerosławicach podwójnie ważną osobą: jako żołnierz i uczestnik obrony Lwowa oraz jako student Politechniki. Ponadto przywiózł ze sobą aparat fotograficzny, ten sam Zeiss-Tessar o formacie 4,5 x 6 cm, który Ojciec miał na kongresie w Kanadzie. Skąd w tym czasie zdobył klisze i odczynniki – to jego tajemnica. Fotografował, wywoływał, kopiował. Szukał tematów, patrzył, cieszył się ze swoich zdjęć, pokazywał, pytał, co się komu podoba, sam krytykował. Tematy były różne – od brzoź na zakręcie szosy, poprzez orkę, chałupy wiejskie aż po nieśmiertelny temat – dziewczęta. Powtarzała się piękna Felisia Gużkowska i Zosia Bzowska, chyba w pewnej chwili ideał brata. [...]”

Informacja dla młodszego pokolenia: Witold i Edmund byli synami słynnego geografa i twórcy nowoczesnej kartografii polskiej Eugeniusza Romera.

Pacyfikacja Żerosławic w 1944 r. znana jest chyba historykom – wspomnienia o tych tragicznych wydarzeniach, napisane po latach przez Annę z Łaszczyńskich Bzowską, która była ich bezpośrednim świadkiem, uczestnikiem i ofiarą – załącznik nr 4.

- 5) Wuj Jenö zginął w Katyniu nim się urodziłam, ale na podstawie wspomnień rodziny, w tym mojej matki, wyobrażałam go sobie jako bon vivanta, sportowca, mężczyznę ceniącego urodę kobiet i podobającego się kobietom. Zaskoczyła mnie więc, znaleziona w internecie, jego wręcz patetyczna wypowiedź. W cytowanych fragmentach niewydanych wspomnień Mieczysława Welzandta, który w latach 1935-1936 był na szkoleniu w Szkole Podchorążych Rezerwy Artylerii we Włodzimierzu Wołyńskim, znajduje się informacja, że zapamiętał, jak wykładowca kapitan Eugeniusz Sławikowski (kozielska lista NKWD, poz 43, nr 035/4) na narzekania rekrutów odpowiadał: *Nie brzydziecie się, bo to jest święta ziemia wołyńska, której bronimy od wieków. Wystarczy wziąć ją w garść i mocno ścisnąć, a wypłynie krew polska za nią przelana.*”

Lwów

Nadszedł 1 września i Niemcy wkroczyli do Polski. Kilka samolotów ukazało się nad Włodzimierzem, ale nie bombardowały. Chciałyśmy pojechać z Teresą do Lwowa, ale żadne pociągi nie kursowały. Wreszcie 6 września, w nocy, był jeden pociąg, którym mogłyśmy z Teresą pojechać – Gizus już się bardzo denerwowała z powodu rozłąki z córką. Rankiem 7 września przybyłyśmy do Lwowa. Piękny dworzec kolejowy jeszcze nie był zniszczony. Niestety nie było żadnych taksówek, ani dorożek. Po długim oczekiwaniu wreszcie złapałyśmy taksówkę i dotarłyśmy na miejsce. Mieszkanie Gizus było, jak na tamte czasy, bardzo nowoczesne: etażowe centralne ogrzewanie, w łazience i kuchni ciepła i zimna woda, lodówka. Były trzy średniej wielkości pokoje i duży hol, w którym Gizus urządziła jadalnię. Był też pokój z osobnym wejściem dla służącej. Właścicielem domu był książę Eugeniusz Lubomirski, który oczywiście został po wejściu Rosjan uwięziony. Po około 5 latach – byłyśmy wtedy w Semipalatyńsku – przybyły kolejną dużą transporty z Czerwonego Krzyża dla zesłanych Polaków. Rzeczy te (ubrania, bielizna, buty) były wyładowane na dworcu i kolejno przez Polaków pilnowane. W czasie mojego pilnowania podszedł do mnie dość prymitywnie wyglądający mężczyzna i zaczął opowiadać, że jego matka była Polką, a on był w Kijowie strażnikiem więziennym. Wymienił kilka nazwisk, przede wszystkim arystokratów, a wśród nich Eugeniusza Lubomirskiego. Zapytałam, czy, skoro miał matkę Polkę, dobrze traktował uwięzionych Polaków. Opowiedział, że chleba sami mieli za mało, a jedyne, co mógł zrobić, to pozwalał zawsze więźniom ze sobą rozmawiać.

Miasto zapełniało się uciekinierami. Do Gizus przybywali oficerowie – koledzy Bronka, których zaopatrywała w ubrania i bieliznę. Przyjechała siostra Ireny, Janka Karpińska, razem z mężem i z wieloma bagażami. Karpiński był w Poznaniu urzędnikiem w Banku Narodowym. Zostali ewakuowani, ale

pozwolono im zabrać dużo rzeczy, a bank załatwił do dyspozycji urzędników kilka wagonów. Bronka brat, Józio, też przyjechał. Kucharka Gizus, Julka, też już nie wytrzymywała zwiększonych obowiązków, bała się o swego męża, który jeszcze nie wrócił z kampanii wrześniowej i była specjalnie niesympatyczna dla Janki, zazdroszcząc jej, że jest razem z mężem. Gizus nic na to nie mogła poradzić, tym bardziej, że wciąż jeszcze nie była zdrowa. Zaczęły się braki w zaopatrzeniu i trzeba było stać w kolejkach, ale to wszystko było jeszcze do wytrzymania. Część rodziny wychodziła, aby budować barykady przeciwko niemieckim czołgom. Pewnego dnia, o ile dobrze pamiętam 17 września, gdy byliśmy właśnie przy tej pracy, podszedł do nas żołnierz i wyjaśnił, że na rozkaz generała Langer (komendant Lwowa) mamy przerwać budowanie barykad, bo dzisiaj wieczorem miasto zostanie przekazane Rosjanom. Jeszcze daleko było do wieczora, gdy wjechały do miasta rosyjskie czołgi oraz piechota – to był przerażający widok – te azjatyckie twarze, te wyświechtane płaszcze. Jak inaczej wyglądali Niemcy jeńcy wojenni. Grupa żołnierzy i oficerów była prowadzona przez miasto do jakiegoś obozu. Piękni, młodzi chłopcy z butnie poniesionymi głowami. Czy któryś z nich przeżył tę wojnę? A więc generał Langer przekazał Lwów Rosjanom. Był to skutek złej informacji w wojsku – początkowo uznano, że Rosjanie wkraczają jako sprzymierzeńcy Polski w wojnie! O tym jak niespodziewana była agresja ze strony Rosjan może świadczyć fakt, że generał Anders ze swoją dywizją kawalerii stoczył w ciemności walkę myśląc, że walczy z Niemcami, a to był oddział rosyjski. Generał został ranny w tej potyczce i leżał w szpitalu we Lwowie. Ponieważ go znałam, odwiedziłam go razem z moją kuzynką Tonką Hulimka-Lamich. Był bardzo przygnębiony sytuacją wojenną. Ponieważ w domu słuchałam węgierskiego radia, prosił mnie o przekazywanie usłyszanych tam wiadomości. Odwiedziłam go jeszcze dwa razy i kiedy przyszedł po raz trzeci powiedziano mi, że generał został przewieziony do Przemyśla. Nie był to niestety Przemyśl, lecz straszliwe więzienie na Łubiance w Moskwie. Podobno odwiedził go w szpitalu rosyjski komendant Lwowa Iwanow (?) i próbował namówić do wstąpienia do rosyjskiej armii.

Od początku rządów rosyjskich we Lwowie wszystko przestało porządnie funkcjonować: tramwaje były przepełnione, często nie było światła, nie można było dostać opału, w kolejkach po artykuły spożywcze i inne stało się godzinami. Zaczęły się męki „komunistycznego raju”. Bogu dzięki Gizus wreszcie wyzdrowiała. Musiałyśmy poszukać pracy. Został otwarty zakład dziewiarstwa ręcznego, a ponieważ obie z Gizus potrafiłyśmy bardzo dobrze robić na drutach, przyjęto nas. Jak się okazało, były tam prawie same panie z towarzystwa. Zarobek był minimalny, ale otrzymywało się kartkę na chleb. Julka dalej prowadziła gospodarstwo domowe, a Janka, choć się obie nie lubiły, nawet jej pomagała. W zakładach dziewiarskich obie z Gizus czułyśmy się dobrze. Oczywiście od czasu do czasu musiałyśmy wysłuchiwać pogadanek propagandowych, że wszystko

do wszystkich należy i tym podobne. Kiedyś na takim wykładzie pewna młoda, miła Żydówka wstała i zapytała, jak można wszystko ludziom zabierać i że to się nazywa złodziejstwo. Na sali zrobiło się straszliwie cicho, wykładowca coś tam po swojemu wyjaśnił, ale tej dziewczyny już od następnego dnia nie widziałyśmy.

Wreszcie przyjechała do nas z Włodzimierza Wołyńskiego Irena z Arturem z niewielką ilością dobytku, który Rosjanie pozwolili jej zabrać. Chciała wziąć piękny obraz Tadeusza Rybkowskiego, wyjęła go nawet z szerokich ram, dała za to złoty zegarek i jeden pierścionek, a jednak oficer rosyjski nie zgodził się na zabranie obrazu. Biedna Irena z całego, pięknie urządzonego, czteropokojowego mieszkania mogła zabrać tylko tyle, ile mogli z Arturem udźwignąć – zabrała cenny dywan Buchara i srebra na 12 osób. Poszli nocować do znajomych i próbowali dostać się do pociągu do Lwowa. Udało się po kilku dniach. My, to znaczy Gizus i ja, byliśmy szczęśliwe, że Irena z Arturem są z nami. Irena była odważna, pilna, zawsze gotowa do pomocy i nie bała się żadnej pracy. Mieszkanie Gizus pękało w szwach. Oprócz wymienionych wcześniej uciekinierów były jeszcze dwie uciekinierki z Katowic – Marysia Bzowska [Fragment dziennika Marii (Janota) Bzowskiej, dotyczący pobytu we Lwowie – załącznik nr 5] i jej przyjaciółka Lidka Brzezińska, razem 10 osób, i służąca Julka. Do tego przychodzili znajomi oficerowie Bronka, którym Gizus dawała cywilne ubrania, bieliznę i buty. Po cywilnemu chcieli przedostać się przez granicę na Węgry. Czy im się to udało, nie wiem. Nie otrzymaliśmy żadnej wiadomości. Z Gizus chodziłyśmy dalej do zakładów dziewiarskich. Nie mogę sobie przypomnieć, co robili pozostali nasi współmieszkańcy – może stali w kolejkach, aby zdobyć jedzenie. Teresa i Artur poszli do szkoły. U naszych znajomych, państwa Jezierskich (pani Jezierska, z domu Kulczycka, była zaprzyjaźniona z Gizus) była bardzo miła Francuzka, nauczycielka ich dzieci. Zapytałam ją, czy nie mogłaby też dawać lekcji Teresie i Arturowi. Zgodziła się chętnie, bo był to dla niej dodatkowy zarobek. Tak więc przychodziła do nas dwa razy w tygodniu. Teresa uczyła się pilnie a Artur tylko patrzył na zegar ścienny, kiedy skończy się jego męka. I tak mijały dni.

Opiszę jeszcze rodzinę Jezierskich. Całej rodzinie, to jest pani i panu Jezierskim, ich trzem córkom, jednemu synowi oraz gosposi udało się wyjechać ze Lwowa do Warszawy, gdzie mieszkali rodzice pani Jezierskiej, państwo Kulczyccy. Pan Kulczycki był dyrektorem Pocztovej Kasy Oszczędności. Mieli mieszkanie w Warszawie i naprawdę dużą willę w Jabłonnice k/Warszawy, więc cała rodzina mogła wygodnie mieszkać. Byli wielkimi patriotami. Dwoje najstarszych dzieci wzięło udział w powstaniu warszawskim – 18-letni jedyny syn został przez Niemców rozstrzelany, a najstarsza córka wywieziona została do obozu dla kobiet w Ravensbrück. Obóz przeżyła i po wyzwoleniu wyjechała do Paryża, gdzie wyszła za mąż za Polaka, Rzewuskiego, i ma z nim kilkoro dzieci. Pani Jezierska, wkrótce potem jak dowiedziała się o rozstrzelaniu syna, zmarła

na serce. Pan Jezierski umarł w pracy (firma eksport-import) na udar mózgu. Dwie młodsze córki żyły w Warszawie.

Pewnego dnia otrzymaliśmy rozkaz opuszczenia mieszkania. Ale dokąd? Ktoś nam poradził, abyśmy poszli do prokuratora, który może cofnąć rozkaz. W księgarniach można było kupić broszury z konstytucją Stalina – były tam same uspokajające paragrafy. Przestudiowałam wszystko dokładnie i znalazłam dwa punkty, według których nie można nas było wyrzucić z mieszkania. Wyposażone w stalinowską konstytucję poszliśmy z Ireną do prokuratora. Pokój był ładny, z klubowym skórzanym kompletem. Za biurkiem siedział duży mężczyzna, niesympatycznie wyglądający. Przedstawiłyśmy naszą sprawę. Irena przysiadła na kanapie. Prokurator ryknął, że ma prosto stać przed nim. Wystąpiłam z konstytucją i pokazałam dwa ważne dla nas paragrafy. Znowu *towarysz* prokurator ryknął na nas, żebyśmy nie myślały, że jesteśmy takie mądre, ale jednak dał nam kartkę, na której napisał, że wolno nam zachować mieszkanie – prawdopodobnie wiedział, że wkrótce zaczną się deportacje. Wróciłyśmy z Ireną zadowolone do domu, nie przypuszczając, co mnie, Gizus i Teresę wkrótce czeka. Pewnego dnia pojawił się Erwin z Horodenki, gdzie miał posadę. W ręku miał małą teczkę. Opowiedział, że burmistrza i wszystkich wyższych urzędników zebrano i pod strażą prowadzono w nieznane. Grupa ukraińskich chłopów podeszła do niego, że mają do niego sprawę. On stanął z nimi, strażnicy albo nie widzieli albo nie chcieli widzieć i poszli dalej z grupą urzędników. Erwin przez chwilę zastanawiał się, czy nie dogonić grupy, bo był przekonany, że NKWD i tak go znajdzie. Postanowił jednak zaryzykować, ukrył się i na dachu wagonu przyjechał do Lwowa, do Gizus. U Gizus był wtedy kolega Bronka, major Pawłowski. Ubrany już w cywilne ubranie, które mu Gizus dostarczyła, zastanawiał się, co ma ze sobą zrobić, gdzie się udać. Postanowili obaj z Erwinem przedostać się przez zieloną granicę do Generalnej Guberni, w pobliże Tomaszowa Lubelskiego, do majątku teścia Erwina. Od razu wyruszyli. Ucieczka się udała i obaj przeżyli wojnę. Po powrocie z zysłki spotkałam Pawłowskiego z żoną w Krakowie. Erwin zaczął gospodarować w majątku, zastępując w tym teścia., który miał sparaliżowane nogi. Erwin, przed odejściem z mieszkania Gizus, poprosił mnie i Irenę, abyśmy pojechały do Horodenki i wzięły z jego mieszkania co ważniejsze rzeczy, oraz abyśmy sprzedały jego samochód. Pojechałyśmy znajdując z trudem stojące miejsce w autobusie. Właścicielka domu i jej mąż byli bardzo uprzejmi i pomocni. Co do samochodu dowiedziałyśmy się, że zabrał go jakiś oficer i jeździ nim po mieście. Poszłyśmy do dowództwa i przedstawiły sprawę. Dowódca powiedział, że zbada sprawę i że mamy się zgłosić następnego dnia. Przyszłyśmy i – o dziwo – wypłacono nam 400 rubli. Byłyśmy szczęśliwe. Wróciłyśmy do Lwowa z pieniędzmi i walizkami z rzeczami Erwina. Kiedy nas później zabierali na deportację, Gizus wzięła te 400 rubli.

Deportacja 1940-1946

Gdy wracaliśmy z Gizus z naszych zakładów dziewiarskich do domu, zawsze czułyśmy niepokój, bo wciąż słyszało się o rewizjach. Nasze obawy spełniły się 13 kwietnia 1940 r. Całą noc nie mogliśmy spać – naszą ulicą św. Zofii przejeżdżały ciężarówki. O 6 rano i przed naszym domem stanęła ciężarówka, z której wysiadło 6 żołnierzy z bronią z założonymi bagnetami.

Na liście była Gizus, ja i 8-letnia Teresa. Powiedziano nam, że mamy 1 godzinę na spakowanie się i że każdy może zabrać 100 kg bagażu. Jak zapytałam, kto to będzie niósł, usłyszałam, że każdy niesie swój bagaż sam. Wzięłyśmy tyle, ile mogłyśmy unieść. Na szczęście jeden z żołnierzy był życzliwy i poradził, abyśmy zabrały poduszki i kołdry – błogosławiłyśmy go później. Zabrałyśmy 3 kołdry (z czego 2 puchowe i 1 z wypełnieniem wełnianym) i 2 bardzo duże poduszki oraz rezerwowy komplet bielizny pościelowej. Wyjrzałam przez okno, aby zobaczyć, czy ktoś jeszcze siedzi w ciężarówce, i zobaczyłam naszą sąsiadkę z następnego domu, grubą dyrektorkę z hotelu George z córką pianistką, obie nienagannie ubrane z wielkimi srebrnymi lisami na ramionach. Obok każdej mały neseserek, jakby się wybierały w krótką podróż. Pani Kolhet [Kolcheb?] miała jeszcze duży kufer, który zobaczyłyśmy po wejściu do ciężarówki – były tam same konserwy. Nie miały jednak poduszek i kołder, tak więc już w ciężarówce oddałyśmy im jedną kołdrę. Córka pani Kolhet miała gruźlicę kości nogi i otwartą ranę, której w wagonie bydlęcym nie można było odpowiednio opatrywać. Po pewnym czasie z rany wydobywał się nieprzyjemny zapach. Godzina przeznaczona na pakowanie szybko minęła, żołnierze zaczęli nas ponaglać „*bystro, bystro*” [szybko, szybko (ros.)]. Pożegnaliśmy się z rodziną. Kochana Irena zarzuciła na mnie jeszcze swoje futro (Bogu dzięki!). Ciężarówka ruszyła w kierunku dworca. Czekwały bydlące wagony, niektóre już

zapełnione i zamknięte od zewnątrz. Z małych otworów okiennych wysuwały się na zmianę głowy, aby zobaczyć, czy może jeszcze ktoś z krewnych lub znajomych został dowieziony.

Byliśmy przydzielone do wagonu 22 – w środku siedziało już kilku ludzi. Mieliśmy wielkie szczęście, że w naszym wagonie umieszczono tylko 25 osób. Na początku było jeszcze jedno małżeństwo, ale albo ich wypuszczono albo przeniesiono do innego wagonu. Oczywiście było wiele bagażu. Przede wszystkim pani Marchut [Marchent ?] i rodzina Grosskopf [u Cioci przez "ß", czyli Großkopf] byli zaopatrzeni we wszelkie dobro: poduszki puchowe, jedzenie, srebra itd. Grosskopfowie byli w 6 osób: babcia i jej wnukowie bliźniacy 18-miesięczni Aluś i Noluś i 15-letni dobrze wyrośnięty, ładny i bardzo inteligentny Józek oraz jej dwie bardzo miłe synowe, Karolina i Ewa. Rodzina Nadalińskich składała się z 3 osób: matka, córka i 13-letni ruchliwy syn. Mąż pani Nadalińskiej był kapitanem i siedział w rosyjskim więzieniu. Kijanowscy byli w 3 osoby: matka, około 40-letnia ładna kobieta, i dwie córki około 10 i 12 lat. Mąż pani Kijanowskiej, dziennikarz, był za granicą. Pani Marchut była ze swoją około 14-letnią piękną córką; mąż był sędzią i oczywiście już w więzieniu we Lwowie. Pani Kublim [Kinblein? Kublien? Kublin? Kurblein?] była najstarsza, po babci Grosskopf, ze swoim około 22-letnim synem Wackiem, który służył w 14 Pułku Ułanów [Jazłowieckich] we Lwowie. Ojciec Kublin był sędzią i oczywiście już siedział w więzieniu. I jeszcze rodzina Góreckich: matka, około 35-letnia, i dwoje dzieci – żywy, sprytny chłopiec Józio, około 12-letni, i 10-letnia dziewczynka, spokojna i płaczliwa. Ich ojciec był policjantem. Pani Górecka miała ze sobą tylko jedną niedużą walizkę z ubraniami, ale na szczęście także poduszki i kołdry. Była wzruszająco troskliwą matką, a wykarmienie dwojga dzieci nie było łatwe. Jej jedynym majątkiem był 3-metrowy kupon materiału na garnitur i z tym kuponem chodziła potem od czasu do czasu do kołchozu, aby zamienić go na coś do jedzenia. Wracła zawsze z jedzeniem, ale też z materiałem. Żartowaliśmy, że kupuje jedzenie na płocie – kołchoźnicy suszyli na płotach mięso. Było już po amnestii, byliśmy w małym mieście Urdzar (60 km od granicy z Chinami) i pani Górecka dalej zdobywała pożywienie dla swoich dzieci. Okazało się, że naprawdę było tak, jak myśmśmy tylko w żartach podejrzewali. Pewnego razu Kazach zauważył, jak ona zdejmuje kawałek mięsa z ogrodzenia i tak ją kopnął w brzuch, że wywiązało się, zakończone śmiercią, zapalenie otrzewnej. Dzieci zabrane zostały do sierocińca dla polskich dzieci i, mam nadzieję, przedostały się później z armią Andersa do Persji.

Nikt nie uwierzyłby, że obie z Gizus odetchnęłyśmy, gdyśmy już usiadły w wagonie. Ostatni okres we Lwowie był tak wyczerpujący – ciągle rewizje i nie wiadomo było, czego ci uzbrojeni ludzie chcą. Kiedyś znaleźli stary turecki pistolet, zabytek muzealny, już nienadający się do strzelania. Cud, że nie rozstrzelali Gizus za posiadanie broni.

Po obu stronach wagonu były przymocowane deski. Pierwszy rząd na wysokości ok. 50 cm od podłogi, drugi na wysokości około 120 cm. W ciągu dnia przebywaliśmy wszyscy „na pierwszym piętrze”. Dzieci tłoczyły się przy małych okienkach, aby coś zobaczyć, a na stacjach nauczyły się pytać po rosyjsku „*товарищ какaja это станция*” [towarzyszu, jaka to stacja (ros.)]. Nazwy niewiele nam mówiły – ale był to jakiś kontakt ze „światem”. Najbardziej denerwowała się pani Nadalińska i ciągle pytała, jeśli ktoś był na stacji, dokąd nas wiozą. Nikt nie wiedział. Biedna Gizus dostała gorączki. Leżaliśmy obok siebie. Czułam jej rozpalone ciało. Blisko nas leżały pani Kolhet i jej córka, której noga ropiała i wydzielala nieprzyjemny zapach. Gizus w gorączce mówiła do mnie po węgiersku, że strasznie śmierdzi. Na szczęście byliśmy wszyscy raczej zgodni – stłoczeni przez 18 dni w bydlęcym wagonie nigdy nie pokłóciliśmy się. Codziennie otrzymywaliśmy gorącą zupę. Ktoś otwierał drzwi i wołał, żeby dwoje ludzi wyszło po zupę. Nie pamiętam już, kto miał ze sobą wiadra i naczynia kuchenne – ważne, że były. Zwykle wyskakiwali po zupę Józek Grosskopf i Nadaliński. Oprócz zupy każdy otrzymywał duży kawałek razowego chleba i spory kawałek naprawdę smacznej kielbasy. Jeśli pociąg miał dłuższy postój na stacji, wolno było również dwóm osobom wyjść po *kipjatok*, to znaczy wrzącą wodę – w Rosji na dworcach są specjalne krany z gorącą wodą do herbaty. Jechaliśmy przez Ukrainę. Koło Kijowa widzieliśmy ludzi stojących w kolejkach do sklepów spożywczych, zaniedbane domy, na łąkach od czasu do czasu brudne, oblepione wyschniętym łajnem krowy. Po jakimś czasie wjechaliśmy w zupełnie inaczej wyglądającą okolicę – porządne, pomalowane na biało domy, koło nich drzewa owocowe. Były to okolice Saratowa. Potem minęliśmy Orenburg, miasto graniczne między Europą a Azją. Miałam dziwne uczucie, wjeżdżając na azjatycką ziemię. Następnie jechaliśmy na południe starą linią kolejową transaralską. W pewnym momencie zauważyliśmy, że ziemia jest biała, to znaczy pustynia była biała od naniesionej z Jeziora Aralskiego soli. (Na skutek nieprzemyślnych inwestycji to słone, bezodpływowe jezioro zaczęło wysychać.) Potem nie było już soli, ale dalej jechaliśmy przez pustynię. Wiał straszny wiatr i przez szczeliny nawiał do wagonu kilkucentymetrową warstwę piasku i pyłu. Nie było łatwo oczyścić wszystko z tej warstwy. Jak tylko wjechaliśmy do Azji powiadomiono nas, że już nie będziemy dostawać kielbasy za darmo, ale kto ma pieniądze, może ją kupić. Na szczęście miałyśmy ze sobą 400 rubli za samochód Erwina.

W każdym wagonie był mały żelazny okrągły piecyk, obok którego było trochę drewna i węgla, tak że można było sobie coś odgrzać. Na niektórych stacjach stały chłopki i sprzedawały jajka i biały chleb – produkty i pieniądze podawało się przez małe okienka. Nigdy nie było wiadomo, jak długo pociąg będzie stał na dworcu. Mogło to być pół godziny albo też cały dzień. Podczas naszej 18-dniowej podróży mogliśmy tylko dwa razy wysiąść i pospacerować

koło wagonu. Pozwolono nam na to dopiero w Azji. Na początku drżały nam nogi – trzeba było je dopiero rozruszać. W czasie całej podróży męką było załatwianie potrzeb fizjologicznych. W podłodze wagonu była dziura, w którą wetknięty był trójkątny lejek z drewna wysokości około 60 cm. Ktoś z rodziny trzymał płaszcz albo prześcieradło, aby reszta nie musiała patrzeć na próbującą się wypróżnić osobę. Mieliśmy z tym wszyscy problemy, bo byliśmy pozbawieni ruchu.

W czasie tej podróży w jakimś wagonie urodziło się dziecko, w jakimś ktoś umarł, w jakimś ktoś chciał popełnić samobójstwo. Szczególnego rodzaju rozrywkę mieli pasażerowie sąsiedniego wagonu. Dostępną, prymitywną, ale zaradną żoną policjanta pani Mazurczak, którą deportowano z szóstką dzieci (najstarsze miało 12 lat), wzięła ze sobą kilka kur i koguta rasy Leghorn. Kogut o świcie piał, a całe stadko chodziło po wagonie – bo musiało mieć ruch. To stado było potem znane w sowchozie, bo te duże białe kury (i szczególnie duże jajka) różniły się od drobiu miejscowego. Jeśli teraz na Syberii są kury Leghorny, to dzięki pani Mazurczak. Pociąg jechał dalej na południe, czego dowodem był coraz częstszy widok wielbłądów. Cieszyło nas to, bo baliśmy się zimnej północy. Tak dojechaliśmy do miejscowości Aris [obecnie Arys], gdzie zmienił się kierunek jazdy na wschodnio-północny. Wjechaliśmy w pobliże obszaru górskiego Pamir, gdzie przecież są szczyty prawie 8000 m. Jechaliśmy przez Tien Szan i Tar Bugataj – góry, które wymieniał Marco Polo w opisie podróży do Chin w XIII w. Ciekawe, że te góry już wtedy tak się nazywały. Nazwa oznacza podobno góry orłów czy birkutów. Krajobrazy przepiękne. Jechaliśmy przez Ałma Ate, stolicę Kazachstanu. Miasto jest malowniczo położone – otoczone wysokimi górami. Trochę przypomina położenie Innsbrucka. W górach, powyżej Ałma Aty, jest jezioro i w zimie na jego zamrożonej tafli trenują łyżwiarze radzieccy różnych dyscyplin, bijący potem rekordy świata. W Ałma Acie pociąg stał kilka godzin i pozwolono nam wysiąść z wagonów. Powiedziano, że możemy nawet pójść do miasta, ale każdy bał się odejść dalej od wagonu ze strachu, że pociąg nagle odjedzie razem z naszymi rzeczami. Wydaje mi się, że nie mieliśmy odwagi być dłużej niż pół godziny poza wagonem. Zaraz wracaliśmy na nasze stałe miejsca „na I. piętrze”. Pociąg ruszył. Jechaliśmy na północ. Po wielu godzinach dojechaliśmy do Ajaguz – była to ostatnia stacja naszej podróży pociągiem. Czekala na nas wielka liczba samochodów ciężarowych. Po obu stronach ciężarówki były przymocowane deski do siedzenia, a w środku było miejsce na bagaż. Bagaże zajmowały wiele miejsca. Było tak ciasno, że nie można było poruszyć nogami. Jeszcze do dzisiaj pamiętam, jak mnie nogi bolały. Do tego wszystkiego wiał straszny wiatr i po raz pierwszy w życiu widziałam trąbę powietrzną. Na szczęście ten pionowy wir piasku ominął nas, ale i tak było trudno oddychać. Tak jechaliśmy całą noc.

Wreszcie stanęliśmy, prawdopodobnie przed jakąś szkołą, i w dużej sali każdy mógł sobie zająć kawałek podłogi. Nasz „wagon” trzymał się dalej razem

i znowu położyliśmy się jeden obok drugiego. Państwowa zupa i chleb były w czasie podróży, teraz musieliśmy sobie radzić sami. W środku był piec, na którym można było sobie coś ugotować. Kto był silniejszy, przepychał się do pieca pierwszy, delikatniejsze osoby musiały czekać. Przyszły chłopki i przyniosły na sprzedaż ugotowane na twardo jajka, mleko, kiszzone ogórki i doskonały biały chleb. A więc kto miał pieniądze, nie głodował. Spanie na gołej podłodze bez materaca nie było przyjemnością, ale już w pociągu przywykliśmy do niewygód. Teraz zaczęły się kłótnie między ludźmi, przede wszystkim o dostęp do pieca, także o miejsce do spania w pobliżu pieca. Najbardziej niesympatyczni byli dwaj bracia, ponad 20-letni synowie policjanta, którzy pod poduszką mieli pistolet, jak twierdzili, naładowany. Wszyscy się ich trochę bali. Kłócili się też między sobą i ze swoją matką. W naszym „wagonie” dalej nie było żadnych kłótni. Podziwu godne, że w czasie rozładunku z wagonów, a potem z ciężarówek, nie zginęła nikomu ani sztuka bagażu. Często myślę o tym, jak sprawnie NKWD przeprowadziła taką deportację. Podczas podróży widzieliśmy na stacjach transporty jeńców w wagonach bydłowych. Mimo że okienka były zakratowane, do pilnowania używane były też psy.

Spędziliśmy 2 lub 3 dni w dużej sali a potem podstawiono wozy ciągnięte przez woły. Na te wozy załadowano bagaże, a my szliśmy za wozami kilka kilometrów. Na szczęście woły idą powoli. „Wagon 22” ciągle był razem – ku naszej radości. Znowu stanęliśmy przed jakąś szkołą. Znowu nas wypakowano – woły musiały odpocząć i zjeść. Następnego dnia znowu ta sama procedura i przybyliśmy do centrali sowchozu Tas Bulak. Znowu umieszczono nas w jakiejś dużej sali, przyszli chłopci, aby nas oglądać. Teresa i ja miałyśmy ogromne szczęście – podeszła do nas jakaś miła chłopka i powiedziała, że chce zrobić Teresie kąpiel i mnie też da ciepłą wodę, abym się umyła, i że da nam coś do zjedzenia. Poszłyśmy za nią. Jak nam powiedziała, jej przodkiem był polski zesłaniec po powstaniu 1863 r., ale obecnie nikt w rodzinie nie mówi po polsku. Jej mąż był księgowym w sowchozie. Podczas naszego 18-miesięcznego pobytu w Gornem, naszej późniejszej „rezydencji”, Simona była dla nas bardzo życzliwa i pomocna, nawet jeśli sama miała tylko 2-3 pomidory, chleb i jajka. Bóg nam dał tę łaskę, że mogłyśmy się później, chociaż trochę, zrewanżować jej mężowi. Gdybyśmy go nie spotkały przypadkowo około 1,5 roku później na dworcu w Ajaguz, być może nie dotarłby żywy do domu. Otóż przydzielono go do tak zwanej *trudowej armii*, gdzie kierowano słabych fizycznie mężczyzn, którzy nie nadawali się do wojska albo takich, którym nie ufano politycznie. Wtedy na dworcu zobaczyliśmy dosłownie cień mężczyzny, który ledwie powłóczył nogami. Kogoś nam przypominał. Podeszłyśmy do niego i zapytały, czy jest mężem Simony z Achtoprak. Potwierdził i powiedział, że wyrzucono go z *trudowej armii*, bo już się nie nadawał do pracy, a teraz jest bez pieniędzy i bez jedzenia. Dałyśmy mu pieniądze na jedzenie i na autobus do domu. Opowiadał

nam (a tylko ten, kto zna Rosję i głód, będzie wiedział, że to nie zmyślenia), że pracował przy koniach roboczych, którym dawano paszę mieszaną z grochem. Ludziom nie dawano prawie nic do jedzenia, a jako że konie źle trawią groch, więc ludzie zbierali końskie odchody, wypłukiwali z nich niestrawiony groch i gotowali.

Wracam do sowchozu Tas Bulak. Przenocowaliśmy w sali i znowu rano podstawiono wozy ciągnięte przez woły. Załadowaliśmy nasze rzeczy i wolno za wozami poszliśmy do miejsca naszego przeznaczenia: Gorne. Przechodziliśmy przez Achtoprak, gdzie mieszkała nasza dobra Simona. Kazach, nasz furman, był bardzo życzliwie do nas usposobiony. Wymachiwał ściśniętą pięścią i zło-rzeczył Rosjanom, że nas tu wywieźli. Po drodze mijaliśmy zarośla z dzikich róż. Kazach poobcinał je i położył na naszych rzeczach mówiąc, że przydadzą nam się jako opał. I jak bardzo się przydały! W Gornem nie było czym palić, a gałęzie bardzo dobrze się paliły. Stał tam całkiem miły drewniany dom – były to dwie stodoły, z każdej wchodziło się do czterech pokoi. W dwu pokojach mieszkali pasterze owiec ze swoimi rodzinami. W każdym pokoju było palenisko, na którym stał kocioł z zupą. Pokoje Kazachów były trochę większe – około 15 m², a nasze około 12 m². W jednym pokoju zamieszkała 6-osobowa rodzina Grosskopfów, a w drugim Gizus, Teresa, ja, pani Nadalińska z dwójką dzieci i pani Górecka z dwójką dzieci. W drugiej połowie domu mieszkały też w dwu pokojach dwie rodziny Kazachów, w następnym pokoju pani Kublim z synem, pani Kijanowska z dwiema córkami i pani Marchut z córką – a więc tylko 7 osób, w ostatnim pokoju rodzina Kassal [w innych miejscach pisane przez jedno “s”] – dzielna babcia, córka i troje dzieci – dwóch chłopców i jedna dziewczynka. Panią Kolhet i jej chorą córkę pozostawiono w centrali w Tas Bulak. Rozłożyliśmy na podłodze gałęzie dzikich róż, na to koce i płaszcze i to nam zastępowało materace. Oczywiście gałęzi ubywało, bo nimi paliliśmy. Kazachowie już nie mieszkali w domu – kiedy jest ciepło mieszkają w jurtach i wędrują ze swoimi stadami tam, gdzie jest świeża trawa. Kładziono też, koło pastwisk, w kawałkach sól kamienną, a owce ją lizały. O ile sobie dobrze przypominam, owce otrzymywały także owies. Ponieważ w sklepie nie można było kupić soli, podkraδαłyśmy od czasu do czasu kawałek zwierzętom i kruszyłyśmy między kamieniami. Uchowaj Boże, jeśli by Kazach złapał kogoś na gorącym uczynku – groziło to więzieniem. Po spaleniu gałęzi spałyśmy na podłodze, ale potem znalazłyśmy stare urwane drzwi do szopy, ustawiłyśmy je na jakichś znalezionych ceglach, pod spodem trzymałyśmy nasze bagaże – od razu miałyśmy więcej miejsca – i tak stworzyłyśmy całkiem przytulny kącik. Gizus udało się zamienić coś z naszej garderoby na kilka młodych kur. Gizus, która kiedyś tak wielu rzeczy się brzydziła, codziennie, przed wypuszczeniem kur na dwór, sprawdzała, która kura ma znieść tego dnia jajko. Taką kurę zostawiało się w pomieszczeniu, a wypuszczało dopiero po zniesieniu jajka. Sprawdzanie

polegało na wkładaniu wskazującego palca na parę centymetrów do odbytu kury.

W lecie wysyłani byliśmy od czasu do czasu do robót polowych, około 8 km od naszej siedziby. Można sobie wyobrazić jak ta robota wyglądała, kiedy wszyscy byli ledwie żywi po takim marszu. Kiedyś, już w jesieni, musieliśmy wykopywać buraki i kłaść je w wyznaczonym miejscu na polu. Każdy z nas wziął sobie po 2-3 buraki. Kiedy to nadzorujący zobaczył, zrobił się wielki skandal, grożono nam więzieniem i musieliśmy oddać co do jednego buraka. W nocy przyszedł wielki mróz i wszystkie buraki na polu się zmarnowały.

Wracający z pola przedstawiali smutny widok – zmęczeni, głodni, dziwnie ubrani. Żałowałam, że nie mam aparatu fotograficznego i nie mogę uwiecznić zwłaszcza chłopców, którzy mieli na nogach buty matek czy babek, czasem na wysokich obcasach, powykrzywiane, w strzępach. Za 9 dni takiej roboty dosta- wało się zapłatę, za którą można było kupić 3 jajka.

Najczęściej nie było dla nas roboty. Kiedyś Kazachowie wzięli nas do strzy- żenia owiec. Owce się wrywały, nam się ręce trzęsły, nożyce były wielkie i cięż- kie i w końcu zraniliśmy niechcący jedną owcę. Ze złością wyrzucono nas z tej roboty. Lepiej nam szło przy kąpaniu owiec. Był długi, wąski rów napęczniony ciepłą wodą ze środkami dezynfekcyjnymi i owce, jedna za drugą, musiały przejść przez ten rów. Wodę grzało się w wielkim kotle, do którego nosiliśmy ją wiadrami z pobliskiego stawu. W końcu byliśmy tak zmęczeni, że wiadra wypadały nam z rąk. Musiało to być gdzieś w połowie września, bo szczyty Tar Bugataj były już częściowo pokryte śniegiem. Na szczęście miałyśmy jeszcze ze Lwowa pieniądze, ubrania do ewentualnej wymiany i trochę czekolady. Nie traciłyśmy też nadziei na zmianę naszego losu.

Nadeszła zima. Komin od naszego pieca zatykał się, a wtedy w izbie było pełno dymu. W izbie pojawiły się duże myszy, czy może jakiś gatunek małych szczurów. Czasami w nocy przebiegały nam nawet po twarzy. Likwidowaliśmy je w sposób okrutny – ale innego nie było. Na kuchni stawiało się kociołek z gotującą wo- dą, opierało się kij z umieszczonym na końcu kawałkiem słoniny w taki sposób, że jak mysz wdrapała się po jedzenie, kij się przechylał i mysz wpadała do wrząt- ku. W nocy, w izbie, temperatura była często poniżej 0° C, bo woda zamarzała.

Wykonywaliśmy jeszcze inną obrzydliwą pracę – musieliśmy robić *kizaki*. Nogami ugniatało się nawóz koński i krowi i tą masą napęłniało się specjalne formy. Potem wytrząsało się kształtki z formy i pozostawiało do wyschnięcia. Tymi „cegiełkami” palono w piecach w pomieszczeniach biurowych i pewnie w pokoju naczelnika. Mimo wstrętu cieszyliśmy się z tej pracy, bo dawała pra- wo do kupienia chleba (to było różnie: 30-50 dkg). Najczęściej jednak nie było pracy dla nas.

Bogu dzięki otrzymywałyśmy czasem paczki ze Lwowa. Nie było tego dużo, bo niewiele udało się uratować z rzeczy Gizus oraz nie miałyśmy już znajomych

we Lwowie. Na szczęście jeszcze przed wywózką umieściliśmy u przyjaciół Erwina pp. Beischerów 4 piękne, wartościowe dywany perskie, które Beischerowie sprzedali i wysłali nam 7 paczek. Oczywiście dywany sprzedali za ile mogli sprzedać, a nie według ich prawdziwej wartości, ale te paczki nas ratowały. Zawsze w paczkach było coś, co nadawało się do „handlu wymiennego” w kołchozie. Kiedyś przyszedł większy transport paczek. Myśmy dostały dwie, rodzina Grosskopfów dwadzieścia dwie, a pani Górecka ani jednej – a miała dwoje dzieci do wykarmienia. Grosskopfowie byli bardzo szlachetni i podzielili się, inne rodziny też coś dały.

Otrzymałam kiedyś najcenniejszą paczkę mojego życia. Była to około 5-cio kilogramowa paczka w szarym lnianym worku – sam worek, to już był skarb. Paczkę wysłały z Wilna siostry salezjanki – które same tam pewnie przymierały głodem. W paczce było około 20 dkg słoniny, około 20 dkg cukierków i suszone kawałeczki czarnego chleba – moczyłyśmy je potem w naszej porannej namiastce kawy. W paczce była też książka! „Charles de Foucauld” René Bazina. Ta książka stała się moją ulubioną. Brałam ją nawet do pracy i czytałam w czasie przerwy. Autor, René Bazin, zapewne nigdy nie przypuszczał, że ta książka będzie dla kogoś na dalekiej Syberii nie tylko pociechą, ale i radością życia. W Gornem niewiele osób znało na tyle dobrze język francuski, by móc czytać tę książkę. Później w Semipałatyńsku [obecnie Semej] poznałyśmy bardzo interesujące małżeństwo rosyjskie. On był profesorem uniwersytetu w Petersburgu, a ona lekarką. Na moje pytanie, za co zostali zesłani do Semipałatyńska, odpowiedzieli, że powodem była ich religijność. Mieszkali w wilgotnej piwnicy. Każde spotkanie z nimi było prawdziwą przyjemnością – tak byli inteligentni i wykształceni. Gdy mogłyśmy wreszcie wrócić do Polski, podarowałam im na pamiątkę „Charles’a de Foucauld”. Książka trafiła w godne ręce.

Zima zbliżała się wielkimi krokami, co nas napawało lękiem. Pewnego razu wpadła nam w ręce gazeta. Był w niej panegiryk na cześć Stalina, który pomaga wszystkim ludziom, którzy się do niego zwrócą. Ośmieliło to nas i postanowiliśmy wysłać do Stalina telegram z zapłaconą odpowiedzią. Zebraliśmy odpowiednią sumę rubli i wysłaliśmy telegram adresując „Józef Stalin, Moskwa, Kreml”. W treści prosiliśmy o przeniesienie nas do miasta, bo nie mamy z czego żyć na wsi, a jeśli to niemożliwe, prosimy o rozstrzelanie nas. Mijały dni i tygodnie. Jakoś częściej pojawiali się NKWD-ziści a my zaczęliśmy się bać, że raczej spełnią naszą drugą prośbę. W końcu łatwiej rozstrzelać około 20 osób, niż je ewakuować. Mimo naszych nieludzkich warunków bytowania, wtedy dopiero uświadomiliśmy sobie, że jednak lepiej w Gornem żyć, niż być tu pochowanym. Nagle przyszła odpowiedź na nasz telegram: *Na Kremlu biura niet* [Na Kremlu nie ma biur (ros.)] a my cieszyliśmy się, że już nie musimy bać się rozstrzelania. Życie toczyło się dalej, czasem myśmy chodzili do kołchozu,

a czasem przyjeżdżał wóz ciągnięty przez woła i przywoził trochę produktów spożywczych do wymiany na coś z naszych ubrań.

Zima była straszna. Do spania nie rozbieraliśmy się, przeciwnie, co tylko dało się na siebie włożyć, wkładaliśmy. Głowy owijaliśmy w kilka chustek. Rano rozpalaliśmy w naszym piecyku i na nim gotowaliśmy kawę zbożową, w niej maczaliśmy suchy chleb i tak rozpoczynaliśmy dzień. Czasami chodziliśmy do centrali, aby sprawdzić, czy nie nadeszła jakaś poczta. Prawdziwą męką było wychodzenie „na dużą sprawę”. Brało się ze sobą kij i szukało za domem strony zawietrznej – temperatury były między -20 a - 40°C. Gdy się już wreszcie znalazło miejsce i kucnęło, pojawiały się nie wiadomo skąd głodne psy i natychmiast zjadały nasze kupy. Odganiało się je kijem ze strachu, że nie będą czekać i ugryzą w pupę. Dodać trzeba, że przeważnie cierpieliśmy na obstrukcję, a tylko jedna z pań miała czasem biegunkę. Niestety zabrano z Gornego rodzinę Kasal. Babcia Kasal dalej pracowała w chlewni – i od czasu do czasu przynosiła nam trochę zsiadłego mleka, przeznaczonego dla świń. Pewnego razu przyniosła dla każdej z rodzin kawałek słoniny ze zdechłej świni. Chociaż nie wiadomo było, na jaką chorobę świnia padła, jedliśmy z apetytem tę słoninę i nikomu nie zaszkodziła. Czasami zastanawiam się, czy dobra babcia Kasal nie przyczyniła się jakoś do śmierci tej świni, aby swojej rodzinie i nam wszystkim pomóc przetrwać zimę. Trudno sobie wprost wyobrazić w jak niegodnych warunkach zakwaterowano tę rodzinę. Był to malutki i niziutki domek, składający się z jednej izby około 12 m², gdzie mieszkał już jakiś Rosjanin z żoną i cielę (krowa trzymana była poza tym domkiem) i tam musiała się zmieścić 5-osobowa rodzina Kasal. Pewnego ranka nie przyszedł do chlewni nikt z rodziny Kasalów ani też rosyjskie małżeństwo. W nocy prawie całkiem zasypało śniegiem ich domek i trzeba było ich odkopywać. Na szczęście komin nie był przysypany, więc się nie podusili. Jak już wspomniałam, obok nas mieszkała rodzina Grosskopfów: babcia, jej dwie synowe, bardzo inteligentny i z poczuciem humoru 15-16-letni wnuczek Józek oraz dwuletni bliźniacy Noluś i Aluś. Babcia zajmowała się zawsze śniadaniem dla wnuków. Zaprzyjaźniła się z Kazachami, którzy wcześniej rano rozpalali swoje palenisko i zostawiali zawsze trochę miejsca na płycie. Pewnego dnia usłyszałam z izby Kazachów wesołe głosy i śmiechy. Weszłam tam i okazało się, że to babcia Grosskopf tak ich rozbawiła, pokazując sztuczną szczękę. Kazachowie nie widzieli jeszcze czegoś takiego i każdy przymierzał szczękę, czy miał zęby, czy nie miał. Na szczęście robili to delikatnie i nie złamali jej – ale śmiechu było, co nie miara. Pani Grosskopf włożyła szczękę do buzi – nikt z nas się w Gornem już nie przejmował higieną!

Zima była uciążliwa: żadnej pracy, prawie nic do jedzenia, dni krótkie. Czasami, jak pogoda pozwalała, chodziliśmy na pocztę i do centrali odwiedzić znajomych. Mieszkała tam rodzina Fischerów z 15-letnią córką, która

pierwsza z nas wszystkich znalazła się w więzieniu. W rozmowie z jakąś Rosjanką powiedziała, że w Polsce psy żyją lepiej, niż tu ludzie. Rosjanka oskarżyła ją o antykomunistyczną propagandę i Marylę Fischer aresztowano. O ile się nie mylę, została skazana na 10 lat. Została objęta amnestią, ale z więzienia wyszła dopiero po wyjściu armii Andersa z Rosji. Wstąpiła do tworzącej się armii generała Berlinga i dotarła do Polski. Po wojnie spotkałam ją w Warszawie – była żoną wysokiego rangą wojskowego, którego poznała w armii Berlinga. Jak na warunki polskie, żyła w dobrobycie. Moja siostrzenica Teresa przyjaźniła się z nią dalej. Maryla miała dwoje dzieci, które pokończyły studia i mają dobre posady.

Ludzie zaczęli się kłócić z byle powodu i czasem robili rzeczy nie do wyobrażenia w innych warunkach. W drugiej części domu mieszkała żona sędziego, pani Marchut, ze swoją śliczną 13-letnią córką Krysią, żona i dwie córki lwowskiego dziennikarza Kijanowskiego, żona sędziego Kublima ze Lwowa ze swoim 22 letnim synem (chyba miał na imię Wacek). Wacek był już po służbie wojskowej w Łanach Jazłowieckich. Biedny Wacek otoczony tyloma samotnymi, nudzącymi się i sfrustrowanymi kobietami! Podobno panie Marchut i Kijanowska, obie około 40-letnie i dobrze wyglądające, kokietowały Wacka. Pewnego razu przysła do naszej izby wzburzona pani Kublim i powiedziała, że pani Marchut chyba zwariowała, bo weszła do nich naga, stanęła w wyzywającej pozie, z rękami opartymi na biodrach przed Wackiem i zapytała: „Panie Wacku, kto jest lepiej zbudowany? Ja, czy pani Kijanowska?” Co było dalej, nie wiem. Muszę tu dodać, że pani Kublim była bardzo pobożna. Pani Marchut była w ogóle kłótniwa i szukała okazji do zwady. Ale mam żywo w pamięci taką scenę, gdzie akurat pani Góreckiej „puściły” nerwy. Dostaliśmy wiadomość, że w następnej farmie, oddalonej o około 3 km, jest dla nas chleb (o ile się nie mylę po 30 dkg na osobę) i że jedna osoba ma pojechać po ten chleb. Stał tam osiołek, na którym jeździli Kazachowie. Zarówno Krysia Marchut jak i Józio Górecki mieli ochotę na tę przejażdżkę. Obie matki zobaczyły, że ich dzieci kłócą się o osiołka. Stałam w pewnym oddaleniu, ale zobaczyłam, że obie ruszyły na pomoc swoim dzieciom. Nagle pani Górecka wymierzyła pani Marchut policzek i pchnęła ją tak, że ta upadła na ziemię. Potem z tryumfującą miną wracała do izby, a zobaczywszy mnie zapytała, czy widziałam, jak się rozprawiła z panią Marchut. W izbach też zdarzały się drobne nieporozumienia, ale jakoś ich nie zapamiętałam.

Pewnego dnia przybyła z Moskwy inspekcja. Zwrócili nam uwagę, że ściany izby są brudne, ale nie powiedzieli skąd mamy wziąć wapno na wybielenie ich. Potem zapytali, czy mamy jakieś życzenia. Odpowiedzieliśmy wszyscy, że głodujemy. Na to padła odpowiedź „Jak w lecie będziecie pracować, to będziecie mieli co jeść”. A było to w środku zimy, chyba w lutym. Kiedyś udało nam się kupić worek kartofli. Postawiliśmy go w stodole. W nocy przyszedł wielki mróz

i kartofle zmarzły na kamień. Byłyśmy zrozpaczone, ale dowiedziałyśmy się, że jeśli nie dopuścimy do ich rozmrożenia, możemy je stopniowo zużyć, wrzucając takie zamrożone do gotującej się wody. Rzeczywiście były zupełnie dobre.

Bogu dzięki zima już się wreszcie skończyła. Pewnego dnia wcześniej rano obudził mnie Kazach i powiedział, że będę z nim razem przenosić zboże z magazynu do młyna. Wzięłam ze sobą kilka papierosów i poszliśmy do pracy. Nappełnił worek zbożem (około 50 kg) i chciał, abym go na plecach niosła. Odsypałam połowę i powiedziałam, że tylko tyle mogę nosić. On na to, że worki mają być pełne. Powiedziałam, że ja będę nappełniać worki, a on je będzie nosił. Zgodził się, jak dostał ode mnie papierosy. Pracowaliśmy zgodnie, ale ponieważ mój partner nie był zbyt gorliwy i nie spieszył się, więc przeniósł tylko 8 worków. Około 7 godz. wieczorem mogłam pójść do domu. Byłam straszliwie głodna. Przez cały dzień zjadłam tylko 1 jajko na twardo i wypilałam trochę zsiadłego mleka. Gdy zaczęłam się wspinać na górę, nadeszła straszna burza – w pobliżu nie było żadnej żywej istoty. Grzmiało, błyskało się, normalnie bałabym się, ale byłam tak głodna, że myślałam tylko o tym, czy czeka na mnie ugotowany kartofel. Padał silny deszcz, a moje buty ślizgały się na zmoczonej glinie. Zdjęłam więc buty i tak w górach Tar Bugataj miałam moją „premierę” chodzenia boso – glina jest tak miękka, że nie miałam żadnej rany na nogach. Potem przeważnie chodziłam boso. Gizus z Teresą i inni polscy mieszkańcy z niepokojem czekali na mnie pod domem, a ja z daleka krzyczałam: „Gizus, ugotowałaś kartofle?” Głód sprawił, że podczas tej drogi nie myślałam o burzy, o możliwości natknięcia się na dziczającego psa, o zaatakowaniu przez wilka – co też się mogło zdarzyć. Co ciekawe, burze były tam niezmiernie rzadko i akurat wtedy się trafiła, gdy byłam w drodze.

W Gornem życie toczyło się monotonnie i najczęściej nie było dla nas pracy. Owcami zajmowali się kazachscy pasterze. Kazachowie mieszkali w izbach obok nas. Zjadali rano śniadanie, a potem drugi posiłek – zupę. Jeśli mieli mięso, była to zupa z mięsem. Biedne polskie dzieci stawały wtedy w drzwiach i z zazdrością patrzyły na jedzących Kazachów. Kiedy Kazachowie mieli więcej zupy albo mleka, każde z dzieci otrzymywało porcję, kiedy sami mieli mało, przeganiali dzieci z izby. Biedni pasterze byli naprawdę dobrymi ludźmi. Byli mahometanami, a o ile się nie mylę, ich religia nakazuje nakarmić głodujących. Wiele polskich dzieci nie przeżyłoby deportacji, gdyby nie dobroć Kazachów.

Na wiosnę postanowiłam założyć ogród warzywny, aby zabezpieczyć się na następną zimę. Ziemi było dosyć. W Gornem był mały staw i koło niego przygotowałam kawałek ziemi około 50 x 50 m. Ziemia była pełna kamieni – usuwałyśmy je razem z Teresą. Nie miałam pojęcia o ogrodnictwie, ale posiałam groch, fasolę, melony i arbuzy i zasadziłam kartofle. Codziennie rano i wieczorem podlewałam moje poletko i patrząc jak wszystko wschodzi, rośnie, zakwita

i zawiązuje owoce, czułam się szczęśliwa. Pewnego razu przyjechał z sąsiedniego kołchozu Kazach wozem z zaprzęgniętymi do niego wołami, które zostawił na jakiś czas bez nadzoru. W ciągu pół godziny prawie zupełnie zniszczyły moją wielomiesięczną pracę.

Pewnego dnia wydarzyło się coś ważnego. Przyszedł Kazach z gazetą i przeczytał nam straszną wiadomość – Niemcy rozpoczęły wojnę z Rosją – i dodał, że starzy Kazachowie widzieli takie znaki na niebie, jak przed I wojną światową. Już chciałam zatańczyć z radości, ale Gizus powstrzymała mnie w porę (taki wybuch radości mógł się skończyć więzieniem, gdyby Kazach o tym doniósł). Czuliśmy, że ta wojna może nas wyzwolić z Gornego i tak też było. Polska należała teraz do sprzymierzeńców Rosji. Kilka dni potem podano nam do wiadomości, że będziemy uwolnieni. Miał przyjechać delegat z Moskwy, Polak. Nie pojawił się jednak. Dostarczono nam do dyspozycji wozy – za mało dla nas wszystkich i naszego dobytku i kazano raz, dwa się pakować. Umówiliśmy się, że pierwszym transportem pojedą 4 osoby z rodziny Grosskopfów i część ich bagażu oraz Gizus z Teresą, z częścią naszego bagażu. W Gornem została z resztą bagażu, pani Karolina Grosskopf ze swoim synem Józiem i ja z większą częścią naszego bagażu. Ale ponieważ w Rosji tylko deportacja idzie sprawnie a wszystko inne źle funkcjonuje – nie przyjechał po nas drugi transport. Pani Karolina uprosiła jednego Kazacha, aby o 3 godz. rano zawiózł nas do Urdżaru. Pani Karolina miała jeszcze zapasy herbaty, a ja miałam trochę pieniędzy, więc dobiliśmy targu. Kazach pojawił się punktualnie, załadowaliśmy rzeczy na wóz i szliśmy za tym wozem na piechotę – aż do Uradżaru. Odległość 8 km – tyle, co nic, jak na warunki syberyjskie. A jednak nie obyło się bez przygód. Naładowany wóz na nierównej drodze przechylił się i upadł. Jak już postawiliśmy go i ponownie załadowali, okazało się, że wypadła jakaś ważna metalowa rurka, bez której woły nie mogą ciągnąć wozu. Kazach powiedział, że jak jej nie znajdziemy, to on zostawi nas z wozem na tym pustkowiu, a sam wróci do domu z wołami. Było jeszcze prawie całkiem ciemno, gołymi rękoma szukaliśmy na ziemi, ale nasze szukanie nic nie dało. Dodatkowa zapłata spowodowała, że Kazach zaczął też szukać, rurka jakoś dziwnie szybko się znalazła i ruszyliśmy dalej. Na szczęście woły nie idą zbyt szybko i marsz za naszymi „skarbami” nie był zbyt męczący. Nie wiedzieliśmy, gdzie członkowie naszych rodzin znaleźli lokum, ale woźnica pocieszył nas, że się dowie i tak też było. Jeszcze było ciemnawo, jak zobaczyliśmy pierwsze zabudowania Urdżaru. Najpierw znaleźliśmy pokój Grosskopfów. Ci byli we wszystko (artykuły spożywcze i ubrania) dobrze zaopatrzeni, bo w ciągu ostatniego roku otrzymali 22 paczki, a na przykład pani Górecka żadnej. Grosskopfowie mieli bardzo dobre serce i dzielili się z tymi, co nic nie otrzymywali. Nie mogli przecież wszystkiego rozdać i pani Górecka, aby wyżywić dwoje dzieci (Józia i Mycie), czasami kradła Kazachom z ogrodu suszące się mięso. O pani Góreckiej, jej kuponie

materiału i o jej tragicznej śmierci pisałam już wcześniej. Biedna, biedna pani Górecka.

Po amnestii otrzymaliśmy z Anglii od Bronka 9 paczek. Także nasza dobra Bubus wysłała nam, za pośrednictwem jakiejś znajomej pracującej w Persji, 2 paczki – głównie z herbatą. Potem, po wielu latach, gdy Bubuś miała problemy finansowe, mogłam ją wspomóc, bo otrzymałam pewną sumę zapisaną przez moją przyjaciółkę Pokorny. Tak to jeden pomagał drugiemu. W Urdżarze dostaliśmy kwatere w kuchni, w której panował idealny porządek. Wbrew całkowicie nieuzasadnionym opiniom zauważyłam, że Rosjanki są bardzo czyste. Inaczej było u Kazachów. Tam całą podłogę pokrywała warstwa wypływanych łupin z ziaren słonecznika (*siemiaszki*). Ziarna te, bardzo pożywne, stanowiły również nasze podstawowe wyżywienie. Następnego dnia wyruszyłam na poszukiwanie mieszkania, chociaż Gizus była bardzo dumna z miejsca w czyściutkiej kuchni. Ja jednak próbowałam znaleźć coś innego. U pewnej dobroduszej *babuszki* [babcia, starsza kobieta (ros.)] wynajęłam pustą oborę, właściwie ziemiankę – w ścianach można było wiercić dziurę palcem. *Babuszka* znalazła dla nas jakieś stare łóżko żelazne, jakąś ławę i stół i byłyśmy urządzone. Kiedyś Gizus powiedziała do mnie: „Jaki pan Bóg jest dla nas łaskawy”. Ja na to: „Co to za łaskawość, że mieszkamy w wilgotnej oborze?”. Na co Gizus: „Ale jesteśmy same”. Tylko ktoś, kto mieszkał w strasznej ciasnocie z zupełnie obcymi ludźmi, zrozumie, dlaczego Gizus była tak wdzięczna Bogu. Mieszkanie w naszej oborze było niezdrowe i akurat ja, najbardziej odporna, zachorowałam na rodzaj skorbutu – w jamie ustnej miałam pełno ropy i dostałam wysokiej gorączki. Lekarz radził mi jeść masło, ale nie wiedziałyśmy, gdzie można je dostać. Bardzo źle się czułam, a tu nagle przychodzi milicjant z jakąś kartką z NKWD, że mam się zameldować w biurze NKWD, dzisiaj o godzinie 6 wieczorem. Prosiłam o przesunięcie na następny dzień, bo mam wysoką gorączkę, ale okazało się to niemożliwe. Było to 17 listopada – pamiętam dokładnie, bo był to dzień urodzin Teresy. Było już mroźnie i leżało dużo śniegu. Zastanawialiśmy się długo, co takiego zrobiłam albo powiedziałam, że chcą mnie aresztować. Nic nam nie przychodziło do głowy, ale w tym kraju trafiało się za kratki także bez powodu. Miałymy mały plecak i zapakowałyśmy to, co najważniejsze: kawałek chleba, 2 ugotowane jajka, zapasową bieliznę. W rękę miałam kij, bo z osłabienia kręciło mi się w głowie i musiałam się podpierać. Towarzyszyła mi Gizus, która nagle wpadła na absurdalny, zdawałoby się, pomysł, że może oni chcą mnie zatrudnić. Dotarłyśmy do parterowego, dużego budynku NKWD. Przedtem był to zapewne dom jakiegoś *beja*. Ku naszemu zaskoczeniu strażnicy byli bardzo uprzejmi. Zaprowadzono mnie do dużego pokoju. Musiałam strasznie wyglądać – w sięgającym ziemi futrze Ireny, która była dużo wyższa ode mnie, na głowie związane dwie duże chustki, w rękę laska ze zwykłego kija. Przy stole siedziało 4 czy 5 mężczyzn, niektórzy w cywilu, niektórzy

w mundurach. Patrzyli na mnie raczej ze zdziwieniem, niż groźnie. Powiedziałam, że jestem bardzo chora i zaczęłam zdejmować te chusty i futro. Jeden z mężczyzn zadawał pytania. Interesowało go przede wszystkim, ile znam języków. Odpowiedziałam, że pięć (choć żadnego perfekcyjnie). Wciąż i wciąż zadawali te same pytania. Na koniec powiedzieli, że chcą nam pomóc i zatrudnią mnie na froncie. Ja powiedziałam, że mogę wszędzie pojechać, ale tylko z moją siostrą i siostrzenicą. Nie wiem, czy rzeczywiście chcieli mnie zatrudnić jako tłumaczkę na froncie, czy cel wezwania był inny. Przypomniało mi się, co kiedyś powiedziała stara Niemka nadwołżańska: „Rosjanie muszą kłamać”. Cała rozmowa trwała około godziny, a biedna Gizus czekała na mnie w przedpokoju pełna obaw. Szczęśliwie wróciłyśmy do domu, gdzie pod opieką dobrej *babuszki* czekała na nas Teresa.

Całą zimę przemieszczałyśmy w oborze. Co jakiś czas dochodziły słuchy, że rząd i ambasady przeniosą się do Kujbyszewa [obecnie Samara], bo Niemcy zbliżają się do Moskwy. Nagle otrzymałyśmy radosną wiadomość, że mamy wysłać do Kujbyszewa nasze fotografie i że dostaniemy paszporty z wizami perską i angielską. Radość była niesamowita. Po pewnym czasie otrzymujemy telegram, że mamy udać się do Semipałatyńska, gdzie paszporty będą dostarczone przez kuriera polskiej delegacji. Ale jak dojechać z Urdżaru do stacji kolejowej w Ajaguz? Wreszcie dotarliśmy do jakiegoś kierowcy ciężarówki, który za określoną sumę pieniędzy i za koszulę męską zgodził się dowieźć nas do Ajaguz. Kosztowało nas trochę zachodu i kilkakrotnych transakcji wymiennych, nim zdobyłyśmy koszulę męską i ruszyłyśmy w około 180 km podróż do stacji kolejowej.

Muszę jeszcze opowiedzieć epizod z Urdżaru. Wśród deportowanych ze Lwowa rodzin była pewna bardzo elegancko wyglądająca rodzina – pani pułkownikowa (nazwiska nie pamiętam) z trzema córkami. Dwie starsze córki bardzo dobrze wyglądały, najmłodsza była trochę nienormalna. Pułkownikowa pochodziła z arystokratycznej rodziny rosyjskiej, jej mąż miał polskie korzenie. Mieszkali przed I wojną światową w Rosji. Uciekli w czasie rewolucji do Lwowa. Pułkownik był nawet jakiś czas dowódcą 14 Pułku Ułanów. Rodzina została deportowana prawie bez żadnych rzeczy i była w sytuacji beznadziejnej, gdy nagle pani pułkownikowa spotkała na ulicy w Urdżarze ochmistrzynię ze swojego majątku na Ukrainie, która zabrała na zesłanie sporo rzeczy. Była pracodawczyni i ochmistrzyni zamieszkały razem. Potem jedna córka, dzięki świetnej znajomości języka rosyjskiego (pani pułkownikowa była Rosjanką), dostała posadę w banku. Kiedy Polacy w 1946 r. wyjeżdżali do kraju im, jako Rosjanom, nie pozwolono wyjechać. Może udało im się przesiedlić do Saratowa, skąd uciekli w 1917 czy 1918 r. i gdzie, jak opowiadały, zakopały przed ucieczką dużo srebra.

Jechaliśmy szeroką, dobrze utrzymaną drogą – była to droga do granicy chińskiej. Po kilku godzinach dojechaliśmy do Ajaguz. Na szczęście już tam

mieszkali Grosskopfowie, którzy, mimo ciasnoty, serdecznie nas przyjęli i mogliśmy w spokoju polować na bilety kolejowe. Grosskopfów spotkała wielka radość – wypuszczono z więzienia dwu braci Grosskopf. Młodszy (ojciec bliźniaków) dostał się do armii gen. Andersa. Starszy (ojciec Józia) przyjechał do rodziny do Ajaguz. Pan Grosskopf stwierdził, że oni w więzieniu mieli lepiej niż my na zesłaniu, bo w więzieniu otrzymywali regularnie swoją zupę, a my nigdy nie byliśmy pewni, czy będziemy mieli co jeść. Potem okazało się, że pan Grosskopf nie cieszył się długo wolnością. Uwięziono go za to, że jako obywatel rosyjski miał polski paszport. Umarł w więzieniu. Lwowscy Żydzi, którzy deklarowali się jako Polacy, otrzymywali za to wyrok 15 lat więzienia. Tak było też z dwoma prominentnymi Żydami: dr Reichem, już starszym panem i dr Lederem. Dr Reich umarł w więzieniu – jego syn służył w armii angielskiej. Dr Leder odsiedział 15 lat i pozwolono mu wyjechać do Polski. Niestety był już w połowie sparaliżowany. Jego stara znajoma opiekowała się nim do śmierci. Często myślę o rodzinie Gosskopfów. Babcia była trochę egoistyczną, starą Żydówką, ale jej dwie synowe i wnuk Józek byli bardzo inteligentni i gotowi do pomocy. Rodzina ta osiedliła się potem w Izraelu. Z Józkim koresponduje do tej pory Teresa. Co robią teraz bliźniacy, nie wiem. Trzeci z synów babci Grosskopf był przed wojną docentem na wiedeńskim uniwersytecie, musiał jednak w czasach Hitlera opuścić Wiedeń, wyjechał do Izraela i tam popełnił samobójstwo.

Wreszcie otrzymałyśmy trzy bilety do Semipałatyńska, dokąd kurier miał przywieźć nasze paszporty. Miał to być wyjazd na kilka dni, ale z kilku dni zrobiły się 4 lata. Dzięki polskiej ambasadzie i pomocy Bronka nie byliśmy bez środków. Znalazłyśmy małą kwaterę i czekałyśmy na polskiego kuriera, który miał przywieźć nasze paszporty. Kurier przybył, ale miał rozkaz wydania paszportów dopiero następnego dnia. Następny dzień był tragiczny. W nocy zaaresztowano całą polską delegację – z kurierem i naszymi paszportami oczywiście. Nikt z tej delegacji nie wyszedł żywy z więzienia. Gdzie ich zamordowano, nie wiadomo. Teraz, po 50 latach, znaleziono ich dokumenty w Moskwie. Znałam żony delegatów i spotykałam się z nimi po powrocie do Polski, w Warszawie i w Krakowie. Najbardziej lubiłam Irenę Kucińską. Irena wyszła za mąż za swojego szwagra, jej syn Janusz zamieszkał w Krakowie i zajmował się kolarstwem.

Po raz drugi miałyśmy otrzymać paszporty, ale znowu je zarekwirowano, podając jako powód prawdziwie rosyjskie kłamstwo, że na moim paszporcie jest zdjęcie mojej siostry (paszportu oczywiście nie pokazano). Tym razem kłamało nie NKWD [Narodnyj Komitet Wnutriennych Dieł (ros.) – Komitet Narodowy Spraw Wewnętrznych] tylko NKID [Narodnyj Komitet Inostrannyh Dieł (ros.) – Komitet Narodowy Spraw Zagranicznych]. Straciłyśmy nadzieję na rychłe wyzwolenie i zaczęłyśmy organizować swoją egzystencję w Semipałatyńsku. Gizus przepięknie

robiła na drutach i próbowała w ten sposób zarabiać. Znała mnóstwo różnych ściegów i zawsze perfekcyjnie wykonywała to, co było zamówione. Ja też wykonywałam zamówienia dla „fabryki” dziewiarskiej.

Miałyśmy jeszcze zaszytą w gorsiecie złotą dwudziestodolarówkę, którą krótko przed deportacją podarowała nam Ludka Sarnicka. Spieniężyłyśmy ją i kupiły najpotrzebniejsze rzeczy, między innymi zwykły perkal, z którego uszyłyśmy sobie sukienki. Życie w Semipałatyńsku było monotonne, ale o wiele lepsze niż w Gornem, przede wszystkim spotykałyśmy się z wieloma Polakami.

Mam dwa miłe wspomnienia z Semipałatyńska. Pierwsze, to poznanie niezwykłego księdza Fedorowicza, z którym nieraz śmialiśmy się i żartowali mimo tragicznej sytuacji. Ksiądz Fedorowicz opisał naszą znajomość w swojej książce „Drogi opatrznosci” [Ks. Tadeusz Fedorowicz „Drogi Opatrzności”, wydawnictwo Norbertinum, Lublin 1991] Drugim miłym wspomnieniem była moja nauka w szkole kierowców.

Otworzono szkołę dla kierowców ciężarówek. Była dosyć droga, ale sprzedałyśmy jakieś nasze rzeczy i opłaciłam kurs. Z warsztatów dziewiarskich zwolniono mnie bez żalu, bo moje wyroby nie zawsze były udane. Na kursie kierowców czułam się doskonale. Z przyjemnością czyściłam wszystkie części, rozkładałam i składałam, wiele czasu spędzałam pod ciężarówką. Wracałam do domu z brudną twarzą, rękami i ubraniem, ale szczęśliwa. Jedyne dokument, jaki mi pozostał z Semipałatyńska, to świadectwo ukończenia kursu kierowców.

Opowiem jeszcze dwie historie z Semipałatyńska. Pierwsza, to jak pracowałam jeden dzień w browarze, druga, to jak nawet na Syberii można się z niczego dorobić. Jest to historia rudej Feli. Najpierw o browarze. Wszystkie trzy byłyśmy naprawdę głodne. Nagle dowiedziałyśmy się, że potrzebują robotników w browarze i że otrzymuje się tam nawet obiad składający się z dwu dań – zupy i kaszy. W swojej fantazji już dzieliłam posiłek. Zupę zjem na miejscu, a kaszę wezmę dla Gizus i Teresy. Wzięłam ze sobą odpowiednie naczynia i stawiałam się u dyrektora. Przyjął mnie bardzo uprzejmie. Pamiętam do dzisiaj jego nazwisko, bo nazywał się Kirpicz (po polsku „cegła”). Popatrzył na mnie uważnie i powiedział, że to jest bardzo ciężka praca i że jej nie podołam. Poprosiłam, by pozwolił mi spróbować, bo nie mamy jedzenia. Dyrektor miał rację – praca była bardzo ciężka. Najpierw pchałam wagoniki – nie wiem, z czym – tam i z powrotem. Potem z jednego pojemnika trzeba było przełożyć do drugiego kielkujący jęczmień. Był poprzerastany i trudno się go nabierało. Potem musiałam wchodzić na wysoki komin (najwyższy punkt Semipałatyńska) i poruszać dzwignią. Od dziecka mam lęk wysokości i kręci mi się w głowie, ale dla zupy i kaszy wspinałam się po stalowych szczeblach. Wreszcie doczekałam się przerwy obiadowej. Gong zabrzmiał i wszyscy poszli do jadalni. Od razu ustawiała się długa kolejka robotników na zasadzie, że kto miał silniejsze

pięści, ten przepychał się do przodu. Wkrótce przerwa się skończyła i część osób, w tym ja, nie dostaliśmy jedzenia. Wróciliśmy głodni do pracy. Gdy wracałam po pracy do domu musiałam strasznie wyglądać, bo spotykani znajomi mnie nie poznawali. Biedna Gizus i Teresa, które tak czekały na kaszę!

Druga historia wydaje się nieprawdopodobna, ale jest prawdziwa. Wśród wielu deportowanych Żydów była „ruda Fela Fas”. Zdaje się, że w ostatniej minucie uciekła od Niemców, tak że nie miała nic do wymiany. Była inteligentna i komunikatywna i miała skarb w ustach – złote korony na zębach. Wymieniła je na stalowe, a ze złotem poszła do tak zwanej *złotoskupki* [skup złota (ros)]. Kierownikiem *złotoskupki* był, jak przeważnie w tym zawodzie, Żyd. Fela poznała go i najwyraźniej dobrze się rozumieli. Jeśli zwykły obywatel sprzedawał złoto, za połowę wartości dostawał artykuły spożywcze, a za połowę musiał brać nic nie warte artykuły przemysłowe, przeważnie ordynarny perkal albo pończochy na metry – była to rura z dzianiny, którą się obcinało na pożądanej długości a odcinki z jednej strony zszywało. Zdaje się, że kierownik i Fela nie byli zbyt uczciwi w tym handlu, bo Fela szybko się dorobiła i do Europy wracała wioząc kamienie szlachetne.

Nagle nadeszła wielka zmiana – generał Sikorski upomniął się u Stalina o polskich oficerów trzymanyh w sowieckich obozach. Kiedy wyszła na jaw sprawa zamordowania ich w Katyniu, Rosjanie twierdzili, że zrobili to Niemcy i rozprzestrzeniaли to kłamstwo, prowadząc też antypolską propagandę. Skutki tej propagandy odczuwaliśmy nawet my, biedni wygnańcy. Można było dostać kamieniem w głowę (co mnie spotkało 2 razy), gdy się na ulicy rozmawiało po polsku. Katyń stał się niewygodny dla aliantów i starano się sprawę wyciszyć. Dla mnie proces norymberski nie ma żadnej wartości. Podobno, gdy Göring podczas procesu wymienił Katyń, jeden z prokurentów radzieckich strzelił w jego kierunku, raniąc jakiegoś dziennikarza. Niemcy musieli na ten temat milczeć. Tylko pani Stahl, komunista, którą bardzo cenię, powiedziała do mnie (był to akt odwagi i zaufania do mnie) „Katyń myśmy zrobili. Prowadzimy najprostszą politykę. Wszystko, co stoi na naszej drodze usuwamy”. Pani Stahl była na emigracji ze swoim mężem, bogatym właścicielem winnicy. Jak umarł jej jedyny syn, zostawiła męża i wróciła do Rosji. Na początku fetowano ją, jako zagorzałą komunistkę. Uczyła języków obcych Woroszyłowa i innych dygnitarzy. Potem została aresztowana na 1 rok (ponieważ mieszkała kiedyś za granicą) a potem zesłana na 3 lata do Semipałatyńska, gdzie ją poznałam i gdzie się z nią zaprzyjaźniłam. Gdy ją zapytałam, dlaczego została zaaresztowana, powiedziała, że widocznie powiedziała coś niewłaściwego przeciwko swojej ojczyźnie. Pani Stahl musiała uczyć w szkole średniej języka niemieckiego, który znała słabo, a nie mogła uczyć angielskiego i francuskiego, które znała biegle. Bardzo żałowała, jak Polacy wyjeżdżali. Lubiała z nami rozmawiać.

Może bała się rozmawiać ze swoimi rodakami? Co się z nią potem stało, nie wiem. Nie chciałam narażać jej na kłopoty, z powodu zagranicznej korespondencji, więc nie pisałam do niej.

Byłyśmy przeszczęśliwe, gdy powiedziano nam, że będziemy mogły pojechać do Polski najbliższym transportem. W Rosji nie można być niczego pewnym i należy liczyć się z niespodziankami. Okazało się, że z listy skreślono wszystkie niezamężne i bezdzietne kobiety, czyli między innymi mnie. Miałyśmy wszystko wspólne, a poza tym Gizus nie była tak odporna jak ja i nie chciała się ze mną rozłączać. Zaczęłyśmy się zastanawiać nad przekupieniem urzędniczki. Przejrzałyśmy wszystkie nasze skarby i znalazłyśmy butelkę wody kołońskiej. Następna trudność, jak i przez kogo dać tę łapówkę prawdziwej, komunistycznej urzędniczce. W końcu znalazłyśmy odpowiednią osobę i moje nazwisko znalazło się obok nazwiska Gizus i Teresy. Wyznaczonego dnia spakowane stawiliśmy się na dworcu, gdzie czekałyśmy 2 dni na nasz pociąg. Wreszcie przybył z Teheranu. Przyjechał w nim pułk Kozaków. Ucieszyłyśmy się, że mamy mieć miejsce w wagonie, w którym jechały konie. W Kazachstanie roilo się od wszy – ubraniowych i takich, co żyją we włosach – różne gatunki duże, małe itd. Słyszałyśmy, że wszy nie znoszą zapachu koni, więc miałyśmy nadzieję, że wagon będzie bez insektów. I tak było rzeczywiście. Na wszelki wypadek ciągle przeglądaliśmy bieliznę i włosy. Zanim mogłyśmy wsiąść do wagonu, musiałyśmy, razem z innymi wyjeżdżającymi, uprzątnąć wagon po koniach. W naszym wagonie była bardzo miła, kulturalna rodzina żydowska Hausmann [Hansmann?]. Mieli kiedyś drukarnię w Łodzi. Był z nimi ich znajomy, około 30-letni adwokat, który natychmiast zajął najlepsze miejsce w wagonie. W końcu ruszyliśmy. Tempo było powolne – do polsko-rosyjskiej granicy jechaliśmy prawie 5 tygodni. Wagony nie były zamykane. Na postojach szukałam pociągów z węgierskimi jeńcami wojennymi, aby dać im coś do jedzenia i trochę pieniędzy. Niemieccy jeńcy twierdzili, że Węgrzy już wyjechali do kraju, tak więc to, co przeznaczyłam dla Węgrów, otrzymali jeńcy niemieccy. Gdybym wtedy wiedziała, co robili w Polsce w czasie wojny i okupacji, nic by nie dostali. To, co czytaliśmy w radzieckich gazetach, braliśmy za propagandę i rosyjskie kłamstwa. Nie mogę pojąć, jak Niemcy, tak wysoko stojący naród, mogli popełniać takie zbrodnie.

Znowu męczyło wszystkich zatwardzenie. Bezruch, brak owoców, suchary, jajka na twardo. Gdy pociąg stawał – a zazwyczaj nie było wiadomo, czy to na godzinę, czy na parę dni – wszyscy wyskakiwali, chowali się za wagon i próbowali szczęścia.

W sąsiednim wagonie jechała przepiękna żona generała (nie jestem pewna nazwiska, ale chyba Cieszyński), który był w armii polskiej w Kanadzie. Generałową deportowano razem z wówczas 12-letnim pasierbem, który dostał się później do armii Andersa. W tym samym wagonie jechała rodzina żydowska

z około 22-24-letnim synem. Młody Żyd strasznie adorował panią generałową i oboje dużo ze sobą rozmawiali. Jego ojciec ze strachem i troską na to patrzył. Panią Cieszyńską spotkałam potem w Warszawie. Chciała wyjechać do swojego męża do Kanady, ale władze komunistyczne nie dały jej paszportu.

Wreszcie dotarliśmy do miejscowości Równe. Jak zwykle wyskoczyliśmy z wagonu, ale tym razem uklękliśmy i pocałowali polską ziemię [Równe przed wojną należało do Polski]. Tylko Teresa zaczęła strasznie płakać. Przypomniła sobie wujcia Jenö, a już przecież słyszałyśmy o zamordowaniu polskich oficerów w Katyniu. On był jedną z ofiar. Na granicy staliśmy parę dni. Wyprałyśmy naszą garderobę. Była bardzo zniszczona, ale chciałyśmy być chociaż czyste, przybываяc do Polski. Na dworcu w Równem pracowali jeńcy niemieccy. Wyglądali wyjątkowo dobrze, zwłaszcza w porównaniu z tymi, których widzieliśmy w transportach z Syberii. Zapytałam jednego z nich, w jaki sposób tutaj sobie radzą. Odpowiedział „Nauczyliśmy się”. Zapytałam zdumiona: „Czego nauczyliście się?” Odpowiedział: „Kraść” Potem wyjaśnił mi dokładniej, że pracowali przy rozładunku towarów, często np. worków z cukrem. Czasem worki były naderwane i oni napełniali cukrem kieszenie. Potem ten cukier wymieniali z okolicznymi chłopami na inne produkty. Odniosłam wrażenie, że ci prości niemieccy żołnierze byli dobrze traktowani przez Rosjan. Wreszcie dojechaliliśmy do granicy polsko-rosyjskiej. Było to, zdaje się 22 maja 1946 r. Tu odbyło się przedstawianie rozstawu kół, bo w Rosji rozstaw torów jest szerszy niż w reszcie Europy. Przeżyliśmy niemiłą niespodziankę. Myśleliśmy, że polscy kolejarze będą radośnie witać wracających a tymczasem, jako że w naszym transporcie większość stanowili Żydzi, wyczuwaliśmy wyraźnie nastroje antysemickie i złe spojrzenia. Trzeba też przyznać, że Żydzi lepiej sobie na zsyłce radzili i wracali porządnie ubrani i dobrze wyglądający. Może różnica w wyglądzie nas Polaków i Żydów tak nastrajała kolejarzy antysemicko. Dla przykładu, Gizus była przed deportacją trochę za gruba – 64 kg przy wzroście 1.60 m., wracając do Polski ważyła 38 kg. Ja ważyłam przedtem 55 kg, przy wzroście 1,60 m, po powrocie 40 kg. Wydaje mi się też, że nasz wzrost się zmniejszył.

Zachował się jeden list z Semipałatyńska – załącznik nr 6, oraz kartka (a może tylko tyle dotarło do moich rodziców?) [zob. str.103]

Jak, i kiedy, informacje o deportacjach i zbrodni w Katyniu docierały do żołnierzy polskich w Wielkiej Brytanii przeczytać można w codziennych zapiskach Karola Sławikowskiego, brata Cioci (we wspomnieniach nazywany jest po węgiersku Karcsi) – załącznik nr 7.

ПОЧТОВАЯ КАРТОЧКА
CARTE POSTALE

Куда
Наименование местности, где находится почта, или власти или кооперативная станция, наименование железной дороги.
Томашов Бульвар
ул. Вокзальная 26

Кому
Halina
Hawikowska

Район, село или деревня.
Улицы, № дома или квартиры.
Томашов Бульвар
ул. Вокзальная № 26

Почтовый адрес.
Почтовый адрес.
Halina
Hawikowska

ОТПРАВЛЯЙТЕ СВОЮ КОРРЕСПОНДЕНЦИЮ С УВЕДОМЛЕНИЕМ О ВРУЧЕНИИ

Адрес
отправителя
Adresse
de l'expéditeur
Semipalatinsk
ул. Демгартска 2

Адрес
получателя
Adresse
du destinataire
Семипалатинск
ул. Демгартска 2
Славикова Лилия

26.VIII. 1945

Kordame moje - kilka krotkie pisalam do Was do
Racham ale bez odpowiedzi - Wzrostajacy
jest ocalajaca. Caly czas o Waszej krotkiej
2. Tuzim, kt. jest juz durna i w tym roku
dzienownicy - wiejsz sie klocim - czy dzienica
jest blawolucy, czy binnelko - Tak juz
my cieliczko gada - tylko biedna
mala przykaza sie jak jenzel dwin
"bawci" gada - Ciocim sie je Tuzim
Tuzek to zolnow - bawcoo was wozystki
sie wiejsz Tuzim - Biedna Ciocia
Ritner - senn tym koniec jycia
Mysl, ze jenzel ta mame zolnowa
raka was bawcoo - gdzie binnelk mazi
Bawcoo to jest mazi bawcoo - Tak baw
raka mazi - bawcoo was bawcoo
je bawcoo - bawcoo was wozystki
bawcoo mazi Lilly

Kartka wysłana przez Lilly Sławikowską z Semipalatyńska do Haliny Sławikowskiej

Po powrocie, w PRL

Pociągiem dowieziono nas do Lublina. Tam przez kilka dni szukałyśmy pracy. Czerwony Krzyż robił, co mógł, aby nam pomóc. Ale i tak nie mogłyśmy znaleźć żadnej posady. Znowu wsiadłyśmy do pociągu i pojechały do Wrocławia. Pociągi były przepełnione. Dopchanie się do toalety było sztuką. Dowiedziałyśmy się, że rektorem Uniwersytetu był Stanisław Kulczyński, mąż naszej dawnej znajomej z Krakowa, Marysi (z domu Lang). Przed wojną był profesorem na uniwersytecie we Lwowie. Marysia, która była bez powodu aresztowana przez Rosjan i musiała pracować w kopalni węgla, przyjęła nas bardzo miło. Ta piękna kobieta, od wyjścia z obozu pracy była chorowita i niedługo potem umarła. Osierociła córkę i syna. Rektor Kulczyński miał do dyspozycji piękną willę i udzielił nam gościny. Wrocław był bardzo zniszczony. Wśród ruin biegały szczury – być może w ruinach leżały jeszcze zwłoki. Przepiękny gmach Uniwersytetu nie był zrujnowany. U Marysi spędziłyśmy kilka bardzo miłych dni, ale pracy nie znalazłyśmy we Wrocławiu. Śląsk był już pełen przesiedleńców ze wschodniej Polski. Czerwony Krzyż także pomagał szukać, ale nic to nie dało. Postanowiłyśmy spróbować szczęścia w Krakowie, gdzie miałyśmy najwięcej znajomych i to nieźle sytuowanych. Ale jak wiadomo ci, co prawie nic nie wycierpieli, nie mają zrozumienia dla biedy. Nie bez powodu mieszkańców Krakowa nazywa się „centusiami krakowskimi”. W końcu jednak znalazłyśmy pracę w Krakowie.

Wynajęłyśmy mały pokój. Z naszych pięknych mebli zostawionych na przechowanie we dworze w Drogini pozostały tylko połamane resztki. Żołnierze palili nimi w piecu. W Krakowie jedna z Bzowskich była zakonnicą w klasztorze Salezjanek. Zapraszała nas czasem na obiad. Na początku jadałyśmy też

w jadłodajni dla biednych, zorganizowanej z inicjatywy arcybiskupa księcia Sapiehy. Powoli nasza sytuacja się zmieniała. Moja dobra szwagierka, która sama prawie wszystko straciła, ale była już trzy lata w Krakowie i jakoś już się urządziła, pomagała nam bardzo. W Krakowie otworzono biuro podróży „Orbis”. Dyrektorem został dobry przyjaciel moich krewnych, generał Mond, zwany „Buniem”, który wrócił z obozu jenieckiego w Niemczech. Mond i jego żona byli pochodzenia żydowskiego. Mieli trzech synów – średni umarł na szkarlatynę w wieku 12 lat. Chyba to było 1 rok albo 2 lata przed wojną. W czasie wojny generał Mond dostał się do niewoli niemieckiej, a jego żona pozostała nie niepokojona przez Niemców w ich domu. Niestety wpadła na zgubny w skutkach pomysł odwiedzenia swoich krewnych w Tarnowie czy w Rzeszowie. Tam wymordowano wszystkich Żydów, wśród nich panią Mond. Po wojnie „Bunio” wrócił do Polski z obozu jenieckiego i zamieszkał w swoim domu na Osiedlu Oficerskim w Krakowie. Byli oficerowie i ich żony (między innymi moja piękna szwagierka Irena) zajęli się serdecznie „Buniem”. Był bardzo przez wszystkich lubiany. Podobno jeden jego syn wyemigrował do Francji i tam ożenił się z polską arystokratką, a drugi był prawdziwym lewicowcem.

Kiedy szukałyśmy w Krakowie pracy, Irena poszła z nami do generała Monda, który został dyrektorem krakowskiego oddziału Biura Podróży „Orbis”. Gizus, która bezbłędnie posługiwała się kilkoma językami, dostała stanowisko korespondentki zagranicznej. Dyrektor Mond napisał list do dyrektora „Orbisu” w Warszawie i bardzo szybko przysłała odpowiedź, że mnie zatrudnią, ale że na pomoc w znalezieniu mieszkania nie mogą liczyć. Najważniejsze, że miałam dostać pracę, a do spania wystarczył mi wtedy kawałek podłogi byle gdzie. W „Orbisie” bardzo ucieszyli się z mojego przybycia. Niewiele było takich osób, które tak jak ja bez problemu porozumiewały się po niemiecku, węgiersku, francusku i trochę słabiej po angielsku i rosyjsku. Tak więc, wprawdzie nie w Krakowie lecz w Warszawie, rozpoczęłam pracę w dziale zagranicznym.

W powojennej Warszawie były ogromne problemy z mieszkaniami. Niemcy po powstaniu warszawskim wyburzali wszystkie domy, z wyjątkiem tych, w których sami mieszkali. W ocalałych mieszkaniach gnieździło się po kilka rodzin. Dostyc nowoczesny dom, w którym zamieszkałam, zajęty był do wyzwolenia przez Niemców. W trzypokojowym mieszkaniu państwa Kulczyckich mieszkali trzy rodziny. Ja zamieszkałam w małym, 4 m², pokoiku, gdzie dawniej mieszkała służąca. Miałam tam małe proste łóżko, pod którym w pudełkach trzymałam wszystkie moje rzeczy.

Praca odpowiadała mi bardzo, bo miałam pole do ciekawych obserwacji. Interesujące było, kto mógł wówczas do komunistycznego kraju przyjeżdżać i z niego wyjeżdżać – ja musiałam sprawdzać każdy paszport. Pewnego razu przyszedł rosyjski generał – mundur na piersi obwieszony orderami –

a z paszportu wynikało, że jest komendantem polskich lotników. Odwoływano go do Rosji i dlatego już występował w rosyjskim uniformie. A więc tak wtedy wyglądali najwyżsi polscy oficerowie! Przysyłano Rosjan, ubierano w polski mundur, a po jakimś czasie odwoływano. A prawdziwi polscy wyżsi oficerowie siedzieli przeważnie w więzieniu albo byli rozstrzelani. Dział zagraniczny „Orbisu” mieścił się wówczas w hotelu „Polonia”, gdzie także ulokowano wiele ambasad. Na przykład mieściła się tam kancelaria Austriackiego Przedstawiciela Dyplomatycznego barona E... [nazwisko niewyraźnie napisane]. Większość pracowników ambasad lubiło wpaść do mnie na pogawędkę. Wtedy ludzie bali się rozmawiać z cudzoziemcami, bo można było za to, pod byle pretekstem, trafić do więzienia. Ja musiałam służbowo rozmawiać z cudzoziemcami, więc pilnujący mnie nie mogli mi z tego powodu robić zarzutu. Stopniowo ambasadę przenosiły się do swoich odremontowanych siedzib w mieście, ale już się z wieloma osobami naprawdę zaprzyjaźniłam i często byłam zapraszana na przyjęcia. Szczególnie zaprzyjaźniona byłam z ambasadorem Finlandii Järnefeld [Jännefeld?] i jego żoną. Mieszkali w małej willi i robili przyjęcia osobno dla przedstawicieli krajów zachodnich i osobno dla tych z krajów komunistycznych. Ja byłam zapraszana razem z gośćmi z krajów zachodnich. Oczywiście pracując w komunistycznym kraju trzeba było bardzo uważać na to, co się mówi. Pewnego razu pracownik biura – chyba nazywał się Janek – poprosił mnie, abym dla jego krewnych zarezerwowała miejsca w wagonie sypialnym do Szwecji. Ponieważ było dużo wolnych miejsc, mogłam to zrobić bez problemu. Czekałam na pana Janka do zamknięcia biura, ten jednak nie przyszedł. Idąc do domu spotkałam go pijanego na ulicy. Powiedziałam, że czekałam na niego z biletami, a on na to, że został wezwany do tajnej kancelarii i że go wypytywano o mnie. Powiedziałam spokojnie: „Panie Janku, Pan zauważył chyba, że do klientów odnoszę się tak, aby każdy cudzoziemiec z najlepszymi wrażeniami opuszczał Polskę.”. On na to: „Drugiej takiej, jak Pani, się nie znajduje”.

W ciągu 10 lat pracy w dziale zagranicznym „Orbisu” miałam tylko dwa nieporozumienia. Pewien Francuz zapytał, gdzie może wymienić dolary. W „Orbisie” był oficjalny kantor wymiany i tam go skierowałam. Jako urzędniczka nie mogłam inaczej postąpić. Kiedy zobaczył małą sumę, którą otrzymał za swoje dolary dostał ataku wściekłości i zaczął wrzeszczeć. O ile dobrze pamiętam, oficjalny kurs był wtedy 4 złote za 1 dolara, a na czarnym rynku 50 zł. Druga sprawa była bardzo nieprzyjemna. Pewnego dnia przyszła do mnie polska sekretarka ambasadora Norwegii, pani Bielska, zarzucając mi, że nie dałam biletu sypialnego do Oslo, ale policzyłam 100 zł. Jestem zawsze bardzo skrupulatna w rachunkach, nie mogłam jednak wykluczyć pomyłki. Poprosiłam aby chwilę poczekała i sprawdziłam kopie. Wynikało z nich, że wydałam bilet sypialny Warszawa-Oslo. Sekretarka wróciła do ambasady. Za chwilę

wchodzi zdenerwowany mężczyzna (ambasador Grönvold) i bardzo niegrzecznie ponawia zarzut. Dotknięta do żywego zawołałam podniesionym głosem (dzisiaj się z tego śmieję): „Polska jest zubożałym krajem, ale żaden Polak nie połaszczyłby się na 100 zł”. Na to Grönvold popatrzył na mnie z góry na dół i wyszedł wściekły. Wiedziałam, że jego urzędniczki bardzo się go bały. Minął długi czas, już prawie zapomniałam o sprawie, nagle widzę przed sobą zmieszaną twarz pani Bielskiej, a w jej ręku paczuszkę. „Bilety znalazły się w kieszeni któregoś z garniturów pana ambasadora i czy może Pani za te niewykorzystane bilety zwrócić pieniądze” i położyła przede mną pudełko czekoladek norweskich. Czekoladek nie wzięłam i dosyć energicznie powiedziałam, że pan ambasador powinien przesłać do dyrektora „Orbisu” list z przeproszeniem mnie za podejrzenie. Następnego dnia pani Bielska przyniosła taki list. Potem byłam w przyjacielskich stosunkach z ambasadą norweską. To zdarzenie zbiegło się w czasie z coraz częstszym zwalnianiem z pracy ludzi o pochodzeniu źle widzianym przez władze komunistyczne i dlatego tak mi zależało na listowym przeproszeniu. Jako najczęstszą przyczynę zwolnień podawano niedopatrzenia urzędnicze lub finansowe. Ponieważ w tych sprawach jestem bardzo skrupulatna i w dokumentach miałam idealny porządek, miałam złudną nadzieję, że ominie mnie zwolnienie. Kiedy jednak wręczono mi wypowiedzenie, poszłam oczywiście do mojego szefa, młodego bubka, i zapytałam o przyczynę. Standardowo odpowiedział, że miałam pomyłkę finansową. Wiedziałam, że to nieprawda i dosłownie nawrzeszczałam na niego. W całym biurze zapadła nagle całkowita cisza. Sama się dziwię mojej odwadze, bo mogło się to dla mnie źle skończyć.

Tuż po tym zdarzeniu przyszedł do mnie szef linii lotniczych LOT z pytaniem, czy nie chciałabym zmienić pracy, bo potrzebują kogoś z językami obcymi do pracy na lotnisku. Nic nie wiedział, że właśnie „Orbis” mnie zwolnił. Z radością przyjął ofertę, zgłosiłam się do kadrowej, która najwyraźniej cieszyła się z mojego przyjścia, a potem zaczęła się komedia, że mam przyjść pojutrze do podpisania umowy, jak przychodziłam, umowy nie było i tak kilka razy. W końcu się zdenerwowałam i powiedziałam kadrowej: „Chcicie mieć pracownika władającego kilkoma językami, to jestem do dyspozycji, ale jeśli wam moja matka i mój ojciec nie odpowiadają, nic na to nie poradzę.” Wtedy kadrowa powiedziała, żebym przyszła do pracy następnego dnia i że wtedy będzie umowa. Zaczęłam pracować, a umowy ciągle nie było. Pewnego dnia prowadziłam kogoś do samolotu, gdy podszedł do mnie młody mężczyzna i podał mi do popisania umowę. Ponieważ się spieszyłam, podpisałam nie czytając – wszystko było przecież wcześniej uzgodnione. W podpisanej w biegu umowie były zmiany na moją niekorzyść, ale i tak cieszyłam się, że w ogóle dostałam pracę.

Wracam jeszcze do pracy w „Orbisie”. Przypomniał mi się głodny Szwed. Było to tuż przed zamknięciem biura. Wchodzi elegancki pan około 50-letni

i mówi, że jest głodny, nie ma polskich pieniędzy tylko czek, banki są już zamknięte a portier w hotelu nie chciał mu wymienić czeku. Zrobiło mi się go żal, bo wiem, co to znaczy być głodnym. Pożyczyłam mu pewną sumę pieniędzy, zaznaczając, że za tę kwotę może zjeść do syta, ale bez alkoholu, gdyż te w lokalach są bardzo drogie. Chciał mi dać pokwitowanie, na co odpowiedziałam: „Pan jest Szwedem i to mi wystarczy”. Popatrzył zdziwiony i powiedział: „Jutro o 10 godzinie przyniosę pieniądze”. Rzeczywiście, Szwed pojawił się punktualnie co do minuty, oddał pieniądze i zostawił wizytówkę – był generalnym dyrektorem jakiejś tam instytucji. Nie pamiętam, czy chociaż powiedział „dziękuję”. Polak w tej sytuacji może by się trochę spóźnił, ale przyniósłby kwiaty.

Przypomina mi się niemiły epizod, jak zostałam aresztowana. W niedzielę jeździłam zwykle na wycieczki samochodowe z przedstawicielem dyplomatycznym Austrii baronem Conrad-Eybisfeldem i jego piękną żoną Lydią [Sylwią?]. Dzięki tym wycieczkom poznałam wiele miejscowości w Polsce. Pewnej niedzieli zrobiliśmy znowu wycieczkę. Przed nami jechali dwaj rowerzyści i kierowca pojechał za nimi, nie przypuszczając, że wjeżdżamy na zabroniony teren. Nagle wyskakują żołnierze i krzyczą „Stać!, Stać!”. Okazało się, że wjechaliśmy na teren lotniska wojskowego. Chociaż na naszym samochodzie były znaki CD (corps diplomatique) musieliśmy stanąć, a kierowca został zabrany na komendę. Długo nie wracał, więc minister wziął swój paszport dyplomatyczny i poszedł sam na komendę. Czekamy, czekamy i zamiast barona zjawiają się po nas dwaj podoficerowie. Pokazałyśmy dokumenty i ja, jako obywatelka polska, musiałam pójść z podoficerem, a pani Eybisfeld nie chciała opuścić samochodu i drugi podoficer został z nią. Okazało się, że w komendzie pomyłono Austrię z Australią i nie było telefonicznego potwierdzenia tożsamości zatrzymanych osób. W końcu wyjaśniła się pomyłka i Austriaków puszczono wolno, a ja zostałam podejrzana o szpiegostwo. Rozłożono dla mnie łóżko polowe, a pilnował mnie bardzo sympatyczny podoficer. W czasie wojny był na Węgrzech i bardzo chwalił tamtejszą gościnność. Tak mi się z nim sympatycznie rozmawiało, że nawet zaprosiłam go do Warszawy na barackpálinkę [węgierska wódka brzoskwiowa]

Noc przespałam dobrze a nazajutrz zażartowałam, że jak mnie nie wypuszczą, to się powieszę na tym dziku (na ścianie wisiała wypchana głowa dzika). Pobudka była wcześniej, żołnierz zaprowadził mnie do studni na podwórzu, gdzie mogłam się umyć w zimnej wodzie i potem dostałam śniadanie: czarną kawę i kawałek chleba. Ledwie zjadłam, przyszli po mnie trzej panowie z UB, dwaj w mundurach i jeden po cywilnemu i wzięli mnie do swojego samochodu. Do dzisiaj nie mogę sobie przypomnieć nazwy miejscowości, do której mnie zawieźli. Na początku nie bałam się i próbowałam rozmawiać z wiozącymi mnie panami. Po ostrej reakcji zamilkłam. Jestem przekonana, że

Conrad-Eybisfeld interweniował, gdzie się dało, bo wypuszczono mnie po 3 dniach. W więzieniu przesłuchiwał mnie długo bardzo niesympatyczny pan. Zwróciłam mu uwagę, że bez nakazu nie może mnie przetrzymywać dłużej niż 3 dni i że nie miał prawa zatrzymywać pasażerów samochodu CD.

A teraz opiszę bardzo sympatyczne wydarzenie: tak zwany Kongres Pokoju [II Światowy Kongres Pokoju – Warszawa 1950 r.].

To spotkanie komunistów, około 2000 ludzi, miało się odbyć w Sheffield w Anglii, ale Anglicy nie dali wiz. Na wszelki wypadek przygotowywano kongres w Polsce, chociaż potem powiedziano, że w 3 dni zostało wszystko zaaranżowane. Czy przygotowania trwały 3 dni czy 3 miesiące, ale aż trudno uwierzyć, jak wszystko zostało wspaniale zorganizowane. Pełna perfekcja, tylko z całkowitym brakiem smaku, co charakterystyczne dla komunistycznych krajów. Goście dostawali 3 razy dziennie świetne jedzenie a my, ciężko pracujący przy obsłudze gości, tylko jakąś kielbasę z chlebem w hallu hotelu. Poszłam do dyrekcji i zapytałam, czy to w porządku, że w komunistycznym kraju dzieli się ludzi na lepszych i gorszych. Powiedziałam, że zapłacę z własnej kieszeni za jedzenie. Byli trochę zdziwieni, ale powiedzieli, abym przyszła po odpowiedź następnego dnia. Dostałam przydział na jedzenie razem z gośćmi i nie kaza-no mi za to płacić. Na śniadanie była kawa, herbata albo czekolada, do tego bułeczki, chleb, szynka, dżemy i jajka. Lunch o godzinie 12.00 – przystawki, pieczyście i deser. Obiad o 18.00 – przystawki, zupa, pieczyście, deser. Wszystko w najlepszym gatunku. Kongres trwał 10 dni, goście się rozjechali. Tylko pewien czarnoskóry mężczyzna, który zakochał się w Polce, odprowadzony do pociągu pojawił się znowu, za drugim razem to samo, aż go wreszcie wsadzono do samolotu i już o nim więcej nie słyszeliśmy.

Na tym kończą się wspomnienia Cioci. Powiedziała, że pisanie już ją za bardzo męczy – miała przecież 91 lat.

Na koniec dodam jeszcze kilka moich uzupełnień i refleksji:

1. W czasach stalinowskich łatwo było trafić do więzienia. Jeden cioteczny brat mamy Jerzy Sobieszczański siedział w więzieniu we Wronkach za działalność partyzancką w AK, a drugi znalazł się na prawie dwa lata w więzieniu za dowcip opowiedziany przyjacielowi przy stoliku restauracyjnym – jak się okazało przy sąsiednim stoliku siedział ktoś z bezpieki i od razu wuj trafił do aresztu. A dowcip był całkiem *à propos* tej sytuacji:
„ – Wiesz dlaczego w Polsce nie będzie się już produkować łóżek? – Bo reakcja nie śpi, bezpieka i rząd czuwają a reszta społeczeństwa siedzi.”
I w tychże stalinowskich czasach, kiedy wszelkie kontakty z cudzoziemcami były ryzykowne, ciocia Lilly spotykała się z nimi nie tylko w pracy – co należało do jej obowiązków – ale też prywatnie. Z kilkoma osobami poznanymi pod koniec lat czterdziestych przyjaźniła się do końca życia. Przyjaźnie te zaczynały się przeważnie od wspólnej gry w tenisa lub brydża. Jedną z tych przyjaciółek Cioci, panią Gunhild Bert Möller, która w latach powojennych pracowała w Ambasadzie Szwedzkiej w Warszawie (nie pamiętam, jakie miała stanowisko), potem w Paryżu, a potem w Wiedniu, poznałam osobiście i wiele jej zawdzięczam, między innymi dwumiesięczną praktykę w pracowni projektowej jej kuzyna w Sztokholmie w 1964 r. W następnym roku zostałam również zaproszona, ale już nie dostałam paszportu. Moje dzieci wspominają paczki od pani Gunhildy, otrzymywane w czasie stanu wojennego. Myślę, że Ciocia była na pewno obserwowana i zdając sobie z tego sprawę, uważała, co i gdzie mówi, ale oprócz tego jakimś gwarantem jej bezpieczeństwa była rzeczywista zażyłość, prawie rodzinna, z osobami, z którymi nasz rząd musiał się liczyć.
2. Katyń. Z tą złowrogą dla wielu polskich rodzin nazwą związana jest śmierć Eugeniusza (Jenö) Sławikowskiego oraz tragiczna, a raczej makabryczna, śmierć Walentego Badyłaka, który dokonał samospalenia na Rynku Głównym w Krakowie w 1980 r., protestując przeciw zмовie milczenia wokół zbrodni w Katyniu. W tym miejscu jest tablica upamiętniająca to wydarzenie. Walenty Badylak był drugim mężem Ireny, wdowy po Eugeniuszu Sławikowskim. Bardzo często oboje spędzali letnie miesiące u moich rodziców w Werbkowicach. Wal (tak nazywany był w rodzinie Walenty Badylak) był zapalonym wędkarzem i całe dnie spędzał nad Huczwą. Szczupaki przyrządzane na różne sposoby gościły prawie codziennie na naszym stole. Wal był pogodnym, dobrym i serdecznym człowiekiem. Bardzo kochał Irenę. Samospalenia dokonał 5 lat po jej nagłej, tragicznej śmierci. Oczywiście poza Krakowem sprawa była nieznana, gdyż media miały zakaz informowania o niej. Ciekawe, że w bardzo krótkim czasie zarówno ja, jak i ciocia Gizela, zostałyśmy wezwane do Pałacu Mostowskich na przesłuchanie w tej sprawie.
3. Losy mojej rodziny i wielu innych polskich rodzin, lub szerzej środkowoeuropejskich, pełne są dramatycznych wydarzeń. Czy władcom dawnym i obecnym drżała lub drży ręka, gdy puszczają w ruch maszynę wojenną? Czy zawsze są to decyzje przemyślane? Należy czcić tych, którzy oddawali swoje życie dla ojczyzny, ale dlaczego nie cenimy tych, którzy potrafili osiągać cele w drodze negocjacji a nie z „szablą w dłoni” lub

wysyłając innych na barykady. Dlaczego słyszymy zawsze „zgniły kompromis” a nie „mądry kompromis”. Dlaczego nie potrafimy być dumni z Okrągłego Stołu? Dlaczego niektórzy w tym przejawie mądrości widzą zdradę narodową? Podziwiam Piłsudskiego i Dmowskiego, że potrafili, mimo różnic i wzajemnej niechęci, współpracować dla odzyskania przez Polskę niepodległości. Podziwu godny jest też fakt, że w odrodzonej Polsce nikt nie dzielił Polaków na lepszych i gorszych, niezależnie od tego, z jakiego zaboru pochodzili, w jakich armiach służyli, po której stronie walczyli i ile procent krwi polskiej mieli w żyłach.



Lilly Stawikowska w 1992 roku

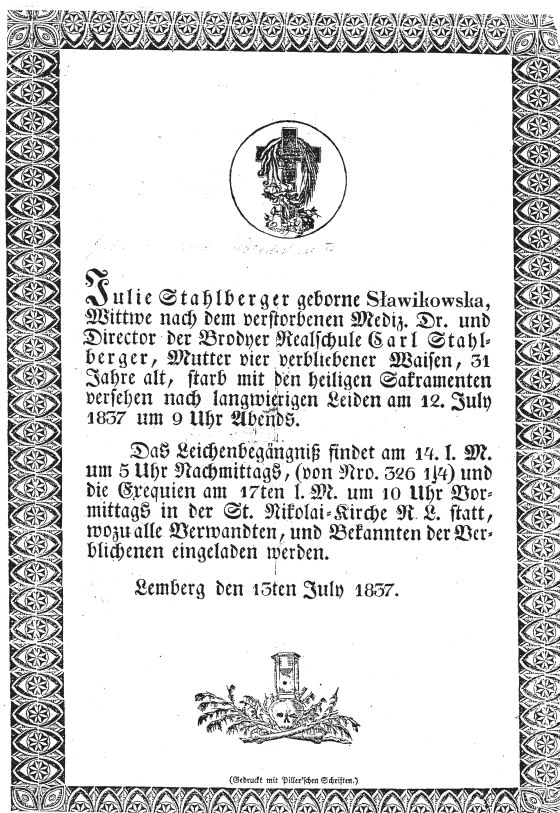
O rodzinie Sławikowskich

Pochodzenie Sławikowskich, moich antenatów (są jeszcze Sławikowscy niespokrewnieni z nami) jest zagadkowe. Jeszcze nie znam odpowiedzi na pytanie kim byli i skąd pochodzili przodkowie mojego praprapradziadka Józefa Sławikowskiego, który pojawia się jako burmistrz Lwowa (według przekazu rodzinnego) i człowiek najwyraźniej bardzo majątny. Świadczy o tym zamówienie portretów dla siebie, żony Elżbiety (Elisabeth), z domu von Wetz pochodzącej z Vöcklabruck w Górnej Austrii i swoich dorosłych już dzieci u znanego portrecisty lwowskiego Karla Gotlieba Schweikarta, używającego również spolszczonego nazwiska „Szwejkart”, żyjącego w latach 1772-1855. Portrety te, niesygnowane, znajdują się teraz u potomków sportretowanych osób w Austrii i w Polsce. Dowodem statusu społecznego i majątkowego tej pary jest fakt wysłania syna Antoniego na studia medyczne do Wiednia, wydanie dwóch córek za prawników sprawujących różne ważne urzędy we Lwowie. Prawdopodobnie mój przodek został wysłany przez cesarza austriackiego „na urząd” do zajętej przez Austrię Galicji i być może miał niemieckie nazwisko. Może był nieślubnym synem kogoś wpływowego. Ale dlaczego inni w podobnej sytuacji spolonizowali się nie spolszczając nazwisk a ten mój przodek spolszczył swoje nazwisko? Przecież nie ze względu na żonę, która była Austriaczką. Do dyspozycji mam domową biblioteczkę i trochę dokumentów i listów rodzinnych zebranych przez Ciocię Lilly, w których jednak nie ma odpowiedzi na powyższe pytanie i nie ma informacji, jak brzmiało jego poprzednie nazwisko. Jakiś ślad znajduję w wydanych przez Wydawnictwo Literackie, Kraków 1957, dwutomowych pamiętnikach Kazimierza Chłędowskiego – tom pierwszy „Pamiętniki. Galicja 1843-1880”, tom drugi „Pamiętniki. Wiedeń 1881-1901”. Jest tam taki fragment (tom I, str. 166):

„Pani B wzięła mnie w opiekę, wprowadziła mnie w koło swych znajomych i otoczyła prawie macierzyńską uwagą. U niej poznałem państwa Ściborowskich (ona siostra Dunajewskiego), którzy mieszkali przy Floriańskiej ulicy i bardzo otwarty dom prowadzili, u niej państwa Sławikowskich. Pan Sławikowski był profesorem okulistyki na uniwersytecie, nazywał się po ojcu podobno Nachtigal, ale w ciągu życia przetłumaczył się na polskie. Panią Sławikowską zwano panią „Pączkową”, bo w karnawał darowała mnóstwo wieczorów, a na wszystkich były wyborne pączki”.

A więc może Nachtigall, czyli po niemiecku słowik. Dlaczego więc nie Słowikowski a Sławikowski. Może ktoś się pomylił przy zapisywaniu i tak pozostało. W jednym Chłędowski się myli – ta zmiana nazwiska musiała być o pokolenie wcześniej, gdyż na zachowanym nekrologu siostry profesora, Julii Stahlberger, można przeczytać, że z domu nazywała się Sławikowska. Nekrolog jest w języku niemieckim.

Słowik pojawia się wiele lat później (w 1915 r.) jako nowy predykat szlachecki w akcie nadania szlachectwa mojemu dziadkowi Stanisławowi Sławikowskiemu (za zasługi wojenne



Nekrolog Julii Stahlberger,
z domu Sławikowskiej

w czasie I-wojny światowej). Załączam zdjęcia tego aktu, gdyż jest piękny wizualnie. Leżał zawsze głęboko w szafie i nikt się nim nie chwalił – bo brzmi humorystycznie *Sławikowski von Słowik*, a poza tym z nadania zaborcy, chociaż najlepszego z trzech. Sławomir Górczański tak pisze o tej nobilitacji w książce „Nobilitacje w Galicji w latach 1772-1918” Wydawnictwo DiG, Warszawa 1999:

„*Sławikowski Edler von Słowik*

Tarcza dwudzielna w słup. W polu błękitnym na zielonej murawie rycerz z wzniesionym mieczem w prawej dłoni, lewa wsparta na biodrze, przyłbica otwarta, twarz z sumiastym wąsem, pióropusz z trzech piór strusich, między czarnymi złote; w polu drugim złoty pas błękitny, na którym gwiazda sześciopromienna złota. W klejnocie trzy pióra strusie, między błękitnymi złote. Labry błękitne podbite złotem.

Stanisław Sławikowski Edler von Słowik (ur. w Tymbarku w 1866 r.), major 29 Pułku Piechoty, po 30 latach służby i udziale w kampanii 1914 r. (kiedy został ranny w stopę) otrzymał nobilitację 12 II 1915 r. Proponowane predykaty to Tymbark (miejsce urodzenia), Mogiłka i Czernin (oba z wojny), Stopnica, Sława i dopiero jako ostatni nadany Słowik.”



Akt nobilitacji Stanisława Sławikowskiego z 12.02.1915 r.
(oryginał o wymiarach 39,5 cm x 29,5 cm, 8 stron, sztywne, obite jedwabnym aksamitem
okładki z godłem C.K.Monarchii)

Józef i Elżbieta Sławikowscy, czyli prawdopodobnie ci, którzy spolszczyli nazwisko, mieli chyba czworo dzieci: **Antoni, Karolina, Elżbieta Teresa, Julia**. Prawdziwej kolejności nie znam, bo nie znam dat urodzenia – z wyjątkiem mojego prapradziadka, profesora Antoniego Sławikowskiego, urodzonego w 1796 r. i Julii ze Sławikowskich Stahlberger, urodzonej w 1806 r.

Antoni Sławikowski i jego potomkowie

Antoni Sławikowski był dwa razy żonaty. Z pierwszego małżeństwa z Barbarą Migdalską miał dwóch synów-bliźniaków Tytusa i Henryka. Z drugiego małżeństwa (nie znam imienia i nazwiska drugiej żony, w zacytowanym wyżej fragmencie pamiętników Kazimierza Chłędowskiego nazywana jest „panią Pączkową”) urodzili się córka Antonina i syn Tadeusz.

Tytus ożenił się z Julią Bzowską i mieli córkę Marię ur. w 1861 r. i syna Stanisława, mojego dziadka, ur. w 1866. Maria wyszła za mąż za Jana Kiliana i umarła przy porodzie (co z dzieckiem, nie wiem). Stanisław ożenił się z Gizellą Várady i mieli pięcioro dzieci: Karol (Karci), Gizela, Eugeniusz (Jenö) Helena (Lilly) i Erwin – ich losy opisane są we wspomnieniach Lilly Sławikowskiej.

Henryk nie założył rodziny.

Antonina wyszła za mąż za Kazimierza Szwejkowskiego (czasami nazwisko to ma inną pisownię: Szweykowski) i z tego małżeństwa była jedyna córka, Zofia, która potem została żoną dramaturga Tadeusza Rittnera. Małżeństwo to było bezdzietne.

Tadeusz nie założył rodziny. Po wypadku, jakiemu uległ w dzieciństwie był garbaty. Został dyrektorem filii wiedeńskiego banku we Lwowie. W tradycji rodzinnej, a co znajduje potwierdzenie w II tomie pamiętników Kazimierza Chłędowskiego, był błyskotliwy i miał cięty język.

Na Maryli Taibl-Sławikowskiej, ur. 6.06.1956 r., córce Artura Sławikowskiego i malarki Izabeli Rapf-Sławikowskiej kończą się potomkowie Antoniego noszący nazwisko Sławikowski.

Informacje o poszczególnych członkach tej gałęzi rodziny, na podstawie materiałów zgromadzonych przez Lilly Sławikowską.

O Antonim Sławikowskim zacytuję fragmenty artykułu z „Przeglądu Lekarskiego” nr 2 z 1971 r., autorstwa Jerzego Zdanowskiego z Zakładu Historii Medycyny Międzywydziałowej Katedry Historii Medycyny i Farmacji Akademii Medycznej w Krakowie:

Przed stu laty, 10 czerwca 1870 roku, w Krzeszowicach koło Krakowa zmarł Antoni Sławikowski, pierwszy profesor okulistyki w Wydziale Lekarskim Uniwersytetu Jagiellońskiego. Urodzony we Lwowie w r. 1796, studiował w Wiedniu, gdzie w r. 1819, na podstawie rozprawy „Abhandlung über die Würmer in Menschen”, uzyskał stopnie doktora medycyny i magistra okulistyki. Jeszcze przed uzyskaniem doktoratu był asystentem znanego wiedeńskiego profesora okulistyki Beera. W r. 1821 powrócił do Lwowa, pracując jako asystent kliniki lekarskiej, równocześnie bezpłatnie opiekował się Szpitalem Sióstr Miłosierdzia przez okres pięciu lat. W tym samym roku został mianowany bezpłatnym profesorem nadzwyczajnym okulistyki w Instytucie Medyko-Chirurgicznym Lwowskim, gdzie wykładał aż do roku 1851.

W latach 1824-1829 był sekundaruszem Szpitala Bożego Ciała we Lwowie. Podczas epidemii cholery azjatyckiej w r. 1831 został powołany do pełnienia obowiązków



Prof. medycyny UJ Antoni Sławkowski, pradziadek Lilly Sławikowskiej.
Portret niesygnowany, według tradycji rodzinnej namalowany przez Karola Schweikarta

lekarza obwodowego. Głęboko wrażliwy na ludzkie nieszczęście i tragedię ociemniałych, był jednym z organizatorów Instytutu Głuchoniemych i Ociemniałych we Lwowie, którym opiekował się bezpłatnie w latach 1833-1851. W uznaniu dla ogromnej wiedzy, jaką reprezentował, został powołany w r. 1840 na stanowisko okulisty Galicji. Godność tę piastował w latach 1840-1851, prowadząc nadal wykłady w Instytucie Medyko-Chirurgicznym i pracował równocześnie w miejscowym Szpitalu Powszechnym. Jako wybitnemu specjalście zlecono mu w r. 1849 kierowanie akcją zwalczania epidemii egipskiego zapalenia spojówek wśród żołnierzy stacjonujących we Lwowie. Epidemię tę opisał w pracy pt. „Über die epidemische Augen-Entzündung”. W tym też czasie otrzymał wysokie odznaczenie austriackie – złoty krzyż zasługi z koroną.

W tym czasie, staraniem Wydziału Lekarskiego w Krakowie, została kreowana samodzielna katedra okulistyki, a z dniem 8 maja 1851 r. na profesora zwyczajnego został powołany dr Antoni Sławikowski.

Profesorem był nieprzerwanie prawie do r. 1869 [...] W tym czasie, oprócz działalności naukowej i dydaktycznej, profesor Sławikowski wielokrotnie zastępował dziekana, a w latach 1868-1869 pełnił z wyboru godność dziekana Fakultetu Medycznego.

Dorobek naukowy prof. Sławikowskiego był bardzo znaczny, gdyż oprócz oftalmologii interesował się zagadnieniami stojącymi na pograniczu okulistyki, jak chorobami zakaźnymi i wewnętrznymi. [...]

O wysokim kunszcie operacyjnym profesora Sławikowskiego może świadczyć fakt przeprowadzenia ze świetnym skutkiem operacji zaćmy miękkiej wrodzonej u dziecka sześciomiesięcznego, przez rozdzielenie (*keratonxis*) lub wykonanie operacji zaćmy (*extractio*) u mężczyzny 81-letniego i kobiety 85-letniej, co stanowiło, jak na ówczesne czasy, duże osiągnięcie chirurgiczne, a liczba 4 143 wykonanych operacji zaćmy świadczyła o jego wielkiej pracowitości i wysokiej technice zabiegowej. [...]

W uznaniu zasług naukowych otrzymał członkostwo honorowe towarzystw naukowych: krakowskiego, lwowskiego, warszawskiego, wiedeńskiego i berlińskiego. Był jednym z nielicznych lekarzy polskich, którego życiorys w dowód uznania zamieszczono w wydany w r. 1934 wielotomowym dziele „*Biographisches Lexicon der hervorragenden Ärzte aller Zeiten und Völker*” w edycji berlińsko-wiedeńskiej. [...]

Biogram prof. Antoniego Sławikowskiego znajduje się na str. 602 tomu XXXVIII „Polskiego Słownika Biograficznego” wydany przez Polską Akademię Nauk w 1997-1998.

Profesor Sławikowski pracował ciężko, zapewne dobrze zarabiał, ale też pracował bezpłatnie, prowadził otwarty dom, co nie miało kosztować. Co więc przyniosło mu taki dochód, że stać go było na kupienie kilku wsi i miasta Tymbark? A może to właśnie jego tajemniczy ojciec był taki bogaty i wyposażył syna? Zacytuję tu fragment z książki „Tymbark; szkice z dziejów miejscowości i okolic”; 1353-1978; praca wydana przez Gminny Komitet FJN z okazji 625-lecia miejscowości wydanej przez Krajową Agencję Wydawniczą, O/Kraków w 1978 r., str 19:

[...] w roku 1813 posiadłość Tymbarka (miasto Tymbark, Zamieście, Podłopień, Zawadka, Słopnice i sołtystwo Czuczylów) została zajęta przez skarb państwa i weszła

w skład tzw. dóbr kameralnych. [...] Jak już wspomnieliśmy miasteczko Tymbark z okolicznymi wsiami zostało zajęte przez rząd austriacki w 1830 roku. Wtedy to posiadłość Tymbarka została sprzedana na licytacji Antoniemu Migdalskiemu [teść Antoniego Sławikowskiego], za sumę 30.860 złr. Począwszy od roku 1830 aż do I wojny światowej dobra tymbarskie znajdowały się w prywatnych rękach. Właścicielem był przez 14 lat Antoni Migdalski, dzierżawił je od niego Franciszek Najder. W 1843 roku majątek Tymbark nabył Antoni Sławikowski, doktor medycyny i chirurgii, profesor okulistyki na Uniwersytecie Jagiellońskim. W roku 1856 przekazał go swojemu synowi, Henrykowi Sławikowskiemu, który w 1863 r. przejął prawo posiadania tych dóbr na Tytusa Sławikowskiego, swego brata. Ten ostatni sprzedał Tymbark w roku 1868 za sumę 36.000 złr. Ludwikowi Myszkowskiemu, adwokatowi z Jarosławia [...]

O Tytusie i Henryku Sławikowskich

Bliźniacy Tytus i Henryk byli dziwakami i utracuszami. Tytus Sławikowski poślubił 20 lutego 1859 roku w kościele Opactwa Cystersów w Szczyrzycu Julię Bzowską, córkę Feliksa Bzowskiego i Antoniny z domu Żuławskiej. Henryk nie założył rodziny. Podobno Tytus (a może obaj bracia) ukończył medycynę, ale nigdy nie podjął pracy zawodowej. O obu braciach i okolicznościach utraty przez nich majątku zachował się interesujący dokument. Jest to fragment z książki „Z pamiętnika Antoniego Józefa Nogi Marsa; Dotyczące działalności w Galicji w drugiej połowie ubiegłego stulecia; Wypracował i do druku przygotował Teofil Wiadomski”; Wydrukowano w MCMV roku – w drukarni J. K. Jakubowskiego WWY w Nowym Sączu. str. 46, 47, 48, 49 i 50:

[...] Jednymi z najbogatszych obywateli w okolicy byli dwaj bracia Sławikowscy, Tytus i Henryk, synowie profesora uniwersytetu lwowskiego.

Posiadali oni miasto Tymbark z przyległościami, Słopnice Królewskie i Szlacheckie, a wreszcie dobrze rentującą się kamienicę we Lwowie i sporo gotówki.

Młodszy z nich Tytus ożenił się z córką Bzowskiego, dzierżawcy dóbr Opactwa Cystersów w Szczyrzycu.

Do niego należały Słopnice król. i szlach. Henryk zaś objął w posiadanie Tymbark z przyległościami. Obaj bracia byli nad wyraz lekkomyślni. Zwłaszcza Henryk, kawaler, znany w okolicy dziwak.

Nie zajmował się wcale sprawami swego majątku, żył bez rachunku, a nawet upijał się, co w końcu stało się u niego nałogiem. Gospodarstwo więc upadało z roku na rok, dochody zmniejszały się ustawicznie, podczas gdy wydatki na lekkomyślne życie rosły, pochłaniając powoli całą fortunę.

Sprzedawał więc drzewo żydom, potem las, brał bez rachunku przeróżne towary u różnych kupców, rozumie się na kredyt, a nie obeszło się także bez długów wekslowych. Słowem, doprowadził w niedługim czasie do tego, że przeróżni jego wierzyciele (żydzi z Tarnowa) zahipotekowali się na Tymbarku na sumę 10.000 Złr. a o 16.000 Złr. rozpoczęli proces, nadto okoliczni żydzi zasekwestrowali cały ruchomy jego majątek.

Ponieważ brat jego Tytus, właściciel Słopnic, solidarnie odpowiadał z bratem za jego długi, przeto zwrócił się do mnie z prośbą o radę i ratunek.



Elisabeth Sławikowska, z domu von Wetz, praprababka Lilly Sławikowskiej. Portret niesygnowany, według tradycji rodzinnej namalowany przez Karola Schweikarta (fot. Tomasz Daiksler)

Rozpatrzywszy sprawę, zażądałem, aby Henryk odstąpił wszystkie prawa posiadania, na rzecz brata swego Tytusa, który będzie go utrzymywał przy sobie, wypłacając mu miesięcznie 50 Złr. na drobne potrzeby, gdyby jednak Henryk nie przystał na te warunki, wówczas brat będzie płacił mu 1.500 Złr. rocznie, ratami miesięcznymi z góry.

Załatwiwszy tę sprawę, udałem się do Tarnowa, gdzie przy pomocy adwokata Stojalskiego zaspokoiliśmy pretensyje żydów w ten sposób, że miasto 26.000 Złr. zobowiązaliśmy się wypłacić ratami 8.000 Złr. Aby pretensye te i inne zaspokoić, sprzedał Tytus Sławikowski Słopnice szlach. Za sumę 22.000 Złr.

Wypłacił więc wszelkie długi i w Tarnowie i u nowosądeckich żydów, zdawało się więc, że wszelkie kłopoty pomyślnie zakończone zostały.

Tymczasem zgłosił się do Sławikowskiego pewien żyd z nowemi pretensyami. Oto przedłożył różne weksle Henryka Sławikowskiego na sumę 7.000 Złr., którą on u byłego arendarza szlabantu solińskiego, różnymi czasy wypożyczył.

Arendarz ów umarł, a on jako opiekun małoletnich spadkobierców zmarłego, pretensje te zgłasza. Znowu wezwany zostałem do narady i pomocy. Przeglądałem więc pilnie owe weksle i natychmiast spostrzegłem na niektórych fałszywe podpisy, zapytałem więc Henryka, co może mi o tych długach powiedzieć.

Z tego com usłyszał, przyszedłem do przekonania, że pretensyje te w większej części są fikcyjne, że długi owe nie przekraczają kwoty 1.500 Złr. Rozmówiłem się przeto z owym żydkiem, proponując zgodę. Gdy jednak żyd obstawał uporczywie przy całej swej pretensji, udałem się do nowosądeckiego rabina, oddając tę sprawę pod jego sąd.

Rabin wyznaczył termin, na który stawilem się wraz z całą paczką różnych żydków. Odbyla się bardzo ciekawa scena. W sali, do której wprowadzony zostałem, zastałem siedzącego przy stole rabina, a po bokach jego, tuż przy ścianie, stało 12-tu żydów, którzy raz wraz służyli rabinowi to wodą, to ręcznikiem, to przynosili księgi etc. etc.

Ujrzałem też niedaleko stołu mego przeciwnika. Zapytany o sprawę, która sprowadziła mnie tutaj, wyjaśniłem w krótkości całą rzecz z weksłami Henryka Sławikowskiego.

Na to zwraca się arendarz i szeptem rabinowi po żydowsku słów parę. Rabin jednak, wskazuje na trzech z otaczających go izraelitów i pyta się ich o coś po żydowsku, a otrzymawszy taką odpowiedź, uderza ręką w stół, wołając: „Kompromis!”

Mój przeciwnik w odpowiedzi na okrzyk rabina, znowu przemawia tajemniczo do niego.

Ten wskazuje tym razem na sześciu z swej rady i pyta ich o coś, a otrzymawszy odpowiedź, powtarza donoślejszym już głosem swój okrzyk.

Zaciekawiony tajemniczą dla mnie sceną, spoglądam na mego arendarza, który z oznaką niezadowolenia znow szeptem coś cicho do rabina. Wtem rabin zrywa się i śpiewnym głosem zakrzykał: „Kompromis!” a okrzyk ten powtórzyła cała jego rada przyboczna. Wówczas żydek mój rzuca się na ziemię, tłucząc głową o podłogę. – Wszystko to było dla mnie dziwnem, teraz przeczułem, że jakaś wielka kara spada na arendarza.

Żał mi go było, powstałem zatem z krzesła i wstawiłem się za nim, prosząc o przebaczenie mu winy. Wówczas rabin zapytał się coś otaczających go żydków, po których odpowiedzi

rozkazał arendarzowi, aby powstał, trzem zaś ze swego otoczenia polecił sprawę według mojej woli załatwić.

Po tym dziwnym sądzie opuściłem rabina, udając się wraz z żydami do hotelu, gdzie przystano na wszystkie moje warunki. Według nich wypłaciłem arendarzowi zamiast 7.000 Złr., zaledwie 1.600 Złr.

Karolina Popper z domu Sławikowska i jej potomkowie

Karolina wyszła za mąż za Franza Poppera, który sprawował różne wysokie funkcje np. prezesa sądu apelacyjnego we Lwowie oraz deputowanego miasta Lwów. Ile dzieci było w tym małżeństwie, nie wiem. Po śmierci męża Karolina przeniosła się do Wiednia, a potem do Grazu w Austrii. Córka tej pary Anna wyszła za mąż za pułkownika Iwańskiego, który był wojskowym-profesorem jakiejś wojskowej szkoły czy uczelni, i mieszkała z mężem w Wiedniu. Po śmierci męża otrzymała w 1899 r. wraz z dziećmi Emmą i Arturem nobilitację z predykatem von Iwanina. Emma, po mężu Gayer, opisana jest we wspomnieniach cioci Lilly.

Elżbieta Teresa Homme z domu Sławikowska

Elżbieta Teresa wyszła za mąż za Johanna Homme (czasami nazwisko to ma inną pisownię: Home), burmistrza Lwowa. Nie mam informacji o dzieciach tej pary.

Julia Stahlberger z domu Sławikowska i jej potomkowie

Julia (ur. 1806 – zm. 12.07.1837) wyszła za mąż za Karla Stahlbergera (ur. 1787 – zm. 21.11.1834), lekarza i dyrektora Szkoły Realnej w Brodach. Małżeństwo to miało czterech synów: Karl (Karol), Theodor (Teodor), Julius, Emil (urodzony jako pogrobowiec). Ciocia Lilly przyjaźniła się w Wiedniu z Olgą Sulke, z domu Stahlberger, zajmującą się muzyką, malarstwem i grafiką, i od niej dostała interesującą korespondencję dotyczącą tej gałęzi rodziny. Chodzi tu nie o zwykłą korespondencję, jaką prowadziły wówczas wszystkie rodziny, ale o listy dotyczące pochodzenia, pokrewieństwa, losów itd. osieroconych w dzieciństwie i wychowujących się zdala od siebie synów Julii i Karla Stahlbergerów. Niektóre z tych listów są, moim zdaniem, ciekawe nie tylko ze względów rodzinnych, ale jako obraz społeczno-narodowościowych stosunków w Galicji w XIX wieku. Listy te pisane są po niemiecku, przepisane przez z kogoś z rodziny na maszynie. Cytuję obszernie fragmenty z tych listów w moim tłumaczeniu:

List Gusti, czyli Augusty Stahlberger (nie wiem, czy wyszła za mąż i jakie miała nazwisko po mężu), córki Emila, do brata Karla. List jest bez daty:

Kochany Karl!

Spełniając Twoje życzenie spróbuję spisać moje wspomnienia dotyczące rodziny, bez gwarancji, co do zupełnej dokładności.

Ze strony ojca znam następujące fakty: w Wiedniu studiował w latach 20-tych XIX wieku syn Sławikowskiego, ówczesnego burmistrza Lwowa i zaprzyjaźnił się z pilnym i ambitnym kolegą Karlem Stahlbergerem, którego zaprosił kiedyś do siebie, do Galicji.



Józef Sławikowski, prapradziadek Lilly Sławikowskiej. Portret niesygnowany, według tradycji rodzinnej namalowany przez Karola Schweikarta (fot. Tomasz Daiksler)

Karl, jak wiesz, urodził się w Linzu, ale rodzina pochodziła z Westfalii, gdzie do dzisiaj jest miejscowość Stahlberg. Doktor medycyny Karl Stahlberger zakochał się, w ówczesny 16-letniej, Julii Stawikowskiej i wkrótce ją poślubił, spełniając jednocześnie postawiony mu warunek osiedlenia się i pracy w Galicji. Podczas jakiejś epidemii zaraził się i umarł w 1834 r. osierocając 4 synów. Najmłodszy syn, Emil urodził się już po jego śmierci. Jego żona zmarła 3 lata później ze zgrzyoty. Odwiedziłam jej grobowiec we Lwowie.

Dobrze sytuowana Karoline Popper [siostra Julii] wzięła do siebie sieroty. [Po śmierci męża zamieszkała z trzema siostrzeńcami w Wiedniu, a potem w Grazu]

Najstarszy, kilkunastoletni Karl, przystał do polskich organizacji narodowo-wyzwoleńczych. Ciotka Karoline nie chciała więc już o nim słyszeć, co znalazło wyraz także w jej testamentie. Karl ożenił się z córką ziemianina z Jadamwoli koło Starego Sącza. Prowadził potem spokojne, wiejskie życie, pisał poezję, tłumaczył polskie pisma, malował bardzo ładnie. [...] Przekazał gospodarstwo swojemu synowi Bogdanowi, który ożenił się z mieszcanką z Sącza i miał 5 dzieci. [...]

Drugi syn, Theodor, był dyrektorem gimnazjum we Lwowie i według opowiadań mamy był najszlachetniejszym człowiekiem. [...]

Trzeci syn, Julius, studiował chemię w Wiedniu i zmarł w wieku 22 lat, podobno w wyniku zatrucia gazem podczas doświadczeń chemicznych.[...]

Czwarty syn, Emil, nasz ojciec, któremu Karoline Popper zastąpiła matkę, studiował technikę, był asystentem w Wiedniu. Zajmował się też muzyką i już w wieku 15 lat całkiem ładnie komponował. Gdy miał 24 lata odwiedził swego brata Theodora, który wtedy był profesorem w gimnazjum w Bochni. Podczas jakiegoś festynu dobroczynnego poznał, przez swojego brata, córkę urzędnika z kopalni soli, Vinzenza Skalka, Hermine, która podobno była najpiękniejszą dziewczyną i chciał ją poślubić. Uzyskał zgodę pod warunkiem uzyskania posady zapewniającej byt. Uzyskał posadę adiunkta w Urzędzie Hydrograficznym w Wenecji i 16 maja 1864 r. odbył się ślub w Bochni. Z Wenecji przeniósł się do Akademii Marynarki, wówczas w Trieście. Potem Akademia Marynarki przeniesiona została do Fiume. Emil Stahlberger zajmował się intensywnie działalnością naukową, wynalazł „rheobarmeter”, był wielokrotnie odznaczany za prace naukowe. [...]

Pierwsze lata w Wenecji musiały być dla naszej mamy smutne – skromna Galicjanka tak daleko od domu. Jak wyglądało nasze życie we Fiume sam wiesz najlepiej. Tęsknotę za „ojczyzną” [w liście występuje tu cudzysłów, może dlatego, że zarówno Bochnia jak i Fiume, czyli nadadriatycka Rijeka, leżały w tym samym państwie tj. C.K.Monarchii] zaspokoila mama 2 lata przed śmiercią – odwiedziła wtedy swoich krewnych. Nazwali ją „Niemką”, mieli do niej pretensje, że jak owdowiała nie wróciła do swoich, lecz pozostała między obcymi i że jej dzieci nie mówią po polsku. Zawsze cieszyła się, gdy odwiedzał nas ktoś z Galicji. Najczęściej odwiedzał nas jej stryjeczny brat Janos Skalka, który był nadinspektorem węgierskich kolei i mógł wszędzie za darmo jeździć. [...]

Co dotyczy naszych bogatych kuzynów Stawikowskich, to potem jak roztrwonili miasto i 13 wsi umarł jeden, a drugi pogrążył się w alkoholizmie i też umarł.

„Polski Słownik Biograficzny” wydany przez Polską Akademię Nauk i Polską Akademię Umiejętności zawiera w tomie XLI, na str. 479, następujące informacje o Teodorze Stahlbergerze:

[...] Urodził się w Brodach 20.VII.1827, pochodził z niemieckiej rodziny urzędniczej. S. ukończył gimnazjum i studia prawnicze we Lwowie, po czym studiował na wydz. filozoficznym uniwersytetu w Wiedniu. [...] Od r. szk. 1854/5 pracował jako zastępca nauczyciela w gimnazjum w Nowym Sączu, uczył m. in. języka polskiego i niemieckiego, geografii, historii i historii naturalnej [...] W l. 1857/8-1860/1 był rzeczywistym nauczycielem języka niemieckiego i polskiego oraz historii i geografii w gimnazjum w Bochni, a w l. 1861/2-1871/2 profesorem w krakowskim Gimnazjum św. Anny; uczył języka niemieckiego i łacińskiego, historii, logiki i psychologii. [...] W 1868 ogłosił litografowane podręczniki logiki i psychologii. W r. 1872 sprawował krótko funkcję tymczasowego dyrektora krakowskiego Gimnazjum św. Jacka, zaś od lipca t.r. do r. szk. 1875/6 był dyrektorem gimnazjum w Wadowicach oraz – równocześnie – tamtejszej prywatnej Wyższej Szkoły Żeńskiej. [...] Za jego dyrekcji powstał Fundusz Stypendialny im. Mikołaja Kopernika oraz wybudowano nowy gmach gimnazjum. S. był także inicjatorem założenia bursy dla ubogiej młodzieży gimnazjalnej (powstała w r. 1891 jako Bursa im. Stefana Batorego) Od r. szk. 1876/7 był powtórnie dyrektorem Gimnazjum św. Jacka i kierował nim do r. 1887, kiedy to przeszedł na emeryturę [...] ogłosił niemiecki przekład „Ojca zadżumionych” Juliusza Słowackiego, [...] części „Trenów” Jana Kochanowskiego oraz rozprawkę „Mickiewicz w Weimarze 1826”. W r. 1887 wydał podręcznik „Deutsche Sprach-und Sprechlehre. Praktyka języka niemieckiego wobec mowy polskiej. I Synonimik – II Grammatik” [...] Grał na skrzypcach i napisał muzykę do „Ody do młodości” Adama Mickiewicza [...]

Kazimierz Chłędowski w swoich pamiętnikach tak pisze o Teodorze Stahlbergerze:

„Najznakomitszymi profesorami, jakich wogóle miałem w gimnazjum, byli Zygmunt Sawczyński i Teodor Stahlberger. [...] Stahlberger pochodził z niemieckiej wprawdzie, urzędniczej rodziny, ale czuł się synem kraju, w którym mieszkał. Mała, chuda figurka w okularach, z zatabaczonym nosem i wąsami, tak nędznie ubrana, że najczęściej kieszonienie u surduta nie tylko wewnątrz, ale i na zewnątrz były podarte. Przecież młodzież się z tego uczonego oberwańca nie śmiała, bo gdy Stahlberger nosowym swym głosem zaczął nam dawać szerokie poglądy z historii powszechnej, gdy zaczął charakteryzować epokę odkrycia Ameryki, albo rzeźbić przed nami postać Juliusza II, to nawet nasi kole-dzy, siedzący w ostatniej, oślej ławce, słuchali z namaszczeniem słów profesora.”

List Karla II Stahbergera, syna Julii i Karla I, do Karla III, syna Emila. (zastosowałam numerację, aby łatwiej odróżniać tych trzech Karolów).

To o autorze tego listu jego bratanica pisała, że jako nastolatek przyłączył się do polskich powstańców lub jakichś organizacji narodowo-wyzwoleńczych.

Ten list to 10 stron maszynopisu a i tak osoba, która przepisywała rękopis, zaznaczyła, że opuszcza kilka stron rozważań filozoficzno-społecznych. Ja tylko omówię ten list i podam mały cytat.

List jest pisany z Jadamwoli (wieś w powiecie limanowskim) 20 marca 1891 r.

Autor listu pisze o sobie jako o 70-letnim starcu. Widać ogromną radość, że ten niezna-ny mu bratanek zechciał do niego napisać i interesuje się dziejami rodziny. Z listu wynika, że po śmierci Karla I, wdowę Julię z czterema synami wzięła do siebie siostra Julii, Therese Hom(m)e. Trzy lata później, po śmierci Julii, sieroty wzięła do siebie i została ich prawną opiekunką, druga siostra Julii, Karolina Popper. Autor listu w sposób wzruszający pisze o spacerach z kilkuletnim braciszkiem Emilem, który wszystkim się interesował i zadawał dociekliwe pytania. Po rozdzieleniu się rodziny (autor nie pisze dlaczego, ale z listu Augusty wynika, że Karolina Popper musiała bardzo źle oceniać ruchy narodowo-wyzwoleńcze, jako rozsadzające monarchię od środka, skoro zerwała kontakt z najstarszym siostrzeńcem i pominęła go w testamencie), autor stracił możliwość widywania się z najmłodszym ukochanym braciszkiem. Autor cytuje różne wycinki prasowe na temat wynalazków Emila, a więc interesował się nim całe życie. Odwiedzał swojego brata Teodora, profesora gimnazjalnego w Krakowie oraz swojego wuja, profesora Uniwersytetu Jagiellońskiego, Antoniego Sławikowskiego. W liście tym jest ciekawa dla mnie informacja, że miejscem urodzenia i pochodzenia mojej prapraprababci Elisabeth von Wetz, po mężu Sławikowskiej, jest Vöcklabruck. Na temat jedynego syna, noszącego czysto polskie imię Bogdan, oprócz informacji rodzinnych pojawia się ciekawa uwaga:

Bogdan może prowadzić inteligentne i interesujące rozmowy, ale tylko w języku polskim, bo z językiem niemieckim tak mu szło, jak gdyby bosą stopą chodził po ściernisku, co jest wynikiem błędnego systemu szkolnego, który na korzyść języka polskiego zaniedbuje język niemiecki i przez to cała tutejsza nasza młodzież szkolna jest „niema”.

Wspomnienie o płk. dypl. Bronisławie Maszlance (1897-1972)

Bronisław Maszlanka był moim teściem. Znałem go 17 lat, i przez pewien czas mieszkaliśmy pod jednym dachem. Teresę, jego córkę, poznałem na studiach lekarskich w Akademii Medycznej w Warszawie w 1951 roku – w roku, w którym jej ojciec został aresztowany. Siedział w tym czasie w podziemiach aresztu śledczego Informacji Wojskowej na ul. Oczki w Warszawie.

Jakim był człowiekiem? Przy pierwszym zetknięciu wydawał się oschły i zasadniczy. Przy bliższym poznaniu okazywało się, że pod tą skorupą drzemie ogromny potencjał uczuciowy. Był „twardym” szczególnie dla siebie. To, co zamierzał zrobić, musiało być ze wszech miar profesjonalne. Był ambitny, pracowity, wytrwały, co w połączeniu z cechującą go inteligencją pozwoliło mu osiągnąć w życiu wiele. Był wielkim humanistą, uwielbiał Norwida i Słowackiego, a jednocześnie miał umysł analityczny, był świetnym szachistą i brydżystą. Był gorącym patriotą.

Urodził się w Dukli w 1897 roku, ale wczesne dzieciństwo i lata młodości spędził w Wadowicach w rodzinnym domu. Był najstarszym z trojga dzieci Józefa i Bronisławy z Wawrzykowskich. Już w czasach szkolnych wykazywał cechy charakteru, które później ujawniły się w całej okazałości – dużą dojrzałość i poczucie odpowiedzialności. Był bardzo dobrym uczniem. Na zachowanych świadectwach szkolnych od góry do dołu są oceny celujące. Pamiętam, jak opowiadał, że za pierwsze zarobione z korepetycji pieniądze kupił upragniony słownik polsko-niemiecki i niemiecko-polski.

W 1914 roku mając lat 17 uciekł z rodzinnego domu w Wadowicach, żeby zaciągnąć się do Legionów. Ten fakt zaważył na całym jego życiu. Związał się na dobre i na złe z Wojskiem Polskim. Służył w artylerii i zaczął służbę od prostego kanoniera. Pomimo, że od początku służył w Legionach, po odzyskaniu niepodległości nie należał do żadnej z uprzywilejowanych grup byłych legionistów. A nawet był często pomijany w awansach. Piął się w górę pomału, z uporem, zawdzięczając to głównie sobie samemu, swojej wiedzy, sumienności i zaangażowaniu.

W 1924 roku ożenił się z Gizelą Sławikowską. Poznali się w Krakowie, gdzie połączyła ich muzyka. Gizela grała na fortepianie, teść na skrzypcach, stworzyli duet muzyczny, który przekształcił się w duet życiowy. Zawodowy żołnierz kochający poezję i muzykę to chyba wyjątkowa rzadkość.

Gdy w 1926 roku awansował do stopnia kapitana, zaczął poważnie myśleć o rozpoczęciu studiów w Wyższej Szkole Wojennej, bo tylko jej ukończenie dawało możliwość dalszej kariery. Rok później otrzymał zgodę na realizację tego zamiaru. Pierwszą przeszkodą były egzaminy wstępne, które zaliczały się do bardzo trudnych i obejmujących szeroki i różnicowany zakres wiedzy – od typowo wojskowych przedmiotów poprzez matematykę i historię po język obcy. Przygotowywał się sam, godząc służbę z nauką. Pamiętam, jak opowiadał z pewną dozą satysfakcji o tych wydarzeniach.

Zdających było dużo, na jedno miejsce przypadało kilkunastu kandydatów. Wielu z nich było pewnych sukcesu, tryskających energią i pewnością siebie. Niejeden z nich nie krył, że ma znajomości i poparcie. Ale na całe szczęście te atuty tu się nie liczyły. Przy zdawaniu egzaminów był zachowany pewien specyficzny zwyczaj: na drugi dzień po egzaminie, ci, którym się nie powiodło, dostawali bilet powrotny do jednostki. Były to chwile nerwowego oczekiwania. I tak dzień po dniu grupa zdających stopniowo malała. Kpt. Maszlanka zdał i skończył studia w 1929 roku, uzyskując miano oficera dyplomowanego. Był on na pewno typem oficera sztabowego, a nie dowódcy liniowego. Był taktykiem, którego fascynowało rozwiązywanie gier wojennych. I chyba dlatego już od 1936 roku, będąc początkowo majorem a później podpułkownikiem, pełnił kolejno funkcje sztabowe: szefa sztabu 6 DP, II oficera sztabu w Inspektoracie Armii Lwów, szefa oddziału III D-twie Armii Karpaty, a na uchodźstwie II oficera sztabu w Szefostwie Artylerii, szefa sztabu 3 Brygady Kadrowej, I oficera sztabu w D-twie Artylerii I Korpusu. Jego wiedzę wykorzystano później w reaktywowanej w Szkocji Wyższej Szkole Wojennej, w której pełnił funkcję dyrektora nauk. Z tego okresu pochodzi album karykatur dowództwa, wykładowców i słuchaczy, wykonany piórkiem i tuszem przez jednego z nich, który przechowujemy z wielkim pietyzmem. Przypuszczam, że jest to jedyny unikalny egzemplarz подарowany mojemu teściowi.

Będąc w Anglii został odznaczony orderem O.B.E-Mily (Order of the British Empire), było to wyjątkowe wyróżnienie, gdyż przyznawane rzadko, zwłaszcza cudzoziemcom. Po zakończeniu wojny chciał jak najszybciej wrócić do Polski, ale ciężka choroba na to nie pozwoliła. Zachorował na gruźlicę i był operowany. Przebył torakoplastykę, jedną z pierwszych w tym czasie wykonanych. W 1947 roku wrócił do kraju i do rodziny, której zaledwie rok wcześniej udało się szczęśliwie wyrwać z Kazachstanu po 6-cio letniej tułaczce.

W 1948 roku powołany został do służby w L.W.P. i skierowany do Akademii Sztabu Generalnego w Warszawie. Był tam wykładowcą taktyki ogólnej i kierownikiem kursu dowódców dywizji. Gdy nadszedł rok 1951 i okres czystek w wojsku on i jego koledzy mieli zwyczaj liczyć się, czy wszyscy są. Co pewien czas któryś z nich znikał. Aresztowania teścia dokonano w Szklarskiej Porębie, gdzie przebywał na urlopie i gdzie właśnie wygrał turniej szachowy. Dlaczego

aresztowano go tam a nie po powrocie do Warszawy? Czy chodziło o zmiękczenie psychiczne i wyolbrzymienie powagi sytuacji? Nie wiem. Razem z nim zaaresztowano jego kolegę, który był z kilkunastoletnim synem i dwoma samochodami przetransportowano ich do aresztu śledczego Informacji Wojskowej w Warszawie. Równocześnie, po gruntownej rewizji mieszkania, nakazano żonie Gizeli i córce Teresie przenieść się w ciągu 48 godzin z Warszawy do przydzielonego w Józefowie jednego pokoju bez kuchni, łazienki, bez kanalizacji i wody, w letniskowym drewnianym domku. Teresa przez całe studia dojeżdżała stamtąd do Warszawy. Były to bardzo ciężkie i ponure czasy. Teść bardzo powściągliwie wspominał ten okres, a szczególnie przesłuchania. Wyrok (12 lat więzienia, przepadek mienia na rzecz Skarbu Państwa i utratę praw publicznych i honorowych na 5 lat) wydany był zaocznie i odczytany w celi. Był to jeden z tzw. procesów odpryskowych generałów Tatara, Kirchmayera i Mossora. Pamiętam, że wspominał jak w celi układali wymyślne scenariusze dla niektórych współwięźniów, którzy woleli mówić absurdałne historie niż milczeć i być poddawany represjom fizycznym i psychicznym.

Już po wyroku został przeniesiony do więzienia na Mokotowie. Siedział w ogromnej celi 50-cio osobowej, gdzie przebywali zwykli zbrodniarze i, o ironio losu, niemieccy zbrodniarze wojenni uwięzieni razem z walczącymi z nimi polskimi oficerami, uznanymi również za wrogów Polski. Do jednego „oczka” klozetowego przez cały dzień a nawet w nocy stała kolejka potrzebujących. W celi upodobał sobie teścia pospolity przestępca od „mokrej roboty” i mówił do niego „Pan jest dla mnie jak ojciec”. Tu nie było widzeń. Dopiero po przewiezieniu do Wronek mógł zobaczyć się z żoną lub córką raz w miesiącu. Widzenia te były dla odwiedzających wielką udręką psychiczną i dużym wysiłkiem fizycznym. Teresa, bo ona najczęściej jeździła do ojca, jechała nocnym pociągami do Poznania i tam czekała do rana na przesiadkę do Wronek. Po 12-14 godzinnej podróży widzenie trwało 10 minut. Siedzieli naprzeciw siebie oddzieleni dwiema kratami, między którymi przechadzał się klawisz. Trzeba było prawie krzyczeć, bo w rozmównicy było jednocześnie kilkanaście osób. Żadnej intymności. Rozmowę bardzo często przerywał wartownik, jeżeli usłyszał jakieś słowo, które wydawało mu się podejrzanym. Zaraz po widzeniu Teresa wracała, jadąc znowu ok. 14 godzin.

Teść źle znosił pobyt w więzieniu, pojawiło się nadciśnienie i pierwsze objawy choroby wieńcowej. Miał kilka razy tzw. przełom nadciśnieniowy z utratą świadomości. Kilkakrotnie przebywał w szpitalu więziennym. Kiedy pojawiły się pierwsze zwiastuny „odwilży” w życiu politycznym, wystąpił o urlop zdrowotny. Otrzymał go w styczniu 1955 roku na rok. Zawitał do Józefowa w mroźny wieczór zimowy, w letnim płaszczyku. Radość była wielka. Warunki, w jakich żyła rodzina Maszłanków, były bardzo ciężkie. Teściowa, po aresztowaniu męża została zwolniona z pracy jako element politycznie wrogi – była przecież żoną

szpiega. Dostała z trudem nową, podrzędną i niskopłatną pracę w Warszawskich Zakładach Gastronomicznych. Teresa studiując nie mogła pracować – obowiązywała w tym czasie dyscyplina studiów. Obecność na wykładach i ćwiczeniach była obowiązkowa, sprawdzano nawet listę obecności.

I tu, w Józefowie, pierwszy raz zobaczyłem i poznałem przyszłego teścia. Był bardzo powściągliwy i małomówny, chyba odreagowywał ciężkie przeżycia. Dopiero po październiku 1956 roku, po rehabilitacji i powrocie do Warszawy do przydzielonego dwupokojowego mieszkania na ul. Grójeckiej, zaczął odzyskiwać równowagę psychiczną. Wrodzony optymizm kazał mu wierzyć, że będzie lepiej. Zmiany polityczne związane z powrotem Gomułki też miały duży wpływ na jego stosunek do ówczesnej rzeczywistości. Unikał potępiających osądów w kontekście krzywd, jakie mu wyrządzono. Ale nadal był bezkompromisowy w sprawach zasadniczych. O tym świadczy krótki epizod związany z pracą w GUS-ie. Podjął pracę uważając, że jeszcze może się na coś w życiu przydać i ze względu na niską emeryturę. W GUS-ie miał się zająć kontaktami z zagranicznymi odpowiednikami urzędu. Znał trzy języki obce: niemiecki, angielski i francuski. Podjął decyzję, że zerwane w okresie „żelaznej kurtyny” kontakty trzeba odnowić. Przygotował odpowiednie pisma, rozpoczął wstępne rozmowy. I ku swojemu wielkiemu rozczarowaniu i zdziwieniu został „zablokowany” przez dyrekcję. Po ostrej merytorycznej rozmowie z panią dyrektor, natychmiast złożył wypowiedzenie.

W 1958 roku z wielką radością przyjął narodziny swojej pierwszej wnuczki Małgosi. Obdarzył ją wielką miłością i przywiązaniem. Do piątego roku życia mieszkała z nim pod jednym dachem. Może była to rekompensata za lata, kiedy swojej małej córce nie mógł poświęcić tyle czasu, ile by chciał. Były bowiem okresy, że był gościem w domu; wyjazdy służbowe, manewry na poligonach. A później siedmioletnia rozłąka w czasie wojny dopełniły reszty. Teraz będąc w domu mógł się cieszyć każdym dniem i każdą nową oznaką dorostania małej.

W tym czasie, od 1957 roku, zaczął współpracować z Wojskowym Przeglądem Historycznym, zaczął również publikować w Wojskowym Przeglądzie Zagranicznym. Napisał trzy książki: *Bundeswehra* (1959), *II wojna światowa. Fakty, mity, legendy* (1969) i *Cztery oblicza militarystyki – okruchy historyczne* (1971). Pisał w domu, w ciasnocie (mieszkaliśmy w pięć osób w dwu małych pokojach), z narzuconym sobie żelaznym rygiem i stale przebywał z małą wnuczką. Pamiętam, że robiąc w południe przerwę w pracy siadał z Małgosią do stołu. On pił kawę, ona obok z malutkiej filiżanki słabą herbatę. Rozmawiali jak starzy, dorośli znajomi. Przekazywał jej to, co najlepsze. A później, gdy była starsza, dał jej podstawy angielskiego a szczególnie tajniki angielskiej gramatyki. Te dwa czynniki – praca, która dawała satysfakcję (w 1969 roku otrzymał nagrodę Ministra Obrony Narodowej) i wnuczka powodowały, że ostatnie lata życia

na pewno mógł uznać za szczęśliwe. Drugiej wnuczki Marysi, która przyszła na świat w 1964 roku, już tak nie hołubił, nie miał już tych sił. A ponadto Marysia urodziła się już po naszym wyprowadzeniu się od teściów, więc nie miał z nią takiego codziennego kontaktu, jak z Małgosią.

W 1968 roku pojawiły się pierwsze zwiastuny ciężkiej choroby, ale na skutek błędnej diagnozy lekarskiej po dwóch latach było już za późno na skuteczne leczenie. Chorobę znośił z godnością, nie narzekał i nie skarżył się. W tym najgorszym czasie opiekowała się nim żona Gizela, była nad wyraz oddana, pełna wyrzeczeń i poświęcenia – okazała wielkie serce. Zmarł w dniu 20 listopada 1972 roku w otoczeniu najbliższej rodziny. Z dumą czytam w *Polskim Słowniku Biograficznym*, że „należał do najbardziej wykształconych oficerów WP o dużej wiedzy wojskowej i historycznej”. Od siebie dodam, że był prawym, uczciwym, skromnym i dobrym człowiekiem.

Fragmenty zeszytu nr IX dzienniczka Zofii Bzowskiej

(Zofia Bzowska po mężu Wolska, córka Kazimierza Feliksa
i Marii z Marynowskich))

„Żerosławice, poniedziałek 16.I. [1922] Wczoraj dopiero wróciłam z Krakowa, ale długie to dzieje. 10-tego wyjechaliśmy raniutko o 4-tej, jeszcze naturalnie ciemno było, było nas tyle i tyle rzeczy, że ledwośmy się zmieścili [...]. Za to ciepło nam było i wesoło – Żałowaliśmy, że nie mieliśmy sanek, bo śnieg leżał wszędzie głęboki. O 8-mej byliśmy już w Bochni na dworcu [...]. W Krakowie zajechaliśmy do Sławikowskich, były tam też stara, miła p. Szweykowska z córką, p. Rittnerową malarką, ta ostatnia b. miła – zaczęła portretować Ciocię Dudzikowską, Lili, Gizusię a także, jak się pokaże, i mnie. Ciasno tam teraz niemożliwie i nieporządek jeszcze gorszy niż zwykle – Zaraz też po południu uciekłyśmy z mamusią do doktora – ten powiedział, że zdrowa i bardzo był ze mnie zadowolony a ja z niego, a potem wróciłyśmy do domu i położyły się spać. Okropne swoją drogą było to spanie; my w trójkę: Mamusia, Gizusia i ja na dwóch ogromnych łózkach, w przechodnim pokoju, gdzie świecili do 1-szej, spacerowali do sąsiedniej łazienki itd. Dosyć, że o gruntownym wyspaniu się i wypoczęciu nie było mowy [...]. Tymczasem przy pożegnaniu p. Rittnerowa wyraziła pragnienie zrobienia kiedyś mojego portretu – i oto Mamusia postanowiła, bym została, a sama pojechała do domu. Zostałam więc i zaraz p. Rittnerowa zabrała się do portretu – przesiadywałam po parę godzin u niej i wcale to było przyjemne – cała familia Sławikowskich mi asystowała [...] za tydzień znowu pojadę, bo portret nie skończony. [...]

Wtorek 24. I. W godzinę po powrocie z Krakowa zasiadałam do pisania. Pojechałyśmy tam z Ciocią Masią w niedzielę rano sankami – Z początku było dobrze, sanna dobra, chociaż mróz szalony, coś podobnego w życiu nie widziałam, ale po jakimś czasie wjechaliśmy na gołą ziemię, tak, że nawet Ciocia musiała iść piechotą – a mnie szczypało w nos, uszy a nawet w czoło aż w mózgu, tysiące szpileczek – to wszystko humoru mi nie dodawało i cały Kraków przedstawiał mi się w czarnych kolorach. Zajechaliśmy tam już wieczorem. U Sławikowskich zamieszanie jak zwykle – Lili zaraz przyjęła mnie okrzykiem: „A Zosia, to dobrze – pójdziemy zaraz do Bzowskich”. Ale gdzie mi to w głowie było, zmęczona, zziębnięta myślałam, by odpocząć – Pokazało się, że Mausie też tam jest, istny hotel! Gizusia zapraszała mnie do teatru, nic z tego wszystkiego

zrozumieć nie mogłam, w końcu wytłumaczyli mi, że p. Rittnerowa ma łożę za darmo na „Straszne dzieci” Roztworowskiego i że mogę iść, bo będzie miejsce. Oczywiście zgodziłam się z radością i zostałam w domu, by się przebrać – Ciocia pojechała do Romerów, a Mausi, Gizuś i Lili poszły do Bzowskich. Przebrałam się, uczesałam, wysmarowałam zmarznięty nos wazeliną i o 7-mej powędrowałam z Erwinem do teatru. Tam zesłaliśmy się z p. Rittner i jej matką, przyszły też Mausi i Gizuś i zatrzymaliśmy też Erwina, chociaż wymawiał się, że nie ubrany, ale powiedziałam mu, że wątpię, by ktoś go lornetował i został w kąci. – Mieliliśmy pyszną łożę parterową. Lili wołała zostać u Bzowskich, byli tam i nasi szwoleżerowie i Klimek powiedział Gizusi, że przyjdzie do mnie do teatru! Czekałam więc na niego i mało uważałam na sztukę – ale i ta ostatnia była godna uwagi. Jest to alegoria w formie bajki, satyra na życie i o ile zewnętrzna szata bardzo humorystyczna i wesoła, to głębia tak gorzka i cyniczna, że aż czuje się niesmak – Mausi nie rozumiała oczywiście ani słowa, ale mówiła, że ładne – b. miła ta Mausi, młodziutka, na panienkę wygląda, ale ma 23 lata i 5-letniego syna. W antraktach przychodzili dyrektor teatru, reżyser, malarki jakieś, do p. Rittnerowej i pooodobno, pooodobno b. im się podobałam no, no... Klimka doczekać się już nie mogłam. Na koniec w trzecim akcie drzwi cichutko się otworzyły, obejrzałam się i zobaczyłam jego jasną, wesołą buzię [...] W poniedziałek rano przesiedziałam u p. Rittnerowej, w pokoju było 8° i mimo futra włożonego na siebie i drugiego na nogach i zarękawka trochę zmarzłam – po obiedzie było też trochę malowania, ale potem przyszła Ciocia i poszliśmy trochę do miasta a potem do Romerów. [...] Noc po owych wizytach była dosyć burzliwa, ja poszłam sobie spać niedługo po kolacji, ale reszta gadała w drugim pokoju, wreszcie gdzieś o północy zbudzili mnie rozbieraniem swoim i trajkotaniem niemiecko-węgierskim, które potrwało ze dwie godziny, byłam trochę zła! Potem w nocy znów ja idąc do łazienki mogłam się im odwdziżyć, bo wszystko się pobudziło! – Rano Gienka nie mogli się dobudzić, wołali, krzyczeli! Coś okropnego!”

Wspomnienia Anny Marii I-voto Bzowskiej, II-voto Wisnowski

(córką Witolda Łaszczyńskiego i Janiny z Romerów,
żony Adama Kazimierza Bzowskiego)

Żerosławice

Są większe wartości niż pieniądze...

Jest to dom rodzinny i pamięć tego domu. Kiedy się pamięć zamknie na kłódkę, to dom nie żyje. A jak się pamięć ożywia, to chociażby domu nie było, chociażby się spalił, to on jest, to on żyje. W słowie żyje wszystko. Stracisz dom, pole, które uprawiasz, drzewa, które sadziłeś. Wywiozą Cię daleko od Twoich miejsc, od bliskich. A jeżeli ci słowo rodzinne zostaje, jesteś uratowany. W słowie odżyje dom i pole i łąka i las. Odżyją bliscy, odżyje dawna męka i dawna miłość. Podpieraj się słowem, na nim buduj, ono Cię zawsze zaprowadzi do celu.

Okupacja

W czasie okupacji wszystkie dwory polskie były pod zarządem niemieckim. Niemcy wyznaczali kontygent, bardzo wysoki, zboża, bydła, wszystkich płodów ziemi, itp. Wszystko to trzeba było odstawiać w określonym terminie do punktów zbiorczych. W naszym przypadku do Krakowa. Za to dostawało się symboliczną zapłatę. Trochę wódki trzeciego gatunku i trochę węgla (którego nie było w handlu dla Polaków), kartki do wiejskich sklepików spółdzielczych, za które można było dostać trochę marnej odzieży. Właściwie wszystko, co należało do kontygentu, oddawało się prawie za darmo.

Za nieodstawienie kontygentu groziła kara, wywiezienie do obozu koncentracyjnego albo śmierć, za sabotaż.

Równocześnie bydło i świnie były kolczykowane (znaczonymi kolczykami z numerem na uchu) i policzone. Nie wolno było ani prywatnie sprzedawać ani ubić na swoje potrzeby. Drzew w lesie też nie wolno było wycinać (przede wszystkim drewna twardego, bukowego, które się lepiej pali i daje dużo ciepła). Można było używać tylko drewno sosnowe, które jest miękkie i nie nadaje się do ogrzewania. Za te przekroczenia też groziła kara, jak za sabotaż.

Ziemia była u nas bardzo dobra, w związku z tym wyznaczony był bardzo wysoki kontygent. Ale większa część pól była wyznaczona (znaczy wg zarządzenia) pod uprawę rośliny o nazwie „koksagis”, z której Niemcy chcieli produkować gumę do wyrobu opon samochodowych. Roślina ta nie udawała się

u nas (hodowla jej była dopiero w stadium doświadczalnym), ale na zboże nie pozostawało wiele ziemi i, żeby oddać kontygent, trzeba było prawie całe zbiory zboża odstawić. Było bardzo ciężko.

Każdy majątek miał swojego zarządcę Niemca, który przyjeżdżał, kontrolował, chodził po polach. Nasz zarządca nazywał się Jarosch (albo Jarosz) był Niemcem z pogranicza Polski, mówił trochę po polsku. Chodził w czarnym mundurze SS. Odnosił się do nas ordynarnie i z pogardą, a przy odjeździe kazał sobie dawać jedzenie, wędliny, mięso, drób itp. Bo mimo zakazów, zawsze na wsi można był coś po kryjomu wykombinować, a w mieście o jedzenie było bardzo trudno.

Jak dziś pamiętam odstawianie kontygentu. Jazda do miasta była dla mężczyzn niebezpieczna. Więc jeździłam ja. Miałam przy sobie zaświadczenie (kupione w Starostwie u jakiegoś urzędnika niemieckiego za parę kilo mięsa i parę litrów wódki), że jadę w sprawie odstawienia kontygentu, i które czasami chroniło na wypadek łapanek („łapanka” to było zamykanie ulic przez Niemców i aresztowanie wszystkich przechodniów znajdujących się w danej chwili na ulicy). Zaświadczenie to uratowało mnie parę razy.

Wyjeżdżało się przed świtem, jeszcze po ciemku. Ja na przodzie, na pierwszym wozie, za mną szereg wozów pełnych worków ze zbożem, kartoflami, itp. Dojeżdżało się do Krakowa w południe. Zdanie kontygentu trwało kilka godzin czekania w kolejce i potem powrót znowu nocą. Jechałam na skróty, lasami. Bałam się bardzo. W lasach pełno band ukraińskich, które napadały, mordowały. (W mieście strach przed Niemcami.)

W Płaszowie, pod Krakowem, był obóz koncentracyjny. Przy drodze, którą trzeba było przejeżdżać, stały szubienice. Nieraz wisiało na nich wielu powieszonych ludzi – celowo koło drogi, dla postrachu ludności. To było okropne.

Miałam wtedy 18-19 lat.

Partyzanci

Nasze okolice znajdują się za rzeką Rabą, są pokryte gęsto lasami, ciągnącymi się przez setki kilometrów. Położenie jest górzyste. Tereny te noszą nazwę „Zarabie” i były wówczas siedliskiem szeregu ugrupowań partyzanckich. W środku tego kotła znajdują się Żerosławice. Niemcy wiedzieli o tym miejscu koncentracji partyzantów i bali się pojedynczo przyjeżdżać w te okolice. Przyjeżdżali tylko grupami, w pełnym uzbrojeniu.

Wśród partyzantów znajdowały się również grupy „Własowców”. Byli to Ukraińcy, którzy przedtem byli na służbie niemieckiej, a później, w obawie przed karą za różne przekroczenia, zdezerterowali i ukrywali się w lasach. Były to grupy okrutne, zbrodnicze i bardzo niebezpieczne dla ludności polskiej. Własowcy byli w ciągłej walce z partyzantami polskimi. Pamiętam dwie noce napadów Własowców na nasz dom. Tego się nie da zapomnieć. Rabunek, strzelanie, strach.

Było w zwyczaju, że partyzanci polscy przychodzili do dworów i dostawali żywność. Chorzy lub ranni pozostawali do wyleczenia. Czasami oddział nocował. Mieli oni swoje dwory, które się nimi opiekowały i były dla nich „domami”. Żerosławice także miały swój oddział, który nazywał się „Szczerbiec”. Dowódca jego miał pseudonim „Jerzy”.

W piwnicy była stacja radio-odbiorcza, zrobiona domowym sposobem, w skrzynce weterynaryjnej. Trzeba było być zawsze w pogotowiu, bo nigdy nie było wiadomo, kiedy przyjedzie Jarosch z żołnierzami, którzy byli jego ochroną. Polakom nie wolno było mieć, ani słuchać, radia.

Pamiętam jak pewnego razu bito świnie na Wielkanoc. Świnie były „nielegalne”, chodowało się je w ukryciu, w tajemnicy przed Niemcami. Bito je w nocy, całą noc się pracowało, aby za dnia już nie było śladu. Tego rana zostało jeszcze trochę mięsa do przerobienia, gdy zawiadomiono nas, że od frontu dworu zajechali Niemcy. Ktoś z domowników wyszedł do nich, by ich zatrzymać, zagadać. A my z duszą na ramieniu zaczęliśmy wszystko chować. Radio jeszcze było na wierzchu, bo tylko nocami wyjmowało się je z ukrycia. Mięso, radio, dwu rannych partyzantów. To wystarczyło, żeby pójść na śmierć albo do Oświęcimia. Ja musiałam ukryć radio, bo o tym nawet służba nie mogła wiedzieć. Zakopałam je w piwnicy. Wykopałam gołymi rękami w klepisku (ubitą podłogę z ziemi) zagłębienie, schowałam radio, zasypałam i potem narzuciłam ziemniaki. Ze wszystkich paznokci ciekła mi krew. Dziś nie mogę zrozumieć, jak byłam w stanie tego dokonać.

Za dworem w ogrodzie była pasieka, kilkadziesiąt uli. Między tymi ulami z pszczołami wstawiono pusty ul. Tam umieszczono radiowy nadajnik, który był przedtem w piwnicy. Najlepsze miejsce to pasieka. Każdy bał się tam wejść.

W „naszym” partyzanckim oddziale była tylko jedna kobieta, pseudonim „Alina”. Była ona razem z młodszym bratem. „Alina” była w moim wieku i bardzo się z nią zaprzyjaźniłam. Jednego razu weszłam do hału i zobaczyłam jakąś kopertę. To był anonim. Napisany w języku polskim, tylko parę zdań - „żeby zaprzestać współpracować z podziemiem, że to jest niebezpieczne, że tacy ludzie, jak my, będą potrzebni też po wojnie itp.”. Pismo nieznane, ale wyrobione, widać było, że pisane przez inteligenta. Nie wiedziałam, co z tym zrobić. Po namyśle zniszczyłam.

Była wojna. Obowiązkiem każdego Polaka była walka z okupantem. Było to niebezpieczne, ale na to nie było rady.

Pacyfikacja Spalenie Żerosławic

Minęło kilka lat. Zbliżał się koniec wojny. Wojska rosyjskie zbliżały się od wschodu do Wisły. Słychać było dudnienie artylerii z dalekiego frontu. Niemcy

zaczęli się coraz okrutniej odnosić do ludności polskiej. Wieczorami widać było w górach dalekie pożary palonych wsi. „Pacyfikacja”!

Był już koniec października. Śniegu nie było, ziemia była sucha, rano lekkie przymrozki.

W piątek 27 października 1944 r., około godziny 10 rano, usłyszeliśmy warkot samochodu. To było niepokojące. Nikt w okolicy nie miał samochodu (nasz na początku wojny musieliśmy oddać), a więc tylko Niemcy. Rzeczywiście przed dom zajechał duży, osobowy, czarny samochód. Wyszliśmy na werandę. W samochodzie siedzieli umundurowani Niemcy. Gdy otworzyli drzwi samochodu i wyszli okazało się, że to przebrani w niemieckie mundury Polacy.

Pytali, gdzie jest „Jerzy” i oddział „Szczerbiec”. Ich nie było. Prosimi o kierunek i jak się jedzie na Słupię (majątek kilka kilometrów od Żerosławic).

W czasie rozmowy zauważyliśmy nogę w niemieckim bucie, należącą do kogoś, kto leżał w tyle samochodu. Wyglądał na rannego albo zabitego. Wskazaliśmy im drogę i oni pojechali.

Jak tylko samochód wyjechał, kazano zaprząć konie do bron i zagrabiono ślady na zajeździe. Nikt nie pomyślał o tym, że przecież ślady opon samochodu są widoczne też na szosie (bita szosa). A zresztą nawet gdyby o tym pomyślano, też by to niewiele dało, bo przecież samochód przyjechał z daleka, był cały zakurzony. Na odległości nie wiadomo ilu kilometrów ślady opon były odcisnięte na drodze, na której, oprócz Niemców, nikt nigdy samochodem nie jeździł.

Później, po krótkim czasie, zajechali Niemcy, tym razem wojsko. Zapytali nas, czy nie było tu jakiegoś samochodu, a jeżeli był, to dokąd pojechał. Oczywiście według wojennych zwyczajów, nikt nic nie wiedział, więc my nie wiedzieliśmy nic.

Niemcy rozeszli się po drodze i zaczęli badać ślady i naturalnie zobaczyli ślady opon dochodzące do zajazdu, zajazd zagrabiony, i znowu ślady za ogrodem, w kierunku Słupi. Okazało się, że oni cały czas jechali śladami, które doprowadziły ich do Żerosławic. Zabrali Adama Bzowskiego [męża autorki wspomnień] i pojechali z nim na Słupię.

Na Słupi był wtedy jakiś centralny oddział partyzancki wraz z dowództwem, o czym nie wiedzieliśmy. Partyzanci mieli na drodze swoje ubezpieczenie. Zaczęli strzelać do Niemców. Kilku niemieckich żołnierzy zostało zabitych. W tym czasie, na początku strzelaniny, Adam wyskoczył z samochodu i uciekł. I wrócił do Żerosławic.

Nie wiedzieliśmy, co zrobić. Postanowiliśmy uciekać. Ale w domu u nas było 30 osób, większość Żydów, część uciekinierów politycznych, część uchodźców wyrzuconych przez Niemców z zajętych terenów (poznańskie). Nie mogliśmy ich zostawić.

W tych czasach u nas nie było zwyczaju pytać, kto kim jest. Człowiek, który potrzebował dachu nad głową, dostawał go. Wszyscy byli u nas na prawach

gości. Zebrałam wszystkich domowników i powiadomiłam ich o sytuacji. Nie było dużo czasu, nie wiedzieliśmy, co nam może grozić.

Zasadniczo Niemcy nie „pacyfikowali” dworów. Właściciele majątków byli im potrzebni jako źródło dochodów, ale zbliżał się koniec wojny i Niemcy byli jak oszaleli. A nie wiedzieliśmy o najważniejszym, o czym dowiedzieliśmy się dopiero później: tym zabitym Niemcem był wysoki oficer niemiecki, który posiadał plany frontu rosyjsko-niemieckiego. Partyzanci zastrzelili go kilkadziesiąt kilometrów od naszego domu i wzięli go na Słupię, do swojego sztabu.

Minęło kilka dni. Był wtorek 7 listopada 1944 r. Ustalono, że moja matka, Janina Łaszczyńska razem z dziećmi (Krzyś [syn autorki] i Karolek Balon, dziecko wojenne) pojadą do Krakowa w nocy, ponieważ Niemcy nie działali po nocach.

Zaczęło się ściemniać, dzieci były już ubrane. Pakowałam trochę jedzenia dla nich, gdy przed dom zajechały 2 pancerne samochody niemieckie i strzelanie zostało skierowane na dom a silne reflektory oświetliły wszystko. Z samochodów wyskoczyli Niemcy – Wehrmacht. Wpadli do domu.

Wszystko zaczęło się toczyć błyskawicznie. Trudno opisać wszystko w jakimś porządku. Tylko urywki – migawki. Jeden z Niemców rzucił granat przed werandę. Inni zaczęli robić rewizję, przewracać wszystkie rzeczy, papiery, ubrania. Zobaczyłam, że rabują, całe srebro, 6 dywnów perskich, obrazy, wsadzając te rzeczy do samochodów. Adam zaczął uciekać w stronę czworaków (mieszkania służby folwarcznej). Goniono go, strzelano za nim, on uciekł. W czworakach byli jacyś partyzanci, którzy zaczęli strzelać do Niemców. W czasie rewizji okazało się, że w stodole była schowana broń. W pasiece zaczęto strzelać do uli, ale do radia nie doszli.

Przed domem stał ogromny stary dąb. Adama nie było. Postawiono mnie pod tym dębem i strzelano wokoło mnie. Nie wiedziałam, czy chcą mnie zastrzelić. Pytali mnie, gdzie jest Adam. Twierdzili, że jest on oficerem porucznikiem w partyzantce, że uciekał do partyzantów. Pytali, co mi wiadomo o oddziałach, o ich liczebności i kryjówkach. Po każdym pytaniu, jak nie odpowiadałam, znowu strzelano.

Słyszałam jak kule odłamują korę wokół mojej głowy. Do nóg moich tulił się mój piesek cocker-spaniel, nie opuścił mnie, został zastrzelony. Stałam i nie mogłam nic mówić. Potem zemdlałam.

Ocuciłam się cała mokra, ktoś mnie polewał wodą. Okazało się, że jestem około 1 km od domu, w małym domku, który należał do pary starszych ludzi, których osobiście nie znałam, bo oni nie utrzymywali z nikim żadnych stosunków. Nazwiska dziś nie pamiętam. Domek ich był na stoku góry, powyżej naszego domu. Tak mały i ukryty w drzewach, że w go ogóle nie było widać.

Przyniósł mnie jakiś chłopak. Głowa mnie bardzo bolała. Krwawiłam mocno. Byłam pokaleczona odłamkiem drzewa, czy zadraśnięta od kul. Nie wiedziałam, co się dzieje w moim domu. Powiedzieli mi, że Niemcy odjechali, Adama nie

złapali, i że nikomu nic nie zrobili. Postanowiłam zaraz wracać. Korzystać z ciemności. Ratować dzieci, Matkę. Starcy nie chcieli mnie puścić. Zamknęli mnie w pokoju na klucz, wyskoczyłam przez okno. Było ciemno, biegłam, potykałam się o korzenie, padałam.

Po drodze spotkałam tego chłopaka, który mnie tam przyniósł. Powiedział, że przyjechali znowu Niemcy, tym razem Gestapo, i zapowiedzieli, że spalą dom jak ja się nie odnajdę, bo, według nich, ja mam wiadomości o miejscu pobytu Adama, a on jest wmieszany w całą tę akcję sabotażową. W domu było nas 30 osób. Musiałam iść. Boże, jak ja się bałam! Wierzyłam, że jak wrócę, uratuję wszystkich, ale wiedziałam, że z życiem z tego nie wyjdę.

Gdy dochodziłam do domu zobaczyłam, że dom płonie. Na werandzie stoi wysunięty z salonu fortepian, na którym jakiś SS-man gra taneczną muzykę. Na gałęzi dębu wieszają jakichś ludzi. Gdy wieszani dotykają nogami ziemi, znowu sznur pociągają w górę. Nie wiedziałam, co to za ludzie. Weszłam w odblask światła pożaru.

Aresztowano mnie natychmiast. Wrzucono do samochodu i zawieziono do Bochni do więzienia. Dowiedziałam się potem, że w Bochni było tymczasowe więzienie przeznaczone do przesłuchiwań. Nie wiedziałam, co się stało z moimi.

W Bochni byłam parę dni. Ile, nie pamiętam. Ten okres był koszmarny. Torturowano mnie, by wydobyć ode mnie zeznania. Trudno mi jeszcze dzisiaj o tym mówić (pisać).

Byłam wieszana za nogi, z głową w wodzie. Topiłam się. Byłam bardzo bita. Do dziś mam na całym ciele blizny. Mam złamaną dolną część kręgosłupa. Od tego czasu już nie mogłam mieć dzieci. Pierwszy raz o tym mówię. To wielka tragedia dla kobiety. Po każdym przesłuchaniu wleczono mnie bez przytomności do celi i rzucono na cementową podłogę. Za parę godzin to samo od początku. Za parę dni partyzanci napadli na więzienie w Bochni i uwolnili wszystkich więźniów. Zawieziono mnie do sąsiedniej wsi, do Bojanczyc, koło Żerosławic. Chodzić już nie mogłam.

Dowiedziałam się, że moja rodzina żyje. W nocy „pacyfikacji” domownicy pod strażą dwóch żołnierzy byli prowadzeni w kierunku na południe. Na noc zamknięto ich w kościele na Krasnym. I stamtąd udało się mojej Matce (Jani-
na Łaszczyńska) porwać dzieci (Krzyś z Karolem Balonem) i pod osłoną ciemnej nocy uciec do Jodłownika, a stamtąd do Krakowa. Chłopi mówili mi, że reszta ludzi też się rozbiegła później. Dowiedziałam się też, że w dworze spłonęło 40 osób, które Niemcy przywieźli, ale do zgłiszcz dworu nie można się zbliżyć, bo są pilnowane przez uzbrojonych Niemców.

Po paru dniach mogłam się już zwlec z łóżka i pojechałam odszukać kogoś z rodziny. Znalazłam u chłopca, na pograniczu Żerosławic, matkę Adama (Maria Bzowska). To ona mi wszystko opowiedziała. Pogoda się ociepliła. Niespalone ciała zaczęły się rozkładać, cuchnęło.

Mniej więcej po tygodniu niemieccy strażnicy odjechali. Ludzie ze wsi bali się zbliżyć do miejsca kaźni. Obie z teściową, ona stara a ja na pół zgięta, z ropiejącymi ranami, poszłyśmy na miejsce. We dworze wszystko było spalone. W spalonej stodole były jeszcze częściowo niespalone zwłoki. Wykopałyśmy dół w starym sadzie, koło drogi (tam ziemia była miękka) i pochowałyśmy w nim zwęglone zwłoki. Pracowałyśmy przez całą noc. Bałyśmy się za dnia.

Koło stodoły znalazłyśmy na ziemi nadpaloną kartę. Było na niej nabazgrane jedno słowo „Montelupich”. Wtedy zrozumiłyśmy, że spaleni ludzie byli więźniami politycznymi, przywiezionymi przez Niemców z Krakowa, z więzienia na ulicy Montelupich (więzienie dla politycznych).

Na opalonym betonowym słupie w stodole, w małej wnęcie, wisiał obrazek Matki Boskiej Częstochowskiej, zdjęłam go. Jest na pół spalony. Mam go do dziś dnia.

Postanowiłam odszukać moją Matkę i Krzysia. Musiałam przedrzeć się przez front niemiecko-rosyjski, który oddzielał Kraków ode mnie. Dostałam starego konia i wóz na kilka kilometrów, resztę musiałam przejść piechotą. Po drodze spotkałam jednego z partyzantów „naszego” oddziału. Opowiedział, że „Alina” (dziewczyna z oddziału, o której pisałam) i jej brat byli dziećmi rodziców zesłanych do Oświęcimia. Niemcy obiecali uwolnić ich rodziców w zamian za usługi donosicielskie. Oni poszli „do lasu” i donosili o wszystkich ruchach partyzanckich, ugrupowaniach i zamierzonych sabotażach przeciwko Niemcom.

To prawdopodobnie ona napisała ten anonimowy list. Skąd Niemcy wiedzieli o ulach w czasie rewizji? Dlaczego podejrzewali Adama? Czy może przez nią byliśmy już przedtem na „czarnej liście”? Nie wiadomo.

Cały partyzancki oddział wybito. Ocalał tylko ten jeden, „Jerzy”, którego spotkałam. W odwecie za to „Alina” i jej brat zostali rozstrzelani za donosicielstwo przez inny oddział partyzantów.

Ja przedarłam się przez front i połączyłam z moją Matką i Krzysiem.

A w miejscu, w którym pochowaliśmy spalonych więźniów, postawiono parę lat później pamiątkowy pomnik.

Fragment dziennika Marii (Janota) Bzowskiej z Drogini

[Maria Janota Bzowska, herbu Nowina, córka Kazimierza, właściciela Drogini, i Wandy z domu Romer. Z Bzowskimi (bez przydomku Janota) z Żerosławic, spokrewnieni byli poprzez Rome-rów – teściowa Adama Bzowskiego, Helena Oraczewska, była Romerówną z domu a także teściowa jego wnuka, również Adama, Janina Łaszczyńska, była Romerówną z domu, siostrą Wandy. Fragment dziennika Marii (Janota) Bzowskiej, dotyczy jej pobytu we Lwowie]

Lwów, niedziela. [10.IX.1939]

Znowu szczęście nam sprzyja. W zapadłej dziurze znalazłyśmy taksówkę, która dowozi nas do Lwowa. Płacimy 30 zł za 80 km jazdy! Przygodny pasażer pokazuje nam plecy całe popalone odłamkami bomb. Spodnie ma do kolan okrwawione od brodzenia wśród trupów. Było to w Medyce, gdzie Niemcy stałym swoim zwyczajem zniszczyli pociąg ewakuacyjny.

We Lwowie wita nas nalot. Wędrujemy na ul. Zofii szukać Gizeli. Ale mamy fałszywy adres i lądujemy u jakiegoś profesora, który poi nas gościnnie herbatą i podaje różne adresy. Zostawiamy u niego rzeczy i idziemy szukać kwatery. Wchodzimy do restauracji, gdzie zjadamy takie ilości parówek, że wzbudzamy sensację. Tułamy się dalej. Jesteśmy tak zmęczone, że w czasie szalonej kano-nady i nalotu zasypiamy na schodach w bramie. Nitka ledwo wlecze nogi. Szczęśliwie wpadam na myśl szukania Lamichowej i przez nią dowiaduję się o prawidłowym adresie Gizeli. Około 6. po południu jesteśmy na miejscu witane przez obie siostry z największą serdecznością. Po paru słowach zasypiamy obie z Nitką kamiennym snem.

Lwów, poniedziałek. Na razie zostajemy u Gizeli. Śpimy na podłodze, ale wydaje nam się to rajem po 10 nieprzespanych nocach. W mieście robimy zakupy: konserwy, mydła, pończochy, bielizna, co się da. U Tyliczkowej spoty-kam stryjostwa Wincentych. Dają mi trochę wiadomości o moich najbliższych. Niestety! Nic pewnego. Tułają się gdzieś i oni, Bóg wie, kiedy się spotkamy. Lwów na ogół dobrze się trzyma. Zbombardowany bardzo silnie, bez wody, bez połączeń kolejowych, przecie postawa ludzi inna całkiem niż w innych miastach, Na ulicach słychać żarty, sklepy otwarte, wszyscy mówią: „Tu zosta-jemy i Lwowa nie damy”. Daj Boże, aby tak było. Na mieście budują barykady. Naloty bombowców powtarzają się co 2-3 godziny. Bomby padają na miasto, wszędzie leży mnóstwo odłamków. Nikt nie zna dnia ani godziny.

Lwów, 13 września. Dzień wczorajszy przeszedł zupełnie cicho. Brakło nalotów, co ludzie z niepokojem komentowali. Jakoż z zapadnięciem zmroku rozpoczęła się panika. Nikt właściwie nie wiedział, o co chodzi. Wszyscy biegali zgięci wpół pod kamienicami, kobiety płakały, tłumy rzuciły się w ucieczce ku stryjskiej rogatce. Około 7. rozpoczęła grać artyleria rozmieszczona na wzgórzach miasta. Jeden płk. opowiada u Gizeli, że kilka czołgów przerwało front i jeździ koło miasta. Niemcy podobno rzucili ulotki, że w razie oporu mieszkańców Lwowa wyrzną wszystkie dzieci. O 9. wieczór z trzeciego piętra obserwujemy pożar kościoła Jezuitów w śródmieściu. Prócz tego łuny na zachodzie. Całą noc trwa kanonada.

Dziś dzień względnie spokojny. Na ulicach wznoszą barykady. Artyleria odzywa się rzadziej. Za naszym domem stoi armata i k. m. Za każdym strzałem trzęsie się dom, ale mimo to ten namacalny dowód obrony miasta dodaje nam otuchy.

14 września, godz. 8 rano. Dziś przeżyliśmy miłą niespodziankę. Radiostacja lwowska wróciła do nas. Wszyscy mieliśmy łzy w oczach z radości. Wieści trochę lepsze. Niemcy jakoby odepchnięci o 20 km od miasta. Nalotów nie ma, tylko armaty grają.

2. po południu. Wyszliśmy do miasta. Sklepy otwarte, ale wszędzie ogonki. Oglądamy spalony kościół Jezuitów i Izbę Skarbową. Upał. Po bramach obozu wojsko. Śródmieście silnie zbombardowane. Dużo kamienic zniszczonych.

5. po południu. Około 4. miał miejsce wielki nalot 30 bombowców nieprzyjaciela. Ponieważ miasto pełne jest wojska, rozpoczęła się szalona kanonada. Szyby trzęsły się w oknach. Kilka bomb wybuchło w pobliżu. Udałyśmy się do schronu. Rzucano bomby zapalające, toteż wybuchło kilka pożarów. Podobno strącono kilka samolotów. Komunikat Naczelnego Wodza: stwierdza, że z kolumny pancernej, która wczoraj przedarła się pod Lwów zdobyto 20 czołgów. Reszta odparta. Ciężka artyleria wciąż strzela, a ze trzy razy przeleciały nad nami pociski niemieckie.

16 września. Dzień wczorajszy przeszedł względnie spokojnie. Było trochę strzelaniny, latałyśmy za jedzeniem. Udało mi się zdobyć parę kilo ziemniaków. Dziś rozmawiałam z porucznikiem X, opowiadał, że pilnuje barykady na ul. Listopada. Noc całą ostrzeliwano ich z karabinów maszynowych. Mówił dalej, że większość mieszkańców Lwowa wprost mieszka w schronach w zaduchu i brudzie. Co do mnie, to wolę zginąć, niż podobne życie prowadzić.

17 września 1939. Niedziela.

Wiadomość o wkroczeniu wojsk sowieckich do Polski. To już koniec. Pogrzeb Ojczyzny.

18 września. Lwów. Nastrój wciąż grobowy. Nikt nie wie, czego Rosja chce od nas. Brak wiadomości oficjalnych. Podczas gdy bolszewicy idą od wschodu (podobno są już w Brzeżanach), Lwów broni się dalej bohatersko. Dziś w nocy zbudziły nas strzały armatnie. Pociski padały na naszej ulicy, kilka domów jest

silnie uszkodzonych. Huk był niesłychany. W dzień Niemcy dalej ostrzeliwują miasto, ciągle słychać straszne wybuchy. Kilka domów płonie, gdzieś na Łyczakowie płoną składy wojskowe. Potworny słup dymu wznosi się na kilkaset metrów w górę. Było kilka nalotów. Dziś spotkałyśmy Zbyszka Jurczyńskiego, który opowiadał nam swoje okropne przygody. Spodziewamy się gorącej nocy.

20 września. Lwów. Wczoraj jak zwykle stałyśmy w ogonkach za żywnością. Wieczorem, wracając od stryjostwa, spotkałam się na ulicy z granatem niemieckim. Wybuch przeraził mnie i ogłuszył, wlałam do jakiegoś żydowskiego schronu, gdzie przesiedziałam czas pewien. W nocy słuchamy apelu narodu brytyjskiego do mieszkańców Warszawy. Dziś rano Niemcy wezwali Lwów do poddania. Nasi odmówili. Przez radio wzywano ludność do chowania się po schronach. Po ulicy wolno chodzić tylko w ostateczności; o godz. 1 odezwała się ciężka artyleria niemiecka. Dom się trzęsie, szyby dźwięczą, siedzimy wszyscy w holu. Trochę się modlimy, trochę czytam. Czas się dłuży. Czołgi sowieckie były już pod miastem, po konszachtach z Niemcami cofnęły się na wschód. Głowa mnie boli z huku.

21 września. Od wczoraj jesteśmy bez światła, umilkło więc radio, nasz ostatni łącznik ze światem. W nocy trwała szalona kanonada, armaty nasze i niemieckie, karabiny maszynowe, a nawet ręczne. Pozostałyśmy w łóżkach, tuląc głowy pod poduszki, aby nie słyszeć gwizdów pocisków, które całymi stadami przelatują nad domem. Wczoraj był tu Tadeusz, miał wrażenie, że przyszedł na front, w mieście bowiem jest dużo spokojniej. Teraz godzina 7 rano, trochę ciszej. Na ulicy wznoszą nowe barykady. Ostatnie wiadomości radiowe były dość dobre. Warszawa trzyma się ciągle. Chamberlain oświadczył Niemcom: „Słowa waszego Führera są mniej warte niż papier, na którym są one napisane!” Zginął bohaterską śmiercią ppor. Batowski, któremu tyle zawdzięczamy!

22 września, Lwów. Wczoraj od rana panowała przygnębiająca cisza. Krążyły pogłoski, że miasto poddaje się bolszewikom. Około południa byłam w mieście. Ruch wielki, otwarte sklepy i magazyny wojskowe. Około 3. Lilly poszła do miasta po bekony a my z Nitką na Targi Wschodnie, gdzie podobno rozdawali wszystko z magazynów wojskowych. Gromadził się tłum, ale nie było żadnego rozdawania. Po prostu motłoch rozbijał, co się dało, i rabował. Papierosy zaścilały ziemię, kasza, groch i pszenica, pomieszczone, leżały stosami. Zrobiło nam się wstyd tego tłumy, tego rozboju i uciekłyśmy. Strzelano do nas z armat i karabinów maszynowych. Pędziłyśmy na dół, co sił w nogach. Kto strzelał, nie wiem. W godzinę później na ulicy pojawiły się 4 czołgi sowieckie potwornej wielkości. Szukały sobie przejścia wśród barykad. Potem pojawiła się czerwona piechota. Nasi żołnierze, którzy bez broni tłumnie idą ku rogatce stryjskiej, podnosili ręce w górę, podczas gdy tamci przykładali im rewolwery do piersi. Po rewizji puszczano ich wolno. Co za straszne upokorzenie! Wielu

naszych płakało z bezsilnej wściekłości. Z miasta przysła Lilly bardzo roztrzęsiona. Opowiada, że jakiś cywil strzelił do czołgu czerwonego, w odpowiedzi czerwony rzucił granat w tłum stojący na ulicy i zrobił marmoladę. Lilly deptała po mózgach ludzkich. Wieczór nie wychodziłyśmy z domu. Z miasta dochodziły strzały karabinowe i dzikie wrzaski. O zmroku zjawił się mjr Pawłowski w cywilu. Rozbrojono ich w Brzuchowicach i puszczono wolno, jedynie Sosnowskiego aresztowano i wywieziono. Poniszczyli trochę broni i poszli nasi do domów.

27 października, Lwów. Przeszło miesiąc już nie pisałam, gdyż skończyły się na razie przygody wojenne, a zaczęło ciężkie życie pod obcą okupacją. Wciąż mieszkamy u kochanej Gizeli, która dba o nas jak matka. Tryb życia dosyć monotony – myśli skierowane wyłącznie na 2 tory: 1) skąd zdobyć jedzenie. 2) kiedy pozwolą nam wracać do swoich. Z jedzeniem, mimo iż nie cierpimy głodu, jest kiepsko. Brak cukru, soli i mąki. Wszyscy też skarżą się na brak opału. Co do powrotu, to odwleka się on w nieskończoność. Mówi się: „już we czwartek otworzą granicę”! Wszyscy ci biedni tułacze, cierpiący głód i chłód marzą o powrocie jak o zbawieniu. We czwartek granica pozostaje zamknięta. Może za tydzień! I ta nadzieja zawodzi. Może po pierwszym? Może już jutro. Wszyscy łudzą się wciąż, wciąż trwają i czekają powrotu.

Wśród tego spotkała mnie wielka radość. Ómega b. m. spotkałam się z Tatusiem. Był z chłopcami w Chmielowej, skąd chłopcy zwali do Rumunii. Tatuś miał ciężkie przejścia. Wypędzono ich z domu, 2 tygodnie wraz z wujem Adamem mieszkali w chałupce na wsi, gdzie Wuj pozostał, podczas gdy Tatuś przyjechał tutaj, bardzo mizerny, bez rzeczy! Teraz rażniej nam razem i wciąż marzymy, że będziemy mogli wrócić do swoich śmieci.

Czerwona Armia zachowuje się b. dobrze, nikomu krzywdy nie robią i nie dali tłuszczy rabować.

31 października, Lwów. Wczoraj byliśmy z Renią w Przemyślu. 3 godziny jazdy w tłoku i zaduchu (wszyscy palą machorkę!). Po drodze wszędzie obraz zniszczenia. Stacje zrównane z ziemią, szkielety wagonów tworzą szpalery na bocznych torach. W Przemyślu na stacji obozuje tłum uchodźców, na widok którego ściska się każde serce. Na ziemi, na kufrach i pakach leżą pokotem dzieci, od niemowląt począwszy, o zielono-szarych twarzyczkach, o biednych, tępych oczach zadreńczonych na śmierć zwierzątek. Każdej doby umiera ich po kilkoro, cicho, bez łez i jęku, gdyż na to brak im już sił. Przemyśl przepełniony uchodźcami, wiele domów spalonych lub zburzonych. Od stacji kierujemy swe kroki za tłumem, który podąża w jednym kierunku. Dochodzimy na wiadukt kolejowy, z którego blisko (a jednak tak daleko!) widać most na Sanie i drugi brzeg. Tysiące ludzi zmarzniętych i głodnych patrzy urzeczonym wzrokiem na ten brzeg, gdzie chodzą warty niemieckie, i łyzy spływają z wszystkich oczu. O straszne przeznaczenie, które każe nam wszystkim patrzeć z niewysłowioną

tęsknotą na żołnierzy niemieckich! Bo oni chodzą tam po naszej ziemi, po naszej ojczyźnie! Uchodźców nie przepuszczają na drugi brzeg, więc z niczym wracamy do Lwowa. W pociągu tłumy żydowskich „bieżeńców” z tamtej strony. Podczas gdy mrok szybko pochłania nieoświetlone wagony, płynie z ciemności opowieść o rzeczach, które każą tym tysiącom wyklętych skakać w San i wśród gradu kul uciekać tu, do raju! Zimny pot mnie oblewa. Czy to Europa, wiek XX, czy sen?

11 listopada, Lwów. Siedzimy wciąż we Lwowie. Granica była otwarta przez parę dni, ale z powodu tłoku stryjostwo i ojciec bali się jechać. Teraz granica zamknięta, sytuacja beznadziejna, nudy... Dobrze powiedział Chesterton: „największą wadą komunizmu jest to, że jest nudny”. Beznadziejne życie, ogonki za najmniejszym drobiazgiem, ceny bajeczne, kilo masła 22 zł!, kg szmalcu 27 zł! Nędza i brud. Jedyna pociecha naszego życia to radio. Słuchamy z natężeniem, co dzień z nadzieją na coś lepszego, a tymczasem sytuacja bez zmian. Front zachodni spokojny, dyplomacja ożywiona. Nie zanosí się na żadne wypadki. Rozpacz! Dziś święto narodowe!... Śpiewaliśmy Boże coś Polskę w kościele i łzy dławiły nam głos. Jak smutno!

Z Drogini był list od Heli. Siedzą tam obie z Ludką i dzieciakami. Emma jest tam także. Niemiecki zarząd przymusowy. Jędrak ranny w Łodzi. Podobno przestrelone ma płuco. Brak jeszcze wieści od Hani i Wojtka. Warszawa podobno przedstawia widok tragiczny.

1 grudnia 1939 r. Doczekaliśmy więc tutaj grudnia i wciąż jeszcze nie wiadomo, czy będziemy mogli wrócić do domu. Zresztą, zdaje się, nie ma do czego się spieszyć. Wieści biegnące zza kordonu nie są zbyt pocieszające. Tu przynajmniej mamy radio, przez które z natężeniem śledzimy bieg wypadków: Wojna morska za pomocą min i ubotów, wojna powietrzna, upadek, tak tragiczny, Finlandii, wreszcie montowanie przez sprzymierzonych olbrzymiej armady zbrojnej. Mimo „maglowania” najchętniej i najgorliwiej słuchamy polskich komunikatów z Londynu i Paryża. O pracę bardzo trudno. Mimo postanowień stalinowskiej konstytucji, że „każdy obywatel ma prawo do pracy” praca jest tylko dla Ukraińców – komunistów i jewrejów. Polacy na szarym końcu, czemu nie można się dziwić, gdyż my robiliśmy i będziemy robić wprost odwrotnie. Gizela przystąpiła do kooperatywy trykotarskiej, a my z Lilly wciąż robimy na drutach dla Ka – Ri – Bi. Mimo iż jest nas 11 osób w trzech pokojach, wciąż grożą nam wyrzuceniem z mieszkania, nie pomagają żadne bumagi czy orderzy.

15 marca 1940. Rejestracja uchodźców ...po raz który! Stryjostwo leżą oboje. Kartka od Heleny.

17 marca. Niedziela Palmowa! Śnieg pada – zawieja. Wein... [?] rozsiewa plotki o przybyciu komisji niemieckiej.

18 marca. O 2. rano do ogonka rejestracji... Mróz -10°. Dziś Nitka rozmawia z Mussel. Wells czeka....

31 marca 1940. Dziś znów -7⁰! Święta przeszły w dość pogodnym nastroju. Ceny na artykuły spożywcze znacznie się obniżyły. Słonina 35-40 R., jaja po 50 kop. Jemy trochę lepiej.

W tym kraju życie byłoby nadzwyczaj monotonne, gdyby nie niespodzianki jak np. rejestracja, paszporty, wykwaterowania.

4 kwietnia 1940r. „Co słyszać? Dzięki Bogu nic!” Bo jeżeli już coś się dzieje, to nigdy nic dobrego. Rozpaczliwy brak pieniędzy. Nadal bezskutecznie biegamy za pracą. Wczoraj byliśmy w ogrodach miejskich i w szpitalu.

10 kwietnia. Wstrząsające wieści z teatru wojny. Niemcy wkroczyli do Danii i Norwegii. Trwa bitwa morska. Jesteśmy podnieceni i nie odchodzimy od radia.

14 kwietnia. Dzień wczorajszy był jak zmora. Wysiedlono tysiące mieszkańców Lwowa. O 6. rano obudził nas dzwonek i 5 żołnierzy z pikami po Gizelę, Lilly i małą Renię. Godzina czasu na spakowanie, poczym załadowano je na ciężarówkę. Oślepiłymi od łez oczami wyglądaliśmy na ulicę, którą mknęły auta wypełnione wysiedlonymi. Tysiące tych nieszczęśliwych starych, chorych, dzieci, niemowlęta wleczono pod pikami na tułaczkę. Co chwila ktoś dzwonił cicho i stłumione szeptem „Wzięli panią O. – ma zapalenie płuc. Teraz w sąsiedniej kamienicy – I u nas już byli”...

Do południa trwało to dantejskie widowisko. Ludzie chodzą jak błędni i płaczą na ulicach jak dzieci... Lilly biedna! Dziś już cicho, ale wszyscy są załamani. Z frontu dobre wieści.

24 kwietnia. Wyrzucili mnie z mieszkania.

List Lilly Sławikowskiej do Haliny i Erwina Sławikowskich

[Zachowuję oryginalną *ciocinoliliną* polszczyznę]

Semipalatynsk, Delegacka 2
8.X.1945

Kochani! Mialiśmy już wczoraj do Was napisać – myśleliśmy o urodzinach Erwina, ale Teresa miała gości, więc nie bardzo było gdzie pisać. Taką radość mialiśmy z Waszego listu z 7 maja. Wiemy teraz ile lat Elżunia ma – ale bardzo nam żal, że nie było jej fotografii. Mimo prostych włosów i tak mam wrażenie, że jest śliczna i bardzo grzeczna i tak nam tęskno za nią – tak bardzo byśmy chcieli ją zobaczyć. A tu tak mało jest nadziei, choć w radio obiecują powrotu – ale przecież już od 5 lat jedzimy – to do Petrogradu, to do Anglii (mialiśmy dwa razy polski paszport z wizami angielskimi i irańskimi) – widocznie tak nas tu lubią, że za żadną cenę nie chcą stąd puścić. Z największym strachem myślimi o zimą. Kochani napiszcie do Imrebáci i do Bubus, może oni by mogli nas do siebie ciągnąć przez poselstwo Polski czy w Belgradzie lub w Haadze. Z Moskwy wielu polsce żydzi wyjechali zagranicą. Najchętniej do Bubus bym jechała bo w Polsce jest podobne klimat jak tu a już mam ochotę na inną temperaturę. Dobra Terka Bzowska, która się okazała najlepszą naszą przyjaciółką, też robiła starania, ale wszystko na nic – stąd trudno się wydostać. Może ojciec przez ministra Kiernika by mógł co robić. Jesteśmy obiedwie z Gizelą b. przepracowani i więcej jak chude. Terenia dobrze wygląda – jest jej lepiej jak wielu innem polskim dzieciom, staramy się we dwie o niej i to nam trudno, co dopiero jak jedna matka troje dzieci ma na utrzymaniu. Ma teraz prywatne lekcje z matematyki – pozatym nauka jej dobrze idzie – tylko martwimy się, że nie chce się uczyć języki. Jest ładna dziewczynka – prawdzie mała na swój wiek. Nosi już „biusthalter” – w ogóle jest b. próżna i lubi siedzieć przed lustrem. Potrafi być przemila – tylko niestety jest nieopanowana i ma straszne humory. Od Bronka mamy czasami telegrame. Niestety żadne paczki, które tak bardzo by ułatwili nam życie. Nie wiem dlaczego ani Irena ani Turek nic nie piszą. A tak tęsknię, aby coś więcej o rodzinie wiedzieć. Biedny Geniu – z takim bólem w sercu o nim myślę. Co z Piroską słyhać i wogole

w Petrovgradzie? Jak tylko krasna armia do Was się zbliżała jedną kartkę za drugą do Was pisałam – tak b. o Was się trałam – biedni Twoje rodzice, co oni też przeżywają – cale szczęście, że to małość jest. Tak bym chciała więcej o Was wiedzieć, jak to wszystko było, gdzie Erwin był itd. Co z Beischerami i jej siostrami Stoller u których Gizela swoje rzeczy miała – czy choć coś uratowali? Żal mnie też te biedne ciotki z Żeroławic. A jak Wam się tam powodzi. Może i najlepsze zajęcie wymyślaliście, czy Halinka też musi pracować – może o ogrodnictwie masz wykład. Kto tam mieszkał w Waszej szkole? Żal nam biedną ciocię Rittnerową – też smutne zakończenie życia. Co tam z koleżankami Halinki słyszeć, z Litką itd. Gdzie Irena mieszka? Terenia kilka razy pisała do Tureczka na ul. Garnarską ale kartka wróciła jedna, że tam takich nie ma. Co też z Karpińskimi i resztą rodziną Ireny, z Merką itd.? Żal mnie biednego Leszka Romera. Co z Tonką Hulimkową. Podziwiam pismo ojca, że ręce mu się nie cięszą. Boję się tylko że teraz ojcu będzie b. ciężko. Z czego Windakiewiczowa żyje? Tak się rozpisałam. Co z Janką Marynowską? Był tu jej kuzyn ks. Fedorowicz, przemiły człowiek – przez niego też Wam pisałam, raczej nie mógł się z Wami komunikować. Właściwie gdzie Wy byliście zaraz przy zmianie gospodarzy. Co z braćmi Twojej matki słyszeć – czy wszyscy w Tomaszowie?

Całuję Was z całego serca zwłaszcza tę małą Elżunię

Wasza Lilly

Fragmenty notatek Karola (Karcsi) Sławikowskiego, przebywającego w Wojsku Polskim w Wielkiej Brytanii

[Wybieram fragmenty notatek dotyczące poszukiwania rozproszonych przez wojnę członków rodziny oraz docierające do W. Brytanii informacje – często błędne – o deportacjach i zbrodni katyńskiej. Ciekawostką jest, że pierwsze informacje o miejscu pobytu siostr i ojca otrzymał Karol Sławikowski od Imre Várady, brata matki (po węgiersku Imrebácsi – wuj Imre), adwokata, polityka, reprezentanta mniejszości węgierskiej w Serbii, mieszkającego w Petrograd – dawna nazwa, używana przez rodzinę: (Nagy-)Becserek.]

- 12 VIII 1940: [...] Popołudniu. Nadałem depeszę do Imreb.: „Am well stop What news.”
- 15 VIII 1940: [...] Imrebáci telegrafuje, że Gizus, Lilly i Renia są w Azji, Ojciec w Bochni. Nic więcej – widocznie nie mógł więcej.
- 18 XII 1940: Nadałem depeszę do Imreb.: „Best X-mas wishes. What news. Where is Giza.”
- 27 XII 1940: [...] Odpowiedzi jeszcze nie ma, ani z Becskerek ani od Bronka.
- 30 XII 1940: List od Bronka. Więc on miał wiadomość od Imreb. z 6.XI, że Gizusia i Renia mają się dobrze, oraz, że ma nadzieję, że tam przyjadą.
- 24 I 1941: O godz. 10 pojechałem autobusem przez Kely do Bridge of Earn [...] W międzyczasie szukałem także Bronka w jego biurze w innym gmachu. [...] Serdecznie się przywitaliśmy. Wygląda bardzo dobrze. Nie ma nadziei, by Gizusia mogła pojechać do Becskerek, jeżeli się znajduje w Azji. [...]
- 16 III 1941: [...] Najważniejsza wiadomość: Broniek otrzymał na koniec stycznia z Becskerek depeszę z adresem Gizusi.
- 18 XI 1941: [...] Z P.C.K. dostałem kartkę, że poszukują Gienka [...]
- 4 XII 1941: [...] na korytarzu spotkałem wychodzącego właśnie Bronka. [...] Powiedział mi, że [...] dostał depeszę od znajomego z Ambasady w Moskwie, że Gizusia jednak jest jeszcze w Kazachstanie koło Semipałatyńska; już wysłał tam depeszę, ale odpowiedzi jeszcze nie ma. [...]
- 25 II 1942: Z korespondencji Bronka z Biurem dla Spraw Rodzin Wojskowych dowiedziałem się, że Gizusia przebywa w Urdżarsk, 38 Krasnoarmejska. Broniek przekazuje jej Ł.10,- miesięcznie. – Co z Lilly? O Gienku nic – – [...]

- 4 III 1942: Był list od Bronka. Ma już pośredni kontakt z Gizusią. Poczynił nawet kroki, by ewent. mogła tu przyjechać. Sam jest chwilowo w Monifieth. [...]
- 10 IV 1942: [...] W „Dz. P.” był artykuł o życiu w Kozielsku, w obozie jeńców wojennych. Z początku uspokoił mnie trochę, co do losu Gienka: były tam odczyty, kursy itd., mogli korespondować z rodzinami na wygnaniu. Ale nic tam nie było o tym, jaki los następnie ich spotkał.
- 11 IV 1942: Popołudniu. Był w domu list od Bronka [...] Wizy brytyjskie dla Gizeli i Tereski ju poszły, a dla Lilly są w drodze. [...]
- 11 V 1942: [...] Znowu próbowałem telefonować do Bronka i tym razem z powodzeniem. Dostał list z Rosji, ale starszy od poprzednich, z dość smutnymi wiadomościami.
- 13 VII 1942: [...] Rano był list od Bronka, dość pogodny. Jest teraz wykładowcą na W.S.W. Miał depeszę od Gizusi z Semipałatyńska, gdzie czekają na paszporty. [...]
- 19 VIII 1942: [...] Na kolacji był ksiądz-major, który opowiadał parę rzeczy o Rosji, m.in., że około 8 000 oficerów polskich znikło! Obozy z Kozielska i Starobielska zostały wysłane na Wyspę Nowąją Zemię, ale są pogłoski, że była taka burza, że wszyscy utonęli. Nie chce mi się w to wierzyć!
- 10 XII 1942: [...] Nowy kapitan lotnik powiedział w czasie kolacji, że był w obozie w Kozielsku, ale nie od początku. Tych, którzy od początku tam byli, około maja 1940 r. wywieziono stamtąd w nieznanym kierunku i ich dotychczas nie ma. Było ich 5 000. [...]
- 15 XII 1942: W biurze był okólnik I Korp. w sprawie ewakuacji rodzin wojskowych z Rosji, do czego nawet zachęcają. Wnioskuje z tego, że prospekty ewakuacji Gیزی i Lilly są dobre, jeżeli jeszcze nie wyjechały, i cieszę się z tego.
- 26 IV 1943: [...] Wieczorem wszyscy byliśmy pod wrażeniem komunikatu, iż rząd sowiecki zerwał stosunki dyplomatyczne z Rządem Polskim. [...]
- 23 III 1944: [...] Znowu pieszo wróciłem do Kirkcaldy. Noc ciemna, ponura. Na długiej drodze żywej duszy nie spotkałem. Idąc szybkim krokiem 1½ godziny myślałem o różnych rzeczach, przede wszystkim o losie naszej rodziny. Obawy i nadzieje. Obawy duże – ale są nadzieje. Obawy bardzo duże, szczególnie co do losu Gienka, ale – to nie może być! – jest nadzieja. A gdy wszedłem do pokoju, czekał tam na mnie list Bronka. Pyta się, czy wiem, że Gienek nie żyje. Wymieniony dwukrotnie na liście katyńskiej, zidentyfikowany bez wszelkiej wątpliwości. Nastrój żałobny. Ale nie po raz pierwszy. Miałem już obawy, gdy Imrebaci w depeszy wymienili Ojca, Gizusię i Lilly, oraz Reniusię, ale nie wymienili Gienka. Byłem w żałobnym nastroju, gdy jakiś ksiądz w Edynburghu opowiadał, że ten obóz został „wyewakuowany” na jakimś statku do Nowąją Zemię, a po drodze ten statek zatonął. I znowu słyszałem później od innych, że ten obóz „przepadł”, że ich nie można odnaleźć. Byłem w żałobnym

nastroju, gdy po raz pierwszy ogłoszono o odkryciu Niemców. I potem, gdy gazety przedrukowały „komunikat” sowiecki. –
Ale została jeszcze nadzieja. Przecież to niemożliwe!

A jednak stało się!

7 II 1945: Śniła mi się Gizusia. Tylko ją widziałem. [...] Po powrocie zastałem w domu list Bronka. Miał dwie depesze od Gizusi ostatnio.

23 XII 1945: [...] gdy tak leżałem przy piecu, tak przyjemnie, ciepło było, wciąż myślałem o rodzinie, o wszystkich miłych i o tym, że tak nic nie wiem o ich losie, że nie mogę się z nimi skomunikować.

29 III 1946: Rano dostałem odpowiedź Bronka na mój list z dobrymi – na ogół – informacjami o rodzinie.

3 IX 1946: Śnił mi się Erwin i że list dostałem od niego.

4 IX 1946: List i kartka od Ojca, pierwsze od kilku lat. Informacje o wszystkich. Ciągłe je czytam.

Indeks osób

Opracowała: Elżbieta Sławikowska

- Ackermann Adam, inż., brat Ireny Sławikowskiej 62, 63
Ackermann Irena (zob. Sławikowska Irena)
Ackermann Jadwiga (1901-1985), prof. med. 62
Ajdukiewicz Tadeusz (1852-1916), malarz 39
Anders Władysław (1892-1970 w Londynie), generał WP 80, 92
Andrassy Gyula mł. (1860-1929), hr., minister Austro-Węgier 19
Antoinette, zakonnica 27
Artaker Wilhelm, pracodawca autorki 9, 35
Apponyi Albert (1846-1933), hr., węgierski polityk 19

Badylak Walenty, drugi mąż Ireny I-voto Sławikowskiej 109
Balon Karol 136, 137
Batlogg Veronika, koleżanka Elżbiety Sławikowskiej 52
Batowski, ppor. 141
Bazin René, pisarz francuski
Bäkierówna Irenka, koleżanka autorki z liceum Urszulanek w Krakowie 54 (ilustr.)
Beer, prof. 15, 114
Berling Zygmunt (1896-1980), generał WP 92
Beischerowie, przyjaciele Haliny i Erwina Sławikowskich 90, 146
Bełdowska (Werner) Zofia, koleżanka autorki z liceum Urszulanek w Krakowie 54 (ilustr.) 55
Bełdowski Władysław 58
Bialek, biskup połowy c.k.armii 50
Bielska Marysia (?), koleżanka autorki z liceum Urszulanek w Krakowie 54 (ilustr.)
Bielska, sekretarka ambasadora Norwegii 105
Bieńkowska Jaga, koleżanka autorki z liceum Urszulanek w Krakowie 54 (ilustr.)
Bobrowscy 60
Brzezińska Lidka 81
Burghardt, dozorca domu w Wiedniu 45
Burghardt Poldi, syn dozorczy 49
Bzowscy z Żerosławic 68, 77, 139
Bzowska Anna (1922-2000) z d. Łaszczyńska, córka Witolda i Janiny z d. Romer, żona Adama Kazimierza 132
Bzowska Antonina (1814?-1884), z d. Żuławska, prababcia autorki 15
Bzowska Emilia z d. Oraczewska (1838-1913), córka Aleksandra i Heleny z d. Romer, żona Adama 68, 68 (ilustr.)
Bzowska (Janota) Anna (1904-1947), zakonnica sercanka 143
Bzowska (Janota) Maria (1913-1999), autorka dziennika okupacyjnego 81, 139

- Bzowska Maria z d. Marynowska (1879-1952), żona Kazimierza Feliksa, „ciocia Mania” 68 (ilustr.), 69, 130, 137
- Bzowska Maria (1866-1953), siostra Kazimierza Feliksa, „ciocia Masia” 68 (ilustr.), 69, 78, 130
- Bzowska (Janota) Teresa „Terka” (1900-1957), zakonnica w Wilnie 145
- Bzowska, zakonnica salezjanka w Krakowie 103
- Bzowska (Janota) Wanda z d. Romer (1878-1938), żona Kazimierza z Drogini 139
- Bzowska Zofia (1903-1986), córka Kazimierza Feliksa i Marii z d. Marynowskiej 58, 68 (ilustr.), 72, 78, 130
- Bzowski (Janota) Kazimierz (1864-1946), ostatni właściciel Drogini 76 (ilustr.), 139
- Bzowski (Janota) Władysław (1885-1945) 71
- Bzowski Adam (1829-?) 68 (ilustr.), 139
- Bzowski Adam Kazimierz (1910-1967), syn Kazimierza Feliksa i Marii z d. Marynowskiej, ostatni właściciel Żerosławic 58, 68 (ilustr.), 78, 135, 136, 137, 139
- Bzowski Feliks 15,
- Bzowski Kazimierz Feliks (1867-1921), syn Adama i Emilii z d. Oraczewskiej 68, 68 (ilustr.), 69, 78
- Bzowski Krzysztof, syn Adama Kazimierza i Anny z Łaszczyńskich 136, 137, 138
- Chamberlain (Arthur) Neville (1869-1940), premier W. Brytanii 141
- Chłędowski Kazimierz (1843-1920), minister ds. Galicji, pamiętnikarz 111, 114, 123
- Chojecki Maksymilian, płk 58
- Cieszyńska (?), generałowa 100, 101
- Conrad-Eybisfeld, baron 43, 107, 108
- Csanda János, ordynans 18
- Czarnecka Zosia, koleżanka autorki z liceum Urszulanek w Krakowie 54 (ilustr.)
- Czczcottówna Oleńka, koleżanka autorki z liceum Urszulanek w Krakowie 54 (ilustr.)
- Czedekowski Bolesław Jan (1885-1969), malarz 65
- Czerlunerakiewicz Olga, koleżanka autorki z liceum Urszulanek w Krakowie 54 (ilustr.)
- Czupryniewierówna(?) Badzia(?), koleżanka autorki z liceum Urszulanek w Krakowie 54 (ilustr.)
- Czuskiewicz Janka, koleżanka autorki z liceum Urszulanek w Krakowie 54 (ilustr.)
- Daikslar Tomasz 118 (ilustr.), 121 (ilustr.)
- Demmel, cukiernik w Wiedniu 45
- Dienstl Amalie, zob. Putz Amalie
- Dmowski Roman (1864-1939) polityk, publicysta, ideolog endecji 110
- Dudzikowska z d. Charzewska 42, 57, 130
- Egger-Lienz Albin (1868-1926), malarz w Wiedniu 40, 41 (ilustr.)
- Elżbieta (1837-1898), cesarzowa Austro-Węgier, żona Franciszka Józefa I 25
- Enwer Pasza (1881-1922) głównodowodzący armią turecką w I wojnie światowej 24
- d’Erceville’a Eduard, hr. płk 58
- Eugeniusz (Sabaudzki), książę (po niem. Prinz Eugen) (1663-1736) wybitny dowódca armii austriackiej 34
- Fałat Julian (1853-1929) malarz 39
- Fas Fela, deportowana Żydówka 99
- Fedorowicz Tadeusz (1907-2002), ksiądz, duszpasterz w Zakładzie dla Ociemniałych w Laskach 24, 98, 146
- Fiałkówna(?) Nela, koleżanka autorki z liceum Urszulanek w Krakowie 54 (ilustr.)

Fischer von Erlach Johann Bernard (1656-1723) wybitny architekt austriacki 34
 Fischerowie z córką Marylą, deportowani razem z autorką 92
 Floriański 53
 Fonferko Eugenia z d. Ackermann, siostra Ireny Sławikowskiej 62
 Franciszek Józef I, zob. Habsburg Franciszek Józef I
 Franciszek Ferdynand Habsburg, zob. Habsburg Franciszek Ferdynand
 Fryderyk Habsburg, zob.

Gall, baronowa 56
 Galosi Eva, dr, pracownica Biblioteki Narodowej w Wiedniu 5, 13
 Gayer von Ehrenberg Emma z d. Iwańska von Iwanina, „ciocia Emi” 33, 34, 120
 Gayer von Ehrenberg Adolf, baron, „wujek Adolf” 33, 37
 Gayer von Ehrenberg Erna, córka Adolfa i Emmy 37
 Gayer von Ehrenberg Olga, córka Adolfa i Emmy 34, 37
 Gayrowie (Adolf i Emma) 37
 Gertruda, wychowawczyni Olgi i Erny Gayer von Ehrenberg 34, 37
 Girardi, aktor 39
 Głazewski, dyr. banku 53
 Gomułka Władysław (1905-1982), polityk, w latach 1956-1970 I sekretarz KC PZPR 128
 Gostischa Anie, koleżanka autorki 46
 Gostischa Elly, koleżanka autorki 46
 Górecki, matka, syn i córka, deportowani razem z autorką 83, 88, 90, 92
 Gränvold, ambasador Norwegii 106
 Grodkowska (Grabkowska?) Nina, koleżanka autorki z liceum Urszulanek w Krakowie 54 (ilustr.)
 Grosskopfowie, babcia, synowe Karolina i Ewa, wnuk Józio i wnukowie bliźniacy Aluś i Noluś, deportowani razem z autorką 83, 85, 88, 90, 91, 94, 97

Grottger Artur (1837-1867), malarz 15
 Gustaw VI Adolf Bernadotte (1882-1973), król Szwecji 65
 Gużkowska, siostra „cioci Mani” 69
 Gużkowska Felusia, zob. Michelis-Ostaszewska Felicja
 Gustibácsi (wuj Gusti – brak nazwiska) 24, 32

Habsburg Franciszek Józef I (1830-1916), cesarz Austro-Węgier 19, 49
 Habsburg Franciszek Ferdynand (1863-1914), arcyksiążę zastrzelony w Sarajewie 45
 Habsburg Fryderyk (1856-1936), książę cieszyński 20
 Habsburg Karol I (1887-1922), ostatni (w latach 1916-1918) cesarz Austro-Węgier 49, 50
 Habsburg Otto (1912-2011), najstarszy syn cesarza Karola I i cesarzowej Zyty 25
 Habsburg Rudolf (1858-1889), arcyksiążę, syn Franciszka Józefa I i cesarzowej Elżbiety 47
 Habsburg Stefan 1860-1933), arcyksiążę, właściciel Żywca
 Habsburg Zyta z d. Burbon-Parmeńska, zob. Zyta cesarzowa
 Haller Józef (1873-1960), generał WP 57
 Hausmann (Hansmann?) deportowana rodzina żydowska 100
 Heideger, dr 18
 Héklai Paul (Pali) 66
 Hela, ciotka-rezydentka w Żerosławicach (prawdopodobnie Helena Oraczewska (1849-1928), córka Aleksandra i Heleny z Romerów 78
 Heller Wenzel Josef, kapelmistrz i kompozytor 33, 44, 47
 Hitler Adolf (1889-1945) kanclerz Rzeszy 97
 Hochschartner Ernest, malarz 18
 Hom(m)e Elżbieta Teresa (Therese) z d. Sławikowska 114, 120, 124

- Hom(m)e Johann, burmistrz Lwowa w XIX w.
- Horthy Miklós (1868-1957), admirał, regent Węgier 24
- Hulimka Aleksander 44
- Hulimka Teodor 44
- Hulimka-Lamich Tonka, zob. Lamich Tonka
- Ilja, ordynans 27
- Jagminówna Stefania, siostra urszulan-ka, wychowawczyni, nauczycielka matematyki i fizyki 54 (ilustr.)
- Janota Bzowsky z Drogini (zob. pod literą „B”) 76
- Järnefeld (Jännefeld?), ambasador Finlandii 105
- Jezierscy 81
- Jędrzejowska Jadwiga (1912-1980), mistrzyni Polski w tenisie, finalistka Wimbledonu 65
- Julcia, służąca Dudzikowskiej 57
- Julka, służąca Gizeli Maszłankowej 80, 81
- Jurczyński Zbyszek 141
- Karadiordziewicz Paweł (1893-1976) regent Królestwa Serbii, Chorwacji i Słowenii 19
- Karol I Habsburg, zob. Habsburg Karol I
- Karpińska Janina z d. Ackermann, siostra Ireny Sławikowskiej 62, 79, 146
- Kasal (Kassal?), babcia, córka i troje dzieci deportowani razem z autorką 83, 91
- Katinéni, kucharka 27
- Kiernik Władysław (1879-1971), polityk, minister w II RP 145
- Kijanowskie, matka i dwie córki, deportowane razem z autorką 83, 88, 92
- Kilian Jan 114
- Kniaziołucki Seweryn (1853-1913) dyr. departamentu w Ministerstwie Skarbu w Wiedniu 39
- Kochanowska(?) Irena, koleżanka autorki z liceum Urszulanek w Krakowie 54 (ilustr.)
- Kolhet (Kolcheb?), matka i córka, deportowane razem z autorką 83, 84, 85, 88
- Komierowska Maria „Komar” koleżanka autorki z liceum Urszulanek w Krakowie 54 (ilustr.)
- Korytowski Witold (1850-1923), minister Skarbu Austro-Węgier 1906-1908, namiestnik Galicji 39
- Kopański Stanisław (1895 -1976 w Londynie), generał WP 58
- Kossuth Franz, syn Lajosa 19
- Kossuth Lajos (1802-1894), przywódca powstania węgierskiego z 1848 r. 15, 16
- Krautwald (von Annau) Ernest, „papa Ernstl”, płk.c.k.armii, płk WP, przyjaciel Sławikowskich 59, 60, 61
- Krautwald (von Annau) Ernest, syn płk Ernesta Krautwalda, kpt 60
- Krautwald von Annau Joseph, baron, generał c.k. armii 32, 59
- Krautwald (von Annau) Józef, syn płk Ernesta Krautwalda, płk. 60
- Krzyszkowski, adiutant pułku 71
- Kruszyński Tadeusz, ks. prof. UJ 58, 61, 63
- Krystian, nauczyciel gimnazjum w Nagy-Becskerek 20
- Kublim (Kinblein? Kublien?, Kublin? Kurblein?) matka i syn, deportowani razem z autorką 84, 88, 92
- Kucińska Irena 97
- Kuciński Janusz 97
- Kun (Kohn) Béla (1886-1938), komunistą węgierski, w 1919 przywódca Węgierskiej Republiki Rad 24, 26, 53
- Kulczyccy 81
- Kulczyńska Maria z d. Lang 103
- Kulczyński Stanisław (1895-1975), biolog, prof., rektor uniwersytetu we Lwowie a po wojnie we Wrocławiu 103
- Kunachowicz Helena z d. (Janota) Bzowska (1897-1970) 143

- Kuropieska Józef (1904-1998), generał WP 58
- Kustroń Helena, koleżanka szkolna Gizeli Maszlankowej 25
- Lacom Zora(?) 35
- Lahodynsky, drugi mąż Xenii Putz 35
- Lamich Mania 42
- Lamich Paula, po mężu Zacharias 42, 43, 43 (ilustr.)
- Lamich Tonka, po mężu Hulimka 42, 43, 43 (ilustr.), 44, 80, 139, 146
- Lamichowie 37, 42, 43
- Lanckorońska Karolina (Karla)(1898-2002) hr., naukowiec, żołnierz AK, współzałożycielka Polskiego Instytutu Historycznego, ofiarodawczyni kolekcji dzieł sztuki do polskich muzeów 39
- Lanckoroński Karol, hr. (1848-1933), ojciec Karoliny, historyk sztuki, kolekcjoner 39
- Lanckoroński Antoni, hr., przyrodni brat Karoliny, 40
- Langer Władysław (1896-1972), generał WP, w 1939 dowódca obrony Lwowa 80
- Lauda Emma 65
- Lauda Niki 65
- Leder, dr 97
- Lehman (?) biskup w Nagy-Becskerek 21
- Lenartowski Peter (Piotr) Linhardt 66
- Lorenz Gerda, koleżanka szkolna Gizeli Maszlankowej 25
- Lubomirski Eugeniusz, książę 79
- Łaszczyńska Janina z d. Romer, teściowa Adama Kazimierza Bzowskiego 132, 136, 137, 138, 139
- Łaszczyński Witold, teść Adama Kazimierza Bzowskiego 132
- Maixner, generał 32
- Majewski Kazimierz, prof. UJ, okulista 62
- Makowska Mafa(?), koleżanka autorki z liceum Urszulanek w Krakowie 54 (ilustr.)
- Maksymowicz 16
- Mańkowska Musia(?), koleżanka autorki z liceum Urszulanek w Krakowie 54 (ilustr.)
- Márai Sándor (1900-1989), pisarz węgierski 29
- Marchut (Marchent?) matka i córka, deportowane razem z autorką 83, 88, 92
- Marekowska Hanka z d. Wisłocka, koleżanka autorki 54 (ilustr.), 55
- Marynowska Janina 146
- Maszlanka Bronisław (1897-1972), mąż Gizeli z d. Sławikowskiej, płk. WP, pisarz 25, 58, 61, 61 (ilustr.), 79, 81, 95, 97, 125-129, 145, 147, 148, 149
- Maszlanka Gizela, „Gizus”, z d. Sławikowska (1898-1988), córka Stanisława i Gizelli z d. Várady, siostra autorki 7, 9, 10, 22, 22 (ilustr.), 23 (ilustr.), 24, 25, 27, 28, 28 (ilustr.), 35, 38, 45, 47, 50, 53, 57, 58, 61, 61 (ilustr.), 70 (ilustr.), 72, 79, 80, 81, 82, 83, 84, 85, 88, 89, 93, 95, 96, 97, 98, 9, 100, 101, 104, 114, 125, 12, 129, 130, 131, 139, 140, 142, 143, 144, 145, 147, 148, 149
- Maszlanka Teresa „Renia”, (1931-2002), córka Bronisława i Gizeli z d. Sławikowskiej, lek. med., 61, 61 (ilustr.), 72, 79, 82, 83, 87, 88, 92, 93, 94, 95, 96, 97, 98, 99, 100, 101, 127, 128, 144, 145, 146, 147, 148
- Maszlanka Józef 80
- Matejko Franciszek, ojciec malarza Jana Matejki 66
- Matejko Jan (1838-1893), malarz historyczny 66
- Matejko Teodora z d. Giebułtowska, żona Jana 66
- Matuszewska Irena, koleżanka autorki z liceum Urszulanek w Krakowie 54 (ilustr.)

- Mazurczak, matka i sześćcioro dzieci, deportowani razem z autorką 86
- Meisels, adwokat 55
- Meisels Dow Ber, rabin 55
- Meisels Elias 55
- Meisels Ignacy 55
- Meisels Max 55
- Meisner, ppłk 71
- Meyerówna Jadzia, koleżanka autorki z liceum Urszulanek w Krakowie 54 (ilustr.)
- Michelis-Ostaszewska Felicja z d. Gużkowska 69
- Migdalski Antoni, baron, teść Antoniego Sławikowskiego 117
- Miłosz Czesław (1911-2004), pisarz, poeta, noblista 55
- Mitič, serbski tenisista 65
- Moissie, aktor 39
- Mond Bernard Stanisław, „Bunio” (1887-1957), generał WP 104
- Möller Gunhild Bert, Szwedka, przyjaciółka autorki 109
- Morawska(?) Zula(?), koleżanka autorki z liceum Urszulanek w Krakowie 54 (ilustr.)
- Müller, kapitan 44
- Myszkowski Ludwik (1831-1891), adwokat z Jarosławia, właściciel Tymbarku po Tytusie Sławikowskim 117
- Nadalińscy, matka, córka i syn deportowani razem z autorką 83, 84, 85, 88
- Nekanda-Trepka Ludwina z d. (Janota) Bzowska (1902-1960) 143
- Neumann z d. Pflaster 70
- Niedźwiedź Halina, lek. wet. 23
- Niewiadomska Halina 36 (ilustr.)
- Ninčič Momčilo (1876-1949), minister spraw zagranicznych Serbii, przewodniczący Ligi Narodów 19
- „Nitka” przyjaciółka Marii (Janota) Bzowskiej 139, 141, 143
- Noworolska Stefa, koleżanka autorki z liceum Urszulanek w Krakowie 54 (ilustr.)
- Omama, babcia, zob. Várady Katharina
- Odrawąż-Pieniążek Ferida z d. Reviczky 26
- Oraczewska, ciotka-rezydentka w Żerostawicach, prawdopodobnie Zofia Oraczewska z d. Służewska (1865-1940), córka Józefa i Marii z Ajdukiewiczów 69, 78
- Oraczewska Helena z d. Romer (1819-1872), matka Emilii, teściowa Adama Bzowskiego 139
- Pacyna Andrzej, dr fizyki, członek Małopolskiego Towarzystwa Genealogicznego 12
- Pająkówna Aniela (1864-1912), malarka, matka dramatopisarki Stanisławy Przybyszewskiej 36 (ilustr.), 42
- Palester Barbara z d. Gużkowska 69
- Pašić Nikola (1845-1926), minister spraw zagranicznych, premier w Królestwie Serbii, Chorwacji i Słowenii 24
- Pawlikowska z d. Dzieduszycka 15
- Pawłowski, mjr 82, 142
- Pflaster Berek, karczmarz 69
- Pflaster Szymon 70
- Pietrzykowski płk 62
- Pietrzykowski Laci, przyjaciel Jenő 62
- Piłsudski Józef (1867-1935) Marszałek Polski 57, 110
- Pius X (1835-1914), papież 52
- Pochwalski Kazimierz (1856-1940) malarz 39
- Pokomandy, adwokat 31
- Pokorny, przyjaciółka autorki 95
- Pollakówna Ola, koleżanka autorki z liceum Urszulanek w Krakowie 54 (ilustr.)
- Popper Franz 120

- Popper Karolina z d. Sławikowska 114, 120, 122, 124
 Pribaczewicz, minister serbski 19
 Przybyszewska Stanisława (1901-1935), córka Anieli Pająkówny i Stanisława Przybyszewskiego, dramatopisarka 42
 Przybyszewski Stanisław (1868-1927), pisarz 42
 Putz Amalie z d. Dienstl 19
 Putz Jakab (1848-1939), dr 18, 19, 35
 Putz Józsi 34
 Putz Xenia, „Xeniatante”, z d. Zarzycka 34, 35

 Raczyńska Zofia, koleżanka autorki z liceum Urszulanek w Krakowie 54 (ilustr.), 57
 Raczyński Edward, hr. (1891-1993), prezydent RP na uchodźstwie 43
 Rapf-Sławikowska Izabela z d. Rapf (1920-2010), żona Artura Sławikowskiego, malarka 114
 Rausinger 33, 44
 Razumowski Andreas, hr. 43
 Redych Emil (1870-1948), inż. rolnik, ojciec Haliny Sławikowskiej 73, 74, 75
 Redych Halina, zob. Sławikowska Halina
 Redych Helena z d. Mieszkowska 74
 Redych Józef, notariusz z Kielc 73
 Redych Julia z d. Sobieszczańska (1879-1945), matka Haliny Sławikowskiej 73, 75
 Reich, dr 97
 Réthy Dezső (1908- 1950), mąż Katalin z d. Várady 22
 Réthy Katalin z d. Várady (zob. Várady Katalin)
 Reviczky Zsigmond, baron 26
 Rittner Edward (1845-1899), prawnik, polityk, minister, ojciec Tadeusza Rittnera 38
 Rittner Tadeusz, „wuj Tadzio” (1873-1921), dramaturg, pisarz 7, 38, 39 (ilustr.), 40, 40 (ilustr.), 41, 114
 Rittner Zofia z d. Szwejkowska, „ciocia Zosia” (1868-1945) 36 (ilustr.), 38, 39 (ilustr.), 40, 40 (ilustr.), 41, 41 (ilustr.), 61, 114, 130, 131, 146
 Rittnerowie (Tadeusz i Zofia) 37, 38, 38 (ilustr.), 39, 40
 Romer Edmund (1904-1988), syn Eugeniusza, inż. 69, 77, 78
 Romer Eugeniusz (1871-1954), geograf, twórca polskiej kartografii 69, 78
 Romer Irena 70
 Romer Leszek 146
 Romer Witold (1900-1967), syn Eugeniusza, fotografik, chemik, prof. 69, 78
 Romerowie 60, 77, 131
 Römer ? Elisabeth, nauczycielka autorki 27
 Rosa, kucharka Rittnerów 40
 Rosenberg, baron, płk 55
 Rosenhauch Edmund, okulista 63
 Roztworowski Karol Hubert (1877-1938), dramaturg, pisarz 131
 Rudnay Irene 20
 Rudnicka, siostra „cioci Mani” 69
 Rudnicki Klemens (1897-1992), generał WP 69
 Rybkowski Tadeusz (1848-1926), malarz 81
 Ryska Iza, koleżanka autorki z liceum Urszulanek w Krakowie 54 (ilustr.)
 Rzewuski Tadeusz 81

 Sapieha Adam Stefan (1867-1951), książę, arcybiskup, kardynał 104
 Sarnicka Ludka 98
 Sawczyński Zygmunt 123
 Schratt Kiss Katharina, wieloletnia przyjaciółka cesarza Franciszka Józefa 19, 49
 Schweikart Karl/ Szweikart Karol (1772-1856), malarz lwowski 111, 115 (ilustr.), 118 (ilustr.), 121
 Serafińska Joanna z d. Giebułtowska, żona Leonarda 66

- Serafińska Maria (1898-1969), córka Antoniego i Kamili z d. Zechenter 66
- Serafiński Antoni, syn Leonarda i Joanny z d. Giebultowskiej (1853-1905), adwokat, burmistrz Bochni 66
- Serafiński Leonard (1812-1874), szwagier Jana Matejki, prawnik 66
- Serafiński Tomasz (1902-1966), syn Antoniego i Kamili z d. Zechenter 66
- Siekierzyńska Zosia, koleżanka autorki z liceum Urszulanek w Krakowie 54 (ilustr.)
- Siemens Maria 17
- Simona, żona księgowego w sowchozie, pomagała zesłańcom 87
- Sikorski Władysław (1881-1943), generał, polityk 55, 99
- Skalka Vinzenz 122
- Sławikowsy 111, 130
- Sławikowska Barbara z d. Migdalska, żona Antoniego 114
- Sławikowska Kamila, z d. Zechenter (1880-1951), I-voto Serafińska, druga żona Stanisława Sławikowskiego 41, 66
- Sławikowska Elżbieta (Elżunia), córka Erwina i Haliny z d. Redych, bratanica autorki 8, 111, 145, 146
- Sławikowska Elżbieta (Elisabeth) z d. von Wetz, praprababcia autorki 111, 114, 118 (ilustr.), 124
- Sławikowska Gizella, z domu Várady (1871-1925), córka Jozsefa i Kathariny z d. Sorg, matka autorki 7, 14, 14 (ilustr.), 16, 17, 17 (ilustr.), 19, 21, 22, 28 (ilustr.), 32, 33, 34, 38, 45-49, 53, 56, 57, 59, 60, 70 (ilustr.), 114
- Sławikowska Gizela, Gizus, siostra autorki (zob. Maszlanka Gizela)
- Sławikowska Irena z d. Ackermann (1905-1975), żona Eugeniusza 62, 63, 63 (ilustr.), 66, 67, 71, 81, 82, 83, 104, 109, 145, 146
- Sławikowska Julia z d. Bzowska, 2-voto Maksymowicz (1837-1906), babcia autorki 13-15, 15 (ilustr.), 18, 42, 114, 117
- Sławikowska Halina z d. Redych (1907-2003), żona Erwina 72, 73, 73 (ilustr.), 74, 74 (ilustr.), 75, 75 (ilustr.), 76, 102 (ilustr.)
- Sławikowska Lilly (Helena) (1902-1994), córka Stanisława i Gizelli z d. Várady, autorka książki, („Ciocia” w komentarzach Elżbiety Sławikowskiej) 6 (ilustr.), 7-10, 11 (ilustr.), 12, 22, 22 (ilustr.), 2 (ilustr.), 26, 28, 28 (ilustr.), 32 (ilustr.), 42, 46 (ilustr.), 51, 54 (ilustr.) 57, 72, 76, 76 (ilustr.), 77, 77 (ilustr.), 83, 91, 110 (ilustr.), 102 (ilustr.), 111, 114, 118 (ilustr.), 120, 121, 130, 131, 143-145, 147, 148
- Sławikowska Maria (1861-1883), córka Tytusa i Julii, 114
- Sławikowski Antoni (1796-1870), pradiadek autorki, okulista, prof. UJ 14, 33, 38, 41, 111, 114, 115 (ilustr.), 116, 124
- Sławikowski Artur „Turek, Tureczek” (1927-1975), syn Eugeniusza i Ireny z d. Ackermann 9, 62, 63, 63 (ilustr.), 72, 81, 145, 146
- Sławikowski Erwin (1905-1994), syn Stanisława i Gizelli z d. Várady, brat autorki 5, 22, 22 (ilustr.), 23, 23 (ilustr.), 28 (ilustr.), 34, 35, 46, 47, 48 (ilustr.), 53, 56, 66, 67, 71, 72, 73 (ilustr.), 74 (ilustr.), 75, 76, 82, 114, 131, 145, 146, 149
- Sławikowski Eugeniusz, Jenő, „Gienek” (1900-1940), syn Stanisława i Gizelli z d. Várady, brat autorki, kpt 7, 22, 22 (ilustr.), 23 (ilustr.), 25, 25 (ilustr.), 26, 28 (ilustr.), 32, 34, 35, 45, 48, 51, 53, 56-59, 63, 64 (ilustr.), 66, 67, 70 (ilustr.), 71, 72, 72 (ilustr.), 78, 101, 109, 113 (ilustr.), 114, 131, 145, 147, 148
- Sławikowski Henryk, syn Antoniego i Barbary 114, 117, 119, 122
- Sławikowski Józef, prapradziadek autorki 111, 114, 121 (ilustr.)

- Sławikowski Józsi, zmarły w dzieciństwie
brat autorki 22
- Sławikowski Karol, „Karcsi”, (1896-1959),
syn Stanisława i Gizelli z d. Várady,
brat autorki 21, 22, 22 (ilustr.), 23,
23 (ilustr.), 24, 25 (ilustr.), 27, 28
(ilustr.), 34, 35, 45, 47, 48 (ilustr.), 49,
53, 56, 59, 70 (ilustr.), 101, 114, 147
- Sławikowski Laci, zmarły w dzieciństwie
brat autorki 22
- Sławikowski Stanisław (1866-1948), syn
Tytusa i Julii z d. Bzowskiej, płk. c.k.
armii i płk. WP., ojciec autorki 7, 13,
14 (ilustr.), 17 (ilustr.), 18, 22 (ilustr.),
25 (ilustr.), 27, 28 (ilustr.), 30 (ilustr.),
31, 32, 34, 35, 37, 44 (ilustr.), 45, 49,
51 (ilustr.), 53, 56, 56 (ilustr.), 59, 61,
65, 66, 70 (ilustr.), 111, 112, 113
(ilustr.), 114, 148, 149
- Sławikowski Tadeusz, syn Antoniego i (?)
33, 38, 114
- Sławikowski Tytus, syn Antoniego i Bar-
bary z d. Migdalskiej 14, 15, 33, 114,
117, 122
- Ślupnicka Marysia, koleżanka autorki z
liceum Urszulanek w Krakowie 54
(ilustr.)
- Snethlage Hajnalka z d. Várady, „Bubus”
(zob. Várady Hajnalka)
- Sobieszczańska Józefa z d. Janiszewska,
herbu Ostoja (1845-1930), babka Ha-
liny Sławikowskiej 73
- Sobieszczański Jerzy, 109
- Sobieszczański Maciej 72
- Sobieszczański (Piorun) Rupert Kwiryn
Franciszek, herbu Rogala (1838-
1913), dziadek Haliny Sławikowskiej
73
- Sobieszczański (Piorun) Zygmunt (1878-
1959), wuj Haliny Sławikowskiej 73,
75 (ilustr.)
- Sofie, pokojówka 32 (ilustr.), 33
- Sokolik Wiesław, przewodnik w Przemy-
ślu 52
- Sosnkowski 142
- Sperl von Raabthal, komendant pułku
33, 37
- Sperl von Raabthal Gerti, córka komen-
danta pułku 33
- Stahl, komunistka zesłana do Semipała-
tyńska 99
- Stahlberger Augusta, córka Emila 120
- Stahlberger Bogdan 122, 124
- Stahlberger Emil (1835-1875), syn Kar-
la i Julii z d. Sławikowskiej 120, 122,
124
- Stahlberger Hermina z d. Skalka, żona
Emila 122
- Stahlberger Julia z d. Sławikowska (1806-
1837) 112 (ilustr.), 114, 120, 122, 124
- Stahlberger Julius, syn Karla i Julii z d.
Sławikowskiej 120, 122
- Stahlberger Karl, (1787-1834) lekarz,
dyrektor Szkoły Realnej w Brodach
120, 122
- Stahlberger Karl (Karol), syn Karla i Julii
z d. Sławikowskiej 120, 122
- Stahlberger Karl, syn Emila i Herminy
z d. Skalka 120
- Stahlberger Theodor (Teodor), syn Kar-
la i Julii (1827-1888), pedagog, ger-
manista, historyk 120, 122, 123, 124
- Stalin Józef (1878-1953), przywódca
ZSRR
- Starzewska Jadzia, koleżanka autorki z li-
ceum Urszulanek w Krakowie 54 (ilustr.)
- Steer Emma 76 (ilustr.), 143
- Stoller, siostry Beischerowej 146
- Strelecky, dr 20
- Sulimirska Tawusia(?), koleżanka autor-
ki z liceum Urszulanek w Krakowie
54 (ilustr.)
- Sulke Olga z d. Stahlberger (1898-1974),
malarka, graficzka, kuzynka autorki 120
- Susi, pokojówka 45
- Sym Igo, aktor 39
- Szuskiewicz, ppłk WP 71
- Szwejkowka (Szweykowska) Antonina z d.
Sławikowska „ciocia Tosia”, matka Zo-
fii Rittner 38, 40, 42 (ilustr.), 114, 130

- Szwejkowska (Szweykowska) Zofia zob.
Rittner Zofia
- Szwejkowski (Szweykowski) Kazimierz
114
- Ściborowscy 111
- Śliwiński Piotr 52
- Taborski Roman, prof. polonista, pisarz
41
- Teibl-Sławikowska Maryla z d. Sławikow-
ska, córka Artura i Izabeli z d. Rapf
114
- Teichert Mieczysław, lek. med., mąż Te-
resy z d. Maszlanka 58, 125
- Teichert Maria, córka Mieczysława i Te-
resy z d. Maszlanka 129
- Teichert Małgorzata, córka Mieczysława
i Teresy z d. Maszlanka 128, 129
- Teichert Teresa z d. Maszlanka, zob.
Maszlanka Teresa
- Tinz Maria (Mizzi), generałowa 63, 65
- Tritsch Brigitte, koleżanka Elżbiety Sła-
wikowskiej 8
- Twardowski Juliusz (1874-1945), minister
Austro-Węgier 39
- Tyliczkowa 139
- Tyszkiewicz Maria, hr. koleżanka autorki
z liceum Urszulanek w Krakowie 54
(ilustr.), 55
- Várady Dezső, brat dziadka autorki 16
- Várady Edith „Mausi” (1898-?), córka
Imre i Mety d. Putz, kuzynka autor-
ki 21, 28 (ilustr.), 34, 47, 49, 130,
131
- Várady Ernő (1901-?), syn Imre i Mety
d. Putz, kuzyn autorki 21, 28 (ilustr.),
32, 34, 45, 47-49
- Várady Gizella, córka Józsefa i Kathari-
ny z d. Sorg, zob. Sławikowska Gizel-
la
- Várady Hajnalka, „Bubus” (1900-?), cór-
ka Imre i Mety d. Putz, kuzynka au-
torki 21, 26, 28 (ilustr.) 32, 34, 45,
47, 49, 59, 95, 145
- Várady Imre, „Imrebácsi” (1867-1959),
syn Józsefa i Kathariny z d. Sorg, wuj
autorki 17-21, 27, 28 (ilustr.), 48, 62,
145, 147
- Várady Imre, syn Pistá, stryjeczny brat
matki autorki 16
- Várady Janos 16
- Várady József (Joseph) (1829-?), „Otata”,
dziadek autorki 16, 17, 28 (ilustr.), 48
- Várady József, „Józsi” (1911-1988), syn
Imre i Mety d. Putz, kuzyn autorki 21,
28 (ilustr.), 29, 35, 66, 67
- Várady Katalin, „Kato” (1909-2011), cór-
ka Károly i Terézy, kuzynka autorki
21, 22, 28 (ilustr.)
- Várady Katharina, (Katalin), z d. Sorg,
„Omama” (1844-?), babcia autorki
14, 16-18, 28 (ilustr.), 3, 47, 49
- Várady Károly, „Karcсібácsi” (1869-
1929), syn Józsefa i Kathariny z d.
Sorg, wuj autorki 17, 21, 22, 28, 28
(ilustr.)
- Várady Károly, Karcsi (1907-1979), syn
Károly i Terézy, kuzyn autorki 21, 22,
28 (ilustr.)
- Várady Lajos, brat dziadka autorki 16
- Várady Lipót Árpád, arcybiskup, stryjecz-
ny brat matki autorki 16, 19, 45
- Várady Loránd (1918-?), syn Imre i Mety
d. Putz, kuzyn autorki 21, 28 (ilustr.)
- Várady Meta z d. Putz, „Metatante” (1872-
-1938), żona wuja autorki Imre 18, 19,
21, 27, 28 (ilustr.), 34, 35, 57, 62
- Várady Piroška (1910-?), córka Imre i
Mety d. Putz, kuzynka autorki 21, 28
(ilustr.), 66, 145
- Várady Pistá, brat dziadka autorki 16
- Várady Poji, córka „Józsi” i Zorki z d. Pin
29
- Várady Teréza z d. Krscelics (1884-1962),
„Tecinéni” 21, 28 (ilustr.)

Várady Tibor, „Tibi”(1975-1904), syn
Imre i Mety d. Putz, kuzyn autorki 21,
28 (ilustr.), 34, 48
Várady Tibor, syn „Józsi” i Zorki z d. Pin
29
Várady Zorka z d. Pin, żona „Józsi” 29
Vékes Mária Cecylia z d. Réthy, „Cili” 27,
52

Warschadek Alfred 34
Wawrzykowscy 58
Wesołowska Janka, koleżanka autorki z li-
ceum Urszulanek w Krakowie 54
(ilustr.)
Weiß, sąsiedzi autorki w Temesvár 31
Welzandt Mieczysław 78
Wierusz-Kowalska Hanna, z d. Serafińska
(1900-1983), córka Antoniego i Ka-
mili z d. Zechenter 66
Wierusz-Kowalski Czesław (1882-1984),
malarz 66
Wierusz-Kowalski Alfred (1849-1915),
malarz 66
Wildgans Lilly 40
Wilhelm II Hohenzollern (1859-1941),
ostatni cesarz niemiecki i król Prus 50
Windakiewicz Erwin (1857-1925), syn
Edwarda, inż., naczelnik bocheńskiej
żupy solnej, przyjaciel Stanisława Sła-
wikowskiego 65
Windakiewicz Mania, żona Erwina 65,
146
Windischgraetz Elizabeth 47

Wisłocka Hania, koleżanka autorki z li-
ceum Urszulanek w Krakowie 54
(ilustr.), 55
Wohlgemuth-Thun, aktor 39
Wolska Zofia z d. Bzowska (zob. Bzowska
Zofia)
Wosinski Maria z d. Siemens 17
Wosinski Pistá 17
Wosinski, prałat, badacz starożytności 17

Zacharias Alfred, mąż Pauli z d. Lamich
44
Zaleski 39
Zarzycki, radca dworu 35
Zauner, cukiernik w Ischl 49
Zawiszanka Irena, koleżanka autorki z li-
ceum Urszulanek w Krakowie 54
(ilustr.)
Zedtwitz René hr. z d. Zacharias 57
Zichy, hr. 17
Ziemiańska Maria „Merka” z d. Acker-
mann, siostra Ireny Sławikowskiej 62,
Zsulawsky, zmadziaryzowana gałąź rodzi-
ny Żuławskich 15
Zyta Burbon-Parmeńska (1892-1989),
cesarzowa, żona ostatniego cesarza
Austro-Węgier Karola I Habsburga
25, 50

Żuk-Skarszewski 58
Żuławski Ignacy 15, 42
Żuławski Zygmunt 15

Indeks nazw geograficznych

Opracował: Andrzej Pacyna

Dane dotyczące przynależności administracyjnej odnoszą się (tam, gdzie to się udało ustalić) do stanu zgodnego z czasem akcji książki i do stanu obecnego, bez podawania zmian zachodzących między tymi okresami

Nazwa oryginalna	Nazwa oboczna	współrzędne	typ	lokalizacja	strona
Abacja	→ Abbacia, Opatija (chor.)		miasto		47
Abbacia	→ Opatija (chorw.)		miasto		25
Achtoprak			sowchoz	Kazachska Socjalistyczna Republika Radziecka [1936-1991]	87,88
Ajaguz (ros.) [1939-]	Ajakez (kaz.)	47.9714N 80.4392E, 647 m. n.p.m.	miasto	Kazachska Socjalistyczna Republika Radziecka [1936-1991], obw. semipalatynski	86,87,96,97
Alpy			góry		8,9,52
Alma Ata [1921-1993]	Wierny [-1921], Ałmaty [1993-]	43.25N 76.95E, 861 m. n.p.m.	miasto	stolica Kazachskiej Socjalistycznej Republiki Radzieckiej	86
Ameryka					19,62,123
Anglia			państwo		58,95,108,126, 145
Arałskie Jezioro		45.2507N 60.5731E, 37 m. n.p.m.	jezioro	Karałpacka Autonomiczna Socjalistyczna Republika Radziecka, Kazachska Socjalistyczna Republika Radziecka, Kazachstan	85
Argentyna			państwo		66
Aris	Arys (ros.)	42.4333N 68.8E, 236 m. n.p.m.	miasto	Kazachska Socjalistyczna Republika Radziecka [1936-1991], obw. czymkentski	86
Australia			państwo		21,107
Austria	C.K. Monarchia / Cesarstwo Austro-Węgier [1867-1918]		państwo		8,35,43,45,50, 107,111,120,
Austro-Węgry [1867-1918]	C.K. Monarchia / Cesarstwo Austro-Węgier [1867-1918]		państwo		13,45,50,52

Azja	kontynent				85,86,147
Bad Gastein	Badgastein	47.1167N 13.1333E, 1298 m. n.p.m.	uzdrowisko	kraj związkowy Salzburg, pow. Sankt Johann im Pongau, Austria	40
Baden	Baden bei Wien	48.0167N 16.2333E, 227 m. n.p.m.	kurort	kraj związkowy Dolna Austria, pow. Baden, Austria	49
Balf		42.65N 16.6667E, 92 m. n.p.m.	kąpielisko i uzdrowisko	komitat Győr-Moson-Sopron, Węgry	17
Banat			krajina	płd. część Wielkiej Niziny Węgierskiej, Serbia, Rumunia, Węgry	7,16,18,29,35, 67,77
Becskerek [-1918]	→ Nagy-Becskerek		miasto		13,16,19,20,21, 28,32,33,34,35, 45,47,48,49,50, 53,62,66,68,71, 147
Béga-Szent-György	Žitište (serb.)	45.485N 20.5497E, 73 m. n.p.m.	miasto	Centralny Banat, Wojwodina, Serbia	19,35
Bégaszentgyörgy	→ Béga-Szent-György		miasto		19
Begej			rzeka	w Nagy-Becskerek	20
Békéscsaba		46.6833N 21.1E, 89 m. n.p.m.	miasto	płd.-wsch. Wielkiej Niziny Węgierskiej, stolica komitatu Békés	22
Belgrad		44.8186N 20.4681E, 116 m. n.p.m.	miasto	płn. Serbia	19,24,29,35, 145
Berlin		52.5167N 13.4N, 34 m. n.p.m.	miasto	stolica Niemiec	23,62,72
Bochnia		49.9667N 20.4333E, 258 m. n.p.m.	miasto	woj. krakowskie, obecnie woj. małopolskie, pow. bocheński	28,41,65,66,70, 122,123,130, 137,147
Bodeńskie Jezioro			jezioro		52

Nazwa oryginalna	Nazwa oboczna	współrzędne	typ	lokalizacja	strona
Bolonia		44.4833N 11.3333E, 101 m. n.p.m.	miasto	stolica reg. Emilia-Romagna, Republika Włoska	16
Bonyhád		46.3N 18.3333E, 135 m. n.p.m.	miasto	komitat Tolna, pow. Bonyhád, Węgry	16
Bratysława	Pressburg (niem.) [-1867], Pozsony (węg.) [1867-1918]	48.15N 17.1167E, 131 m. n.p.m.	miasto	Królestwo Węgier	26
Bridge of Earn		56.3461N 3.4046W	miasteczko	Perthshire, Szkocja, Zjednoczone Królestwo Wielkiej Brytanii i Irlandii Północnej	147
Brody		50.0833N 25.15E, 220 m. n.p.m.	miasto	1772-1918 Królestwo Galicji i Lodomerii, obecnie Ukraina, obwód lwowski	120,122
Brzeżany		49.45N 24.9333E, 255 m. n.p.m.	miasto	woj. tarnopolskie, pow. brzeżański, obecnie Ukraina	140
Brzuchowice		49.9N 23.9667E, 330 m. n.p.m.		woj. lwowskie, pow. lwowski, gm. Brzuchowice, obecnie Ukraina	142
Budapeszt		47.5N 19.0833E, 102 m. n.p.m.	miasto	stolica Węgier	26,27,52,53,56
Chiny			państwo		84,86
Chmielowa		48.8667N 25.48E	wieś	woj. tarnopolskie, pow. zaleszczycki, obecnie Ukraina	142
Chyliczli k/Warszawy			wieś	woj. mazowieckie, pow. piaseczyński, gm. Piaseczno	63,74
Cisa			rzeka		7

Cluj (rum.)	46.7667N 23.6E, 353 m. n.p.m	miasto	ph.-zach. Siedmiogród, Rumunia	16
Czechy		państwo		57,66
Czuczylów	?			116
Döbling		dzielnica Wiednia	XIX dzielnica Wiednia	46
Droginia [-1986]	49.8667N 20.0333E, 247 m. n.p.m.	wieś	woj. krakowskie, pow. myślenicki, gm. Myślenice	76,103,139, 143,150
Dukla	49.5667N 21.6833E, 326 m. n.p.m.	miasto	woj. podkarpackie, pow. krośnieński, gm. Dukla	125
Dunaj	Donau (niem.)	rzeka		7,47,111
Edinburgh	55.95N 3.2W, 31 m. n.p.m.	miasto	stolica Szkocji, Zjednoczone Królestwo Wielkiej Brytanii i Północnej Irlandii	148
Edynburg	55.95N 3.2W, 31 m. n.p.m.	miasto	stolica Szkocji, Królestwo Wielkiej Brytanii i Północnej Irlandii	60
Europa		kontynent		85,101,143
Finlandia		państwo		105,143
Fiume (wł., niem., węg.) [-1918]	45.3431N 14.4092E, 42 m. n.p.m.	miasto	stolica Primorsko-goranskej županii, Chorwacja	122
Francja	Republika Francuska	państwo		26,50,57,104
Fünfkirchen	→ Pécs	miasto		16
Galicja	Królestwo Galicji i Lodomerii [1772-1918]		kraj koronny cesarstwa Austro-Węgier	38,39,45,78, 111,112,116, 117,120,122
Gdów	49.9167N 20.2E, 215 m. n.p.m.	wieś	woj. małopolskie, pow. wielicki, gm. Gdów	71

Nazwa oryginalna	Nazwa oboczna	współrzędne	typ	lokalizacja	strona
Generalna Gubernia [1939-1945]	Generalgouvernement (niem.) [1939-1945]		terytorium	część okupowanej przez hitlerowców II Rzeczypospolitej ze stolicą w Krakowie	82
Genewa		46.2N 6.1667E, 423 m. n.p.m.	miasto	stolica kantonu Genève, Szwajcaria	20
Goisern	Bad Goisern	47.6333N 13.6167E, 508 m. n.p.m.	miasto	kraj związkowy Górna Austria, pow. Gmunden, Austria	49
Górne	Gornoye, Gornyj	48.4725N 84.9944E, 869 m. n.p.m.		Kazachska Socjalistyczna Republika Radziecka [1936-1991], obw. wschodniokazachstański	87,88,90,91, 93,94,98
Górna Austria			kraj związkowy	Austria	111
Graz		47.0667N, 15.45E, 354 m n.p.m.	miasto	stolica kraju związkowego Styria, Austria	122
Gross Rosen	Konzentrations-lager Gross Rosen		obóz	obecnie Rogoźnica, woj. dolnośląskie	71
Großglockner		47.075N 12.6944 E, 3798 m. n.p.m.	szczyt	grupa Glockner, Wysokie Taury, Centralne Alpy Wschodnie; najwyższy szczyt Austrii	8
Győr		47.6833N 17.6333E, 108 m. n.p.m.	miasto	Austro-Węgry, obecnie Węgry	19
Haaga		52.0833N 4.3E, 1 m. n.p.m.	miasto	stolica prowincji Holandia Południowa, Holandia	145
Herculesbad	Herculesfürdő (węg.), Băile Herculane (rum.)	44.8797N 22.4125E, 742 m. n.p.m.	miasto	Karpaty Południowe, okręg Caraș-Severin, Rumunia	25
Hernals			XVII dzielnica Wiednia	Wiedeń, Austria	25,35,45,47,49, 50

Holandia		państwo		25,46
Horodenka [-1945]		48.6675N 25.5003E, 272 m. n.p.m.	miasto woj. stanisławowskie, pow. horodeński, obecnie Ukraina, obwód iwanofrankowski	82
Huczwa			rzeka lewobrzeżny dopływ Bugu, woj. lubelskie, pow. hrubieszowski i tomaszowski	109
Ischl	Bad Ischl	47.7167N 13.6167E, 469 m. n.p.m.	uzdrowisko kraj związkowy Górna Austria, pow. Gmunden, Austria	49
Izrael			państwo	56,97
Jabłonna k/Warszawy		52.4N 20.9333E, 73 m. n.p.m.	wieś woj. mazowieckie, pow. legionowski, gm. Jabłonna	81
Jadamwola		49.5833N 20.4833E, 429 m. n.p.m.	wieś woj. małopolskie, pow. limanowski, gm. Łukowica	122,124
Jarostaw		50.0167N 22.6833E, 214 m. n.p.m.	miasto Woj. podkarpackie, pow. jarosławski	117
Jodłownik		49.7833N 20.2333E, 327 m. n.p.m.	wieś woj. krakowskie, obecnie woj. małopolskie, pow. limanowski, gm. Jodłownik	69
Józefów		52.1333N 21.2333E, 90 m. n.p.m.	miasto woj. mazowieckie, pow. otwocki, gm. Józefów	127,128
Jugosławia			państwo	13,24,67
Kalocsa		46.5264N 18.9858E, 87 m. n.p.m.	miasto komitat Bács-Kiskun, pow. Kalocsa, na zach. Wielkiej NizinyWęgierskiej	16,19,45
Kanada			państwo	78,100,101
Karlsbad (niem.)	Karlovy Vary (czes.), Karlowe Vary (pol.)	50.2167N 12.9E, 558 m. n.p.m.	uzdrowisko stolica kraju karlowarskiego, zach. Czechy	45,59

Nazwa oryginalna	Nazwa oboczna	współrzędne	typ	lokalizacja	strona
Karpaty			góry		49
Katowice		50.2667N 19.0167E, 275 m. n.p.m.	miasto	stolica woj. śląskiego	81
Katyni		54.7833N 31.7333E, 167 m. n.p.m.	wieś	Rosyjska Federacyjna Socjalistyczna Republika Radziecka [1922-1991], Federacja Rosyjska [1992-], obw. smoleński, rej. smoleński	7,26,28,51,60, 66,72,78,99, 101,109,
Kazachstan			republika	Kazachska Socjalistyczna Republika Radziecka [1936-1991]	7,8,13,26,69, 86,100,126,147
Kelty		56.1333N 3.3833W, 143 m. n.p.m.	osada	Fife, Szkocja, Zjednoczone Królestwo Wielkiej Brytanii i Irlandii Północnej	147
Kielce		50.8333N 20.6667E, 261 m. n.p.m.	miasto	od 1999 stolica woj. świętokrzyskiego	73
Kijów		50.4333N 30.5167E, 168 m. n.p.m.	miasto	stolica Ukraińskiej Socjalistycznej Republiki Radzieckiej [-1991]	85
Kikinda		45.8297N 20.4653E, 73 m. n.p.m.	miasto	pln. Banat, Wojwodina, Serbia	20
Kirkcaldy		56.1167N 3.1667W, 0 m. n.p.m.	miasto	Fife, Szkocja, Zjednoczone Królestwo Wielkiej Brytanii i Irlandii Północnej	148
Klausenburg (niem.) [-1867]	→ Cluj		miasto	stolica Wielkiego Księstwa Siedmiogrodu	16
Kluż (pol.)	→ Cluj		miasto		16
Kolozsvár (węg.) [1867-1918, 1940-1945]	→ Cluj		miasto	stolica hrabstwa Kolozs, Królestwo Węgier	16
Koszycy	Kassa (węg.) [-1918]	48.7167N 21.25E, 203 m. n.p.m.	miasto	Królestwo Węgier	29

Kozielsk	54.0333N 35.7833E, 135 m. n.p.m.	miasto, obóz jeniecki	Rosyjska Federacyjna Socjalistyczna Republika Radziecka, obw. kałuski, rej. kozielski	148
Kraków	50.0833N 19.9167E, 232 m. n.p.m.	miasto	stolica woj. krakowskiego [1918-1939], małopolskiego [1999-]	7,8,12,13,26, 28,29,38,40,42, 50,53,54,55,56, 57,60,61,62,63, 64,66,67,71,72, 73,74,77,82,97, 103,104,109, 111,114,116, 124,125,130, 132,133,136, 137,138,150
Kreml	55.7517N 37.6178E		Moskwa, pl. Czerwony	90
Krynica	49.4333N 20.9667E, 747 m. n.p.m.	uzdrowisko	woj. małopolskie, pow. nowosądecki	60
Krzyszowice	50.1333N 19.6333E, 275 m. n.p.m.	wieś, miasto [3.12.1924]	Wielkie Księstwo Krakowskie [1846-1918], woj. krakowskie, obecnie woj. małopolskie, pow. krakowski	114
Kujbyszew [1935-1991]	53.2001N 50.15E, 127 m. n.p.m.	miasto	Rosyjska Federacyjna Socjalistyczna Republika Radziecka [30.12.1922- 8.12.1991], Tatarska Autonomiczna Socjalistyczna Republika Radziecka, obw. kujbyszewski	96
Kwidzyń	53.7333N 18.9167E, 61 m. n.p.m.	miasto	woj. pomorskie, pow. kwidzyński, gm. Kwidzyń	77
Laski	52.3N 20.8667E, 88 m. n.p.m.	wieś	woj. warszawskie, obecnie woj. mazowieckie, pow. warszawski zach., gm. Izabelin	24
Limanowa		miasto	od 1999 woj. małopolskie, pow. limanowski	13

Nazwa oryginalna	Nazwa oboczna	współrzędne	typ	lokalizacja	strona
limanowski powiat			powiat	woj. krakowskie, od 1999 woj. małopolskie	77,124
Linz		48.3N 14.3E, 255 m. n.p.m.	miasto	stolica kraju związkowego Górna Austria, Austria	122
Londyn		51.5N 0.1167W, 14 m. n.p.m.	miasto	stolica Anglii i Zjednoczonego Królestwa Wielkiej Brytanii i Irlandii Północnej	8,13,24,28,58, 60,65,67,71, 143
Lublin		51.25N 22.5667E, 169 m. n.p.m.	miasto	Wyżyna Lubelska, stolica woj. lubelskiego	9,73,98,103
Lwów		49.8442N 24.026E, 272 m. n.p.m.	miasto	stolica Królestwa Galicji i Lodomerii, kraju koronnego Cesarstwa Austrii [1867-1918]; województwa lwowskiego [1920-1944]; obwodu lwowskiego Ukrainy [1991-]	7,8,14,35,47,53, 56,66,72,74,75, 77,78,79,80,81, 82,84,89,90,92, 96,103,111,114, 116,117,120,122, 123,126,139,140, 141,142,143,144, 150
Łobzów			XVI dzielnica Krakowa		26,57,64
Łódź		51.75N 19.4667E, 197 m. n.p.m.	miasto	stolica woj. łódzkiego	100
Łubianka		55.7608N 37.6283E	więzienie NKWD	pl. Łubiański, Moskwa	80
Małopolska			kraina		7,8,20
Marienbad (niem.)	Mariánské Lázně (czes.), Mariańskie Łaźnie (pol.)	49.7825N 12.7044E, 718 m. n.p.m.	miasto	kraj karlowarski, Czechy	31

Marlenwerder	→ Kwizyn	miasto	76,77
Mauthausen	Konzentrations-lager Mauthausen	48.2333N 14.5167E, 236 m. n.p.m. obóz	kraj związkowy Górna Austria, pow. Perg, gm. Mauthausen, Austria 62
Medyka		49.8N 22.9333E, 223 m. n.p.m. wieś	1920-1939 woj. lwowskie, obecnie woj. podkarpackie, pow. przemyski, gm. Medyka 139
Melk		48.2167N 15.3167E, 287 m. n.p.m. miasto, klasztor Benedyktynów	kraj związkowy Dolna Austria, Austria 47,48
Mokotów		dzielnica Warszawy, więzienie	Warszawa, ul. Rakowiecka 37 127
Monifieth		56.4833N 2.8167W, 0 m. n.p.m. miasto	Angus, Szkocja, Zjednoczone Królestwo Wielkiej Brytanii i Irlandii Północnej 148
Montelupich		50.0741N, 19.9392°E więzienie Gestapo [1939-1945]	Kraków, ul. Montelupich 7 138
Monteux		44.033N 5.0E, 55 m. n.p.m. miasto	region Prowansja-Alpy-Lazurowe Wybrzeże, dep. Vaucluse, Francja 21
Moskwa		55.7522N 37.6156E, 124 m. n.p.m. miasto	stolica ZSRR, obecnie stolica Rosji 80,90,94,96,97, 145,147
Mostowskich Pałac		Po II wojnie św. do 1990 siedziba komendy MO	Warszawa, ul. Nowolipie 2 109
Mstów		49.8N 20.25E, 378 m. n.p.m. wieś	woj. krakowskie, od 1999 woj. małopolskie, pow. limanowski, gm. Jodłownik 69,70

Nazwa oryginalna	Nazwa oboczna	współrzędne	typ	lokalizacja	strona
myślenicki powiat				woj. krakowskie, od 1999 woj. małopolskie	68
Nagybecskerek (węg.) [-1918]	→ Nagy-Becskerek		miasto		13
Nagy-Becskerek (węg.) [-1918]	Veliki Bečkerek (serb.) [1918-1936], Petrovgrad (serb.) [1936-1946], Zrenjanin (serb.) [1946-]	45.3836N 20.3819E, 77 m n.p.m.	miasto	Prowincja Autonomiczna Wojwodina Republiki Serbii, w serbskiej części Banatu	7,13,14,16,17,21, 24,27,28,32,34, 66,147,150
Niemcy			państwo		76,77,104
Norwegia			państwo		105
Nowaja Ziemia (ros.)	Nowa Ziemia		wyspy	Ocean Arktyczny, Rosyjska Federacyjna Socjalistyczna Republika Radziecka, obw. Archangielski	148
Nowy Jork		40.7143N 74.006W, 1 m. n.p.m.	miasto	USA	63
Nowy Sącz		49.6333N 20.7167E, 336 m. n.p.m.	miasto	woj. małopolskie	117,123
Ödenburg (niem.) [-1867]	→ Sopron (węg.)		miasto		17,26
Opatija (chorw.)	→ Abbazia (wł., niem.) [-1918]	45.3392N 14.3083E, 0 m. n.p.m.	miasto	półw. Istria, Chorwacja	25
Opawa		49.95N 17.9167E, 272 m. n.p.m.	miasto	Śląsk Opawski, kraj morawsko-śląski, Czechy	57
Orenburg	Czkałow (ros.) [1936-1957]	51.7847N 55.0986E, 137 m. n.p.m.	miasto	stolica obwodu orenburskiego Rosyjskiej Federacyjnej Socjalistycznej Republiki Radzieckiej [1922-1991]	85

Oslo	59.9167N 10.75E, 12 m. n.p.m.	miasto	stolica Królestwa Norwegii	105
Oświęcim	Auschwitz (niem.)	miasto obóz KL Auschwitz [1940-1945]	woj. małopolskie	138
Otrębusy k/Warszawy	52.15N 20.7667E, 86 m. n.p.m.	wieś	woj. mazowieckie, pow. Pruszkowski, gm. Brwinów	75
Palestyna [1920-1947]			terytorium mandatowe Wielkiej Brytanii	24
Pamir		góry		86
Paryż	48.8667N 2.3333E, 34 m. n.p.m.	miasto	stolica Francji	81,109,143
Pawłówka	50.5167N 23.55E, 226 m. n.p.m.	wieś	woj. lubelskie, pow. tomaszowski, gm. Rachanie	74
Pécs (węg.)	Fünfkirchen (niem.) [-1867]	miasto	komitat Baranya, pow. Pécs, Węgry	16
Persja	Iran [1935-]	państwo		26,55,84,95
Petersburg [-18.01.1914, 7.11.1991-]	Piotrogród [18.01.1914 -26.01.1924], Leningrad [26.01.1924-7.11.1991]	miasto	Rosja	90
Petrovgrad (serb.) [1936-1946]	→ Nagy-Becskerek	miasto		13,145,146,147
Plaszów	Konzentrations-lager Plaszow bei Krakau	obóz	XXI dz. katastralna Krakowa	133
Podlódów k/Tomaszowa Lubelskiego	wieś		woj. lubelskie, pow. tomaszowski, gm. Łaszczów	74
Podłopień	49.7355N, 20.31461E, 413 m. n.p.m.	wieś	woj. krakowskie, pow. limanowski, gm. Tymbark	116

Nazwa oryginalna	Nazwa oboczna	współrzędne	typ	lokalizacja	strona
Polska			państwo		7,8,9,10,12,13,21, 26,29,39,43,51, 52,53,55,57,58, 60,70,79,80,90, 92,94,97,100,101, 103,104,105,106, 107,108,109,110, 111,126,127,133, 140,145
Poznań		52.4167N 16.9667E, 55 m. n.p.m.	miasto	stolica woj. wielkopolskiego	71,79
Pressbaum		48.1833N 16.0833E, 344 m. n.p.m.	gmina	kraj związkowy Dolna Austria, pow. Wien-Umbegung, Austria	66
Pressburg (niem.) [-1867]	→ Bratysława		miasto		26,45,48,60
Pruszków		52.1667N 20.8333E, 87 m. n.p.m.	miasto	woj. mazowieckie, pow. pruszkowski	28
Przemysł		49.7833N 22.7833E, 192 m. n.p.m.	miasto	1772-1920 Austro-Węgry, Galicja, 1920-1939 woj. lwowskie, po 1945 woj. rzeszowskie, przemyskie, od 1999 podkarpackie	49,51,52,56,80, 142
Raba			rzeka	prawobrzeżny dopływ Wisły	133
Rabka		49.6167N 19.95E, 498 m. n.p.m.	miasto	woj. małopolskie, pow. nowotarski	59
Ravensbrück		53.2N 13.15E, 59 m. n.p.m.	obóz	kraj związkowy Brandenburgia, pow. Oberhavel, dzielnica Fürstenberg/Havel	81
Rosja	Cesarstwo Rosyjskie [-1917], ZSRR [-1991]		państwo		16,17,55,85,88, 92,94,96,99,100, 101,105,140,148

Roztocze		kraina	woj.lubelskie, woj. podkarpackie	73
Równe	Riwno (ukr.) [1945-]	50.6167N, 26.25E, 194 m. n.p.m.	miasto 1919-1939 woj. wołyńskie, obecnie Ukraina	101
Rumunia		państwo		7,13,34,142
Ryga		56.95N 24.1E, 8 m. n.p.m.	miasto stolica Łotwy	74
Rzeszów		50.05N 22.0E, 205 m.n.p.m.	miasto stolica woj. podkarpackiego	104
Rzym		41.9N 12.4833E, 14 m. n.p.m.	miasto stolica regionu Lacjum i Włoch	16,39,45
Saint-Germain-en-Laye		48.9N 2.0833E	miasto reg. Île-de-France, dep. Ivelines, Republika Francuska	19
Sarajewo		43.85N 18.3833E, 577 m. n.p.m.	miasto stolica Bośni i Hercegowiny	35,45
Saratow(ros.)	Saratów (pol.)	51.5406N 46.0086E, 72 m. n.p.m.	miasto stolica obwodu saratowskiego Rosyjskiej Federacyjnej Socialistycznej Republiki Radzieckiej [1922-1991], Rosja	85,96
Schönbrunn		48.1833N 16.3126E	pałac park Schönbrunn, Wiedeń, Austria	34,49
Semej (kaz., ros.) [2007-]	→ Semipalatyńsk		miasto	90
Semipalatyńsk (ros.) [-2007]	Semej (kaz., ros.)	50.4111N 80.2275E, 182 m. n.p.m.	miasto stolica obw. Semipalatyńskiego Kazachskiej Socialistycznej Republiki Radzieckiej [1936-1991]	69,90,96,97,98, 99,101,102,145, 147,148
Semmering		46.6333N 15.8167E, 1069 m. n.p.m.	miasteczko kraj zw. Dolna Austria, pow. Neunkirchen, gm. Semmering, Austria	25
Serbia			państwo	7,19,20,28,45,147
Stiedmiogród	Transylwania		kraina	16

Nazwa oryginalna	Nazwa oboczna	współrzędne	typ	lokalizacja	strona
Słownica Królewska [-1930]	Słownice Królewskie [1930-]	49.6667N 20.3167E,	wieś	woj. krakowskie, od 1999 woj. małopolskie, pow. limanowski, gm. Słownice	14
Słownica Szlachecka [-1930]	Słownice Szlacheckie [1930-]	49.7N 20.35E,	wieś	woj. krakowskie, od 1999 woj. małopolskie, pow. limanowski, gm. Słownice	14
Słownice		49.7N 20.35E, 504 m. n.p.m.	wieś	woj. krakowskie, od 1999 woj. małopolskie, pow. limanowski, gm. Słownice	116,117,119
Słupia k/Żerostawic		49.8167N 20.2667E, 320 m. n.p.m.	wieś	woj. krakowskie, od 1999 woj. małopolskie, pow. limanowski, gm. Jodłownik	135,136
Sopron (węg.)	Ödenburg (niem.) [-1867]	47.6833N 16.6E, 197 m. n.p.m.	miasto	komitat Győr-Moson-Sopron, Węgry	17,22,26
Stahlberg		?	?	Westfalia, Niemcy	122
Starobielsk		49.2764N 38.9058E, 61 m. n.p.m.	miasto obóz jeniecki 1939-1940	Ukraińska Socjalistyczna Republika Radziecka, obw. ługański, rej. starobielski	148
Stary Sącz		49.5667N 20.65E, 304 m. n.p.m.	miasto	woj. małopolskie, pow. nowosądecki, gm. Stary Sącz	122
Stradom			dzielnica	VII dzielnica Krakowa	55
Subotica (serb.)		46,1N 19,6667E, 109 m. n.p.m.	miasto	phn. Wojwodina, Serbia	20
Syberia			kraina	Rosja	17,24,47,60,86, 90,98,101
Szabatka (węg.) [-1918]	→ Subotica (serb.)		miasto		20

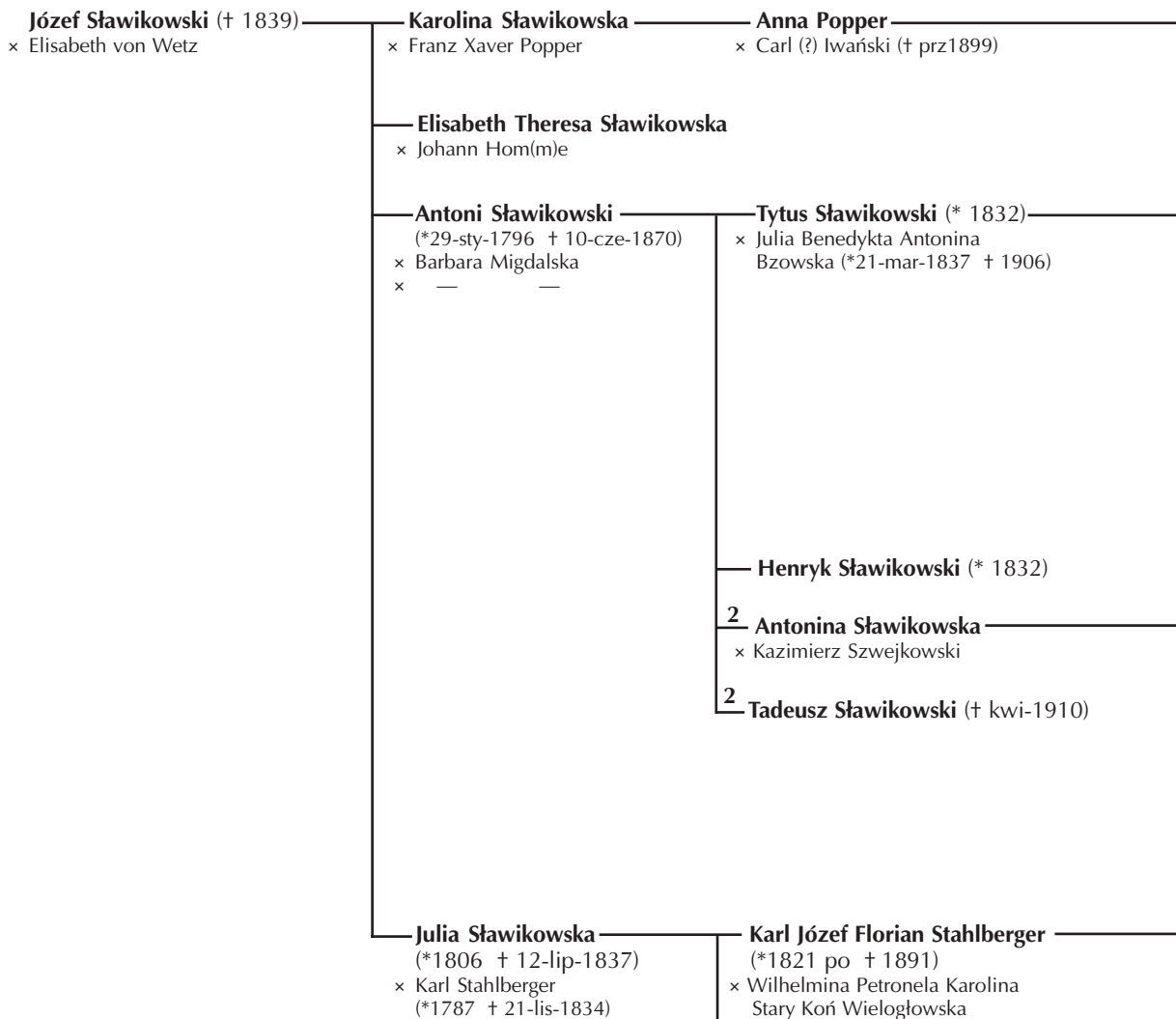
Szczyrzyc	49.79202N, 20.19434E	wieś	woj. krakowskie, od 1999 woj. małopolskie, pow. limanowski, gm. Jodłownik	117
Szeged	46.25N 20.1667E, 75 m. n.p.m.	miasto	stolica komitatu Csongrád, Węgry	24
Szentgyörgy	→ Béga-Szent-György		miasto	19
Szklarska Poręba	50.9008N 15.7253E, 355 m. n.p.m.	osada [1945-], miasto [31.12.1959-]	woj. wrocławskie, od 1999 woj. dolnośląskie, pow. jeleniogórski, gm. Szklarska Poręba	126
Szkocja			Zjednoczone Królestwo Wielkiej Brytanii i Irlandii Północnej	126
Sztokholm	59.3333N 18.05E, 15 m. n.p.m.	miasto	stolica Królestwa Szwecji	109
Szwabia			region	18
Szwajcaria			państwo	55
Szwecja			państwo	65,105
Śląsk			kraina	57,103
Tar Bugataj			góry	86,89,93
Tarnawatka	50.5333N 23.3833E, 287 m. n.p.m.	wieś	woj. lubelskie, pow. tomaszowski, gm. Tarnawatka	23
Tarnów	50.0167N, 20.9833E, 213 m. n.p.m.	miasto	woj. krakowskie, pow. grodzki [-1.04.1975], od 1999 woj. małopolskie	104,117,119
Tas Bulak	?	sowchoz		87,88
Teheran	35.705N 51.4216E, 1225 m. n.p.m.	miasto	stolica (Persji [-1935]) Iranu	100

Nazwa oryginalna	Nazwa oboczna	współrzędne	typ	lokalizacja	strona
Temesvár (węg.) [-1918]	Timișoara (rum.) [1918-] → Temesvár (węg.) [-1918]	45.7494N 21.2272E, 90 m. n.p.m.	miasto	okręg Timiș w Rumunii, stolica rumuńskiej części Banatu	7,13,25,27,31,32, 33,34,35,37,48, 60,150
Tien Szan			góry		86
Timișoara (rum.) [1918-]			miasto		13,25
Tomaszów Lubelski		50.45N 23.4167E, 257 m. n.p.m.	miasto	woj. lubelskie, pow. tomaszowski, gm. Tomaszów Lubelski	82,146
Traiskirchen		48.0167N 16.2833E, 198 m. n.p.m.	miasto	kraj związkowy Dolna Austria, pow. Baden, Austria	26
Triest	Trieste (wł.)	45.6486N 13.78E, 108 m. n.p.m.	miasto	stolica regionu autonomicznego Friuli-Wenecja Julijska, prow. Triest, Ruplika Włoska	122
Troppau (niem.) [-1918]	→ Opawa		miasto		57
Tymbark			wieś	woj. krakowskie, od 1999 woj. małopolskie, pow. limanowski, gm. wiejska Tymbark	13,14,28,77,112, 116,117,
Ukraina	Ukraińska Socjalistyczna Republika Radziecka [-1991]				85,96
Urdżar (ros.)	Ūrżar	47.0883N 81.0883E, 481 m. n.p.m.	miasto	Kazachska Socjalistyczna Republika Radziecka [1936-1991], Kazachstan, obw. semipalatyński	84,94,95,96,147
USA			państwo		55,56
Vöcklabruck		48.0167N 13.65E, 430 m. n.p.m.	miasto	kraj związkowy Góma Austria, pow. Vöcklabruck, Austria	111,124

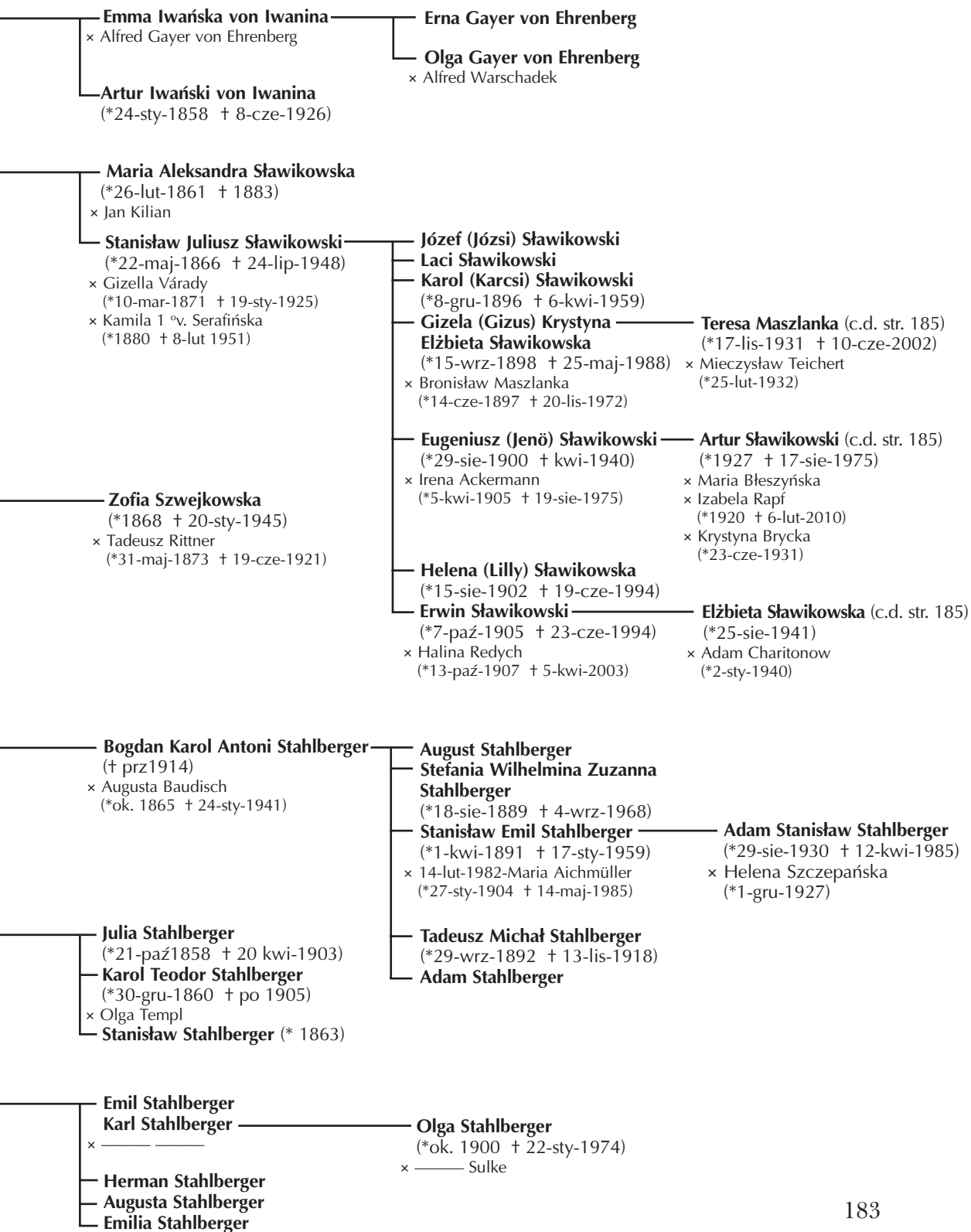
Wadowice	49.8833N 19.4833E, 268 m. n.p.m.	miasto	woj. małopolskie, pow. wadowicki	58,123,125
Warszawa	52.25N 21.0E, 93 m. n.p.m.	miasto	stolica Polski	8,28,50,58,61, 63,66,73,75,77, 81,82,92,97,101, 104,105,107,108, 109,112,125,126, 127,128,141,143
Weimar	50.9833N 11.3167E, 207 m. n.p.m.	miasto	kraj związkowy Turyngia, Niemcy	123
Wenecja	45.4386N 12.3267E, 0 m. n.p.m.	miasto	region Veneto, Włochy	38,40,122
Werbkowie	50.75N 23.7667E, 191 m. n.m.p.	wieś	woj. lubelskie, pow. hrubieszowski, gm. Werbkowice	23,75, 109
Westfalia		kraina	Niemcy	122
Węgry		państwo		7,13,20,22,24,51, 62,81,107
Wiedeń	Wien (niem.), Bécs (węg.)	miasto	stolica monarchii austro-węgierskiej, stolica Austrii	5,7,8,10,13,16,17, 18,24,25,26,28, 31,33,34,35,37, 38,39,40,41,42, 43,45,46,47,48, 49,50,51,53,55, 56,57,59,61,62, 65,66,67,77,97, 109,111,114,120, 122,123,150
Wielka Brytania		państwo		101,147,150

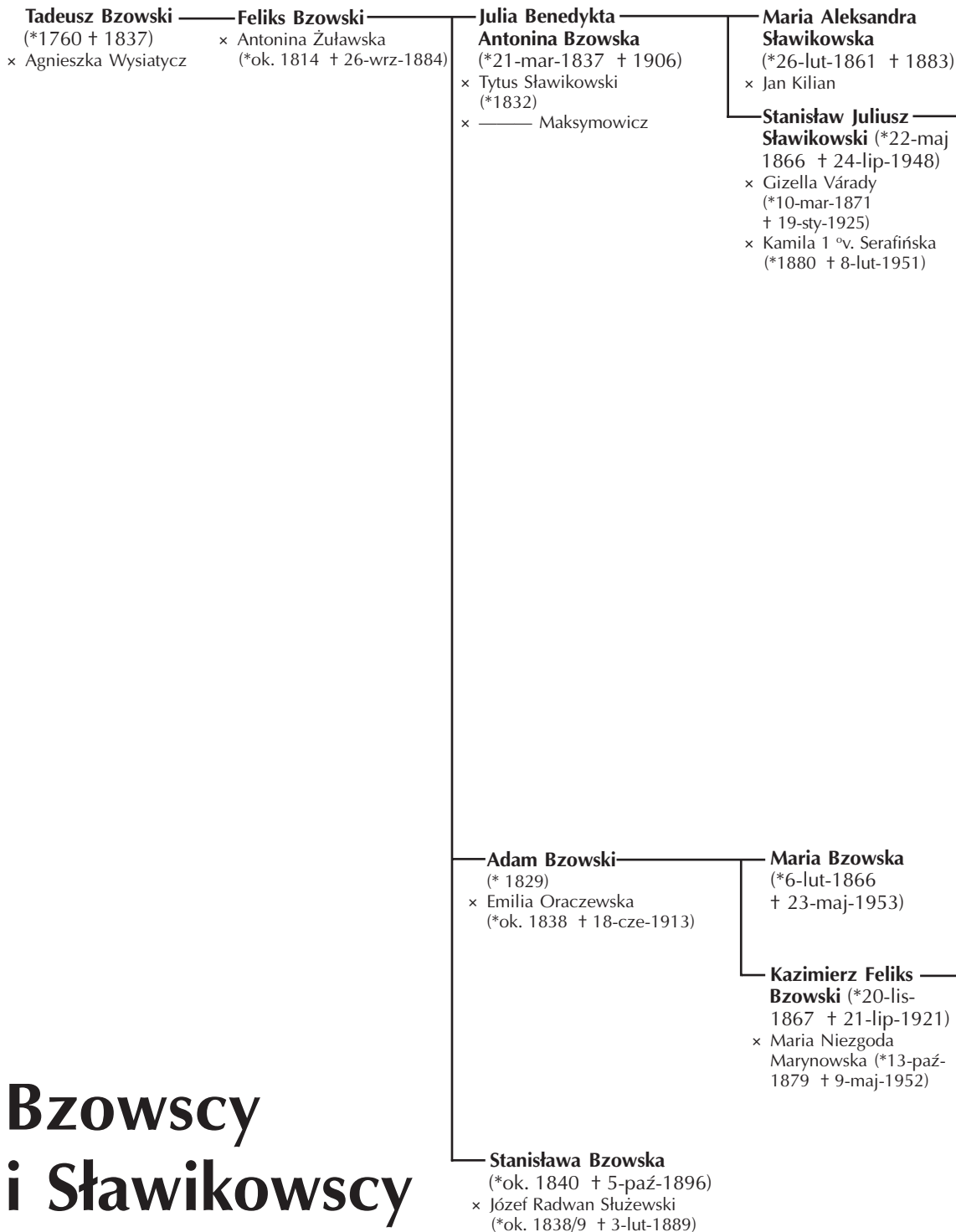
Nazwa oryginalna	Nazwa oboczna	współrzędne	typ	lokalizacja	strona
Wielki Bescskerek [1918-1936]	→ Nagy-Becserek		miasto		13
Wilno		54.6833N 25.3167E, 124 m. n.p.m.	miasto	stolica woj. wileńskiego, od 1991 stolica Republiki Litewskiej	90
Wiśła			rzeka		134
Wiśnicz	Nowy Wiśnicz	49.9167N 20.4667E, 337 m. n.p.m.	miasto	woj. krakowskie, od 1999 woj. małopolskie, pow. bocheński, gm. Nowy Wiśnicz	66
Włochy	Zjednoczone Królestwo Włoch [1870-1946], Republika Włocha [1946-]		państwo		16,45
Włodzimierz Wołyński	Włodzimierz [1922-1939]	50.85N 24.3333E, 190 m. n.p.m.	miasto	1920-1939 woj. wołyńskie, pow. włodzimierski, obecnie Ukraina, obwód wołyński	71,72,81
Wrocław		51.1N 17.0333E, 116 m. n.p.m.	miasto	stolica woj. wrocławskiego [28.06.1946-1.01.1999], obecnie dolnośląskiego	103
Wronki			więzienie		109,127
Wygiełzów		50.0752N 19.4362E	wieś	woj. małopolskie, pow. chrzanowski, gm. Babice	76
Zagrzeb		45,8N 16.0E, 130 m. n.p.m.	miasto	stolica Chorwacji	21
Zakopane		49.3N 19.9667E, 885 m. n.p.m.	miasto	woj. małopolskie, pow. tatrzański	38
Zamieście		49.7333N 20.35E, 566 m. n.p.m.	wieś	woj. krakowskie, od 1999 woj. małopolskie, pow. limanowski, gm. Tymbark	116

Zarabie		dzielnica Myślenic	woj. krakowskie, od 1999 woj. małopolskie, powiat myślenicki	133
Zawadka		49.75N 20.3167E, 561 m. n.p.m.	wieś woj. małopolskie, od 1999 woj. małopolskie, pow. limanowski, gm. Tymbark	14,116
Zrenjanin (serb.) [1946-]	→ Nagy-Becskerek	miasto		7,13,16,28,66
Zurych		47.3667N 8.55E, 433 m. n.p.m.	miasto stolica kantonu Zurych, Szwajcaria	27
Żerosławice		49.8333N 20.25E, 319 m n.p.m.	wieś woj. małopolskie, pow. myślenicki, gm. Raciechowice	3,15,18,58,67,68, 69,70,71,72,77, 78,130,132,133, 134,135,137,139, 146

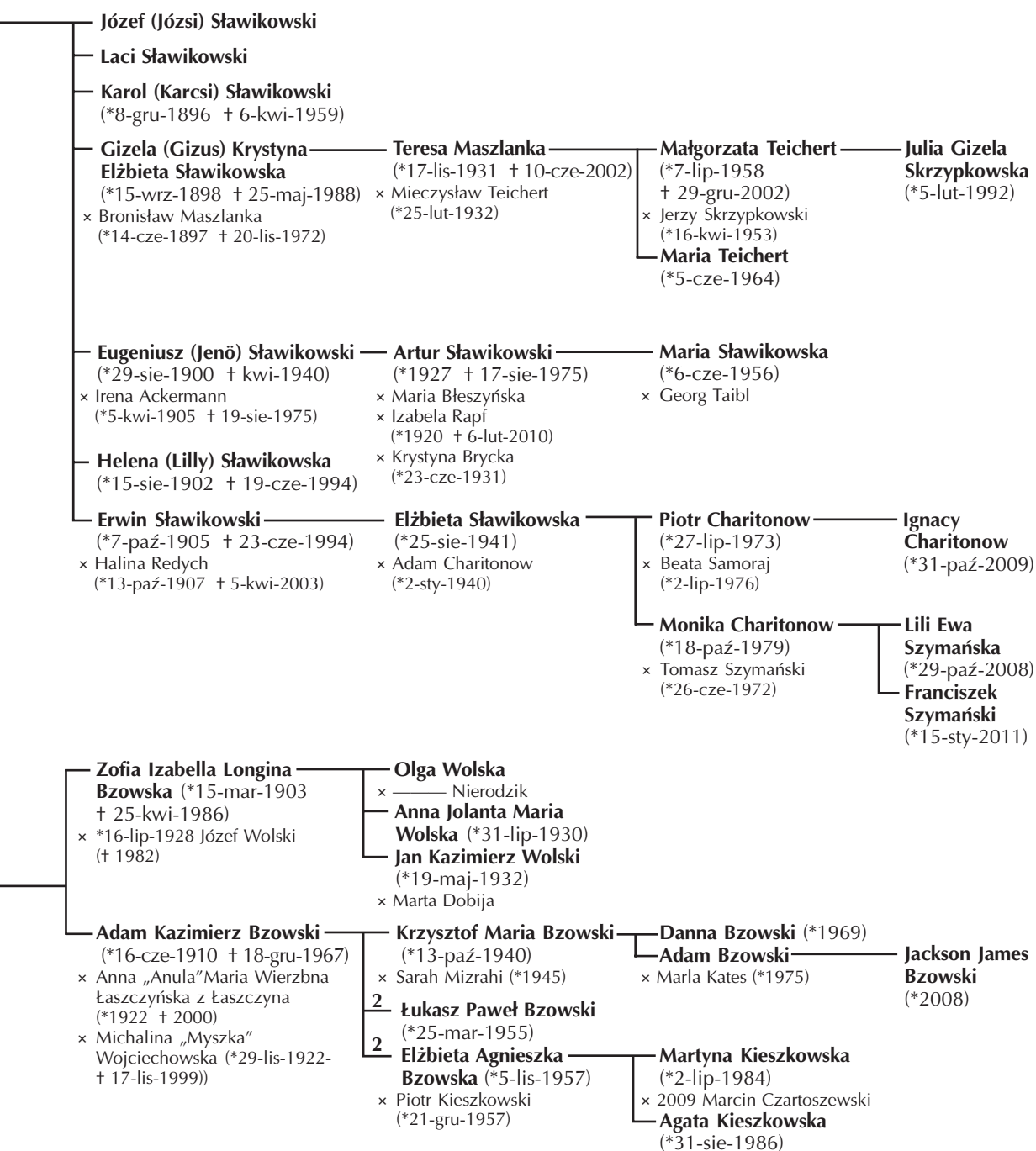


Sławikowscy i Stahlbergerowie





Bzowscy i Sławikowscy



Memoiren von Lilly Sławikowska

„In den Zeiten der k.u.k. Monarchie und später”

Lilly Sławikowska wurde 1902 in Nagy-Becskerek (jetzt Zrenjanin in Serbien) geboren und starb 1994 in Wien. Ihre Eltern waren Stanisław Sławikowski, Oberst des k.u.k. Heeres, und Gizella Várady, die Enkelin eines ungarischen Aufständischen der Revolution 1848.

Lilly Sławikowska beschreibt ihre glückliche Kindheit in den Städten Nagy-Becskerek und Temesvár im Familienkreis. In den Jahren 1914-1918 wohnte sie in Wien. Sie beschreibt den Ausbruch des I. Weltkrieges und den Alltag in der Hauptstadt der großen Monarchie gleich vor ihrem Zerfall. In Wien besuchte sie oft Verwandte, unter anderem die Familie vom Dramatiker und Schrieftsteller Tadeusz Rittner.

Nach dem Zerfall der Monarchie übersiedelte die Familie Sławikowski nach Krakau (Kraków) und beteiligte sich an der Neuentstehung Polens. Der Vater der Autorin kämpfte gegen Bolschewiken im Krieg von 1920 und der Bruder wurde Berufsoffizier – er wurde 1940 von der NKWD in Katyń erschossen.

In der Zwischenkriegszeit trieb die Autorin Sport – 1936 wurde sie Tennismeisterin in Małopolska (südlicher Teil von Polen).

Am Anfang des II. Weltkrieges war Lilly Sławikowska zu Besuch bei ihrer Schwester Gizela Maszlanka in Lemberg, von wo aus die beiden mit der siebenjährigen Tochter von Gizela nach Kasachstan deportiert wurden. Die Rückkehr in das “andere” schon kommunistische Polen war im Jahr 1946.

Die Memoiren, die Lilly Sławikowska am Ende ihres Lebens schrieb, brechen in den fünfziger Jahren des XX. Jahrhunderts wegen einer Augenkrankheit der Autorin ab.

Die Memoiren von Lilly Sławikowska ergänzen Memoiren und Fragmente von Tagebüchern anderer Autoren.

Thumaczyła: Elżbieta Sławikowska

Memoirs by Lilly Sławikowska

“In the Times of the Austrian-Hungarian Empire and Afterwards”

Lilly Sławikowska was born in Nagy-Becskerek, now Serbia, in 1902, and died in Vienna in 1994. Her parents were Stanisław Sławikowski, a colonel in the army of the Austrian-Hungarian Empire, after 1918 a colonel in the Polish Army, and Gizella Varády, a granddaughter of a Hungarian insurgent of 1848.

In her memoirs Lilly Sławikowska describes her happy childhood spent in the towns of Nagy-Becskerek and Temesvár with her parents, her four brothers and sisters and a multinational, numerous and more distant family. In 1914-1918 our Author lives in Vienna. She provides an interesting description of the outbreak of the First World War and everyday life in the capital of the great monarchy just before its fall. In Vienna she maintains contact with and visits her distant relatives, among others also Tadeusz Rittner, a writer and playwright. After the fall of the Austrian-Hungarian Empire the Sławikowski family moves to Kraków (Cracow) and takes an active part in the work towards rebuilding of the Polish state. The Author's father, Stanisław Sławikowski joins the Polish Army and in the rank of a colonel fights in the Polish – Soviet war in 1920. His brother, Eugeniusz, becomes a career's officer and is later executed by the NKVD in Katyń in 1940.

In the twenty years between the two world wars, Lilly Sławikowska goes in for sports and in 1936 she wins the title of the tennis champion for the Małopolska (Cracow) region.

At the beginning of the Second World War, the Author goes to stay with her sister, Mrs Gizela Maszlanka in Lwow, and both ladies, together with Gizela's seven-year-old daughter, are deported to Kazakhstan for six years. The description of their return to a different Poland and the fifties closes the unfinished memoirs, cut short by the Author's deteriorating eyesight.

Lilly Sławikowska's memoirs are accompanied by memoirs and diaries of other people commenting on the events described by the Author.

Thumaczyła: Magda Mierowska

Spis treści

Wstęp	7
Nagy-Becskerek do 1912 r.	13
Temesvár 1912-1914	31
Wiedeń 1914-1918	37
Kraków 1918-1939	53
Lwów	79
Deportacja 1940-1946	83
Po powrocie, w PRL	103

Spis treści

Załącznik nr 1 — <i>Elżbieta Sławikowska</i> : O rodzinie Sławikowskich	111
Załącznik nr 2 — <i>Mieczysław Teichert</i> : Wspomnienie o płk. dypl. Bronisławie Maszlanie (1897-1972)	125
Załącznik nr 3 — Fragmenty zeszytu nr IX dzienniczka Zofii Bzowskiej (Zofia Bzowska po mężu Wolska, córka Kazimierza Feliksa i Marii z Marynowskich)	130
Załącznik nr 4 — Wspomnienia Anny Marii I-voto Bzowskiej, II-voto Wisnowski (córki Witolda Łaszczyńskiego i Janiny z Romerów, żony Adama Kazimierza Bzowskiego)	132
Załącznik nr 5 — Fragment dziennika Marii (Janota) Bzowskiej z Drogini	139
Załącznik nr 6 — List Lilly Sławikowskiej do Haliny i Erwina Sławikowskich	145
Załącznik nr 7 — Fragmenty notatek Karola (Karcsi) Sławikowskiego, przebywającego w Wojsku Polskim w Wielkiej Brytanii	147
Indeks osób	150
Indeks nazw geograficznych	161
Sławikowscy (drzewo genealogiczne)	182
Bzowscy (drzewo genealogiczne)	184
Zusammenfassung	186
Summary	187



Wydawnictwo Kontekst – Poznań 2011
Papier kredowy 135 g/m²; 11,5 a.w.
kontekst2@o2.pl
www.wkn.com.pl